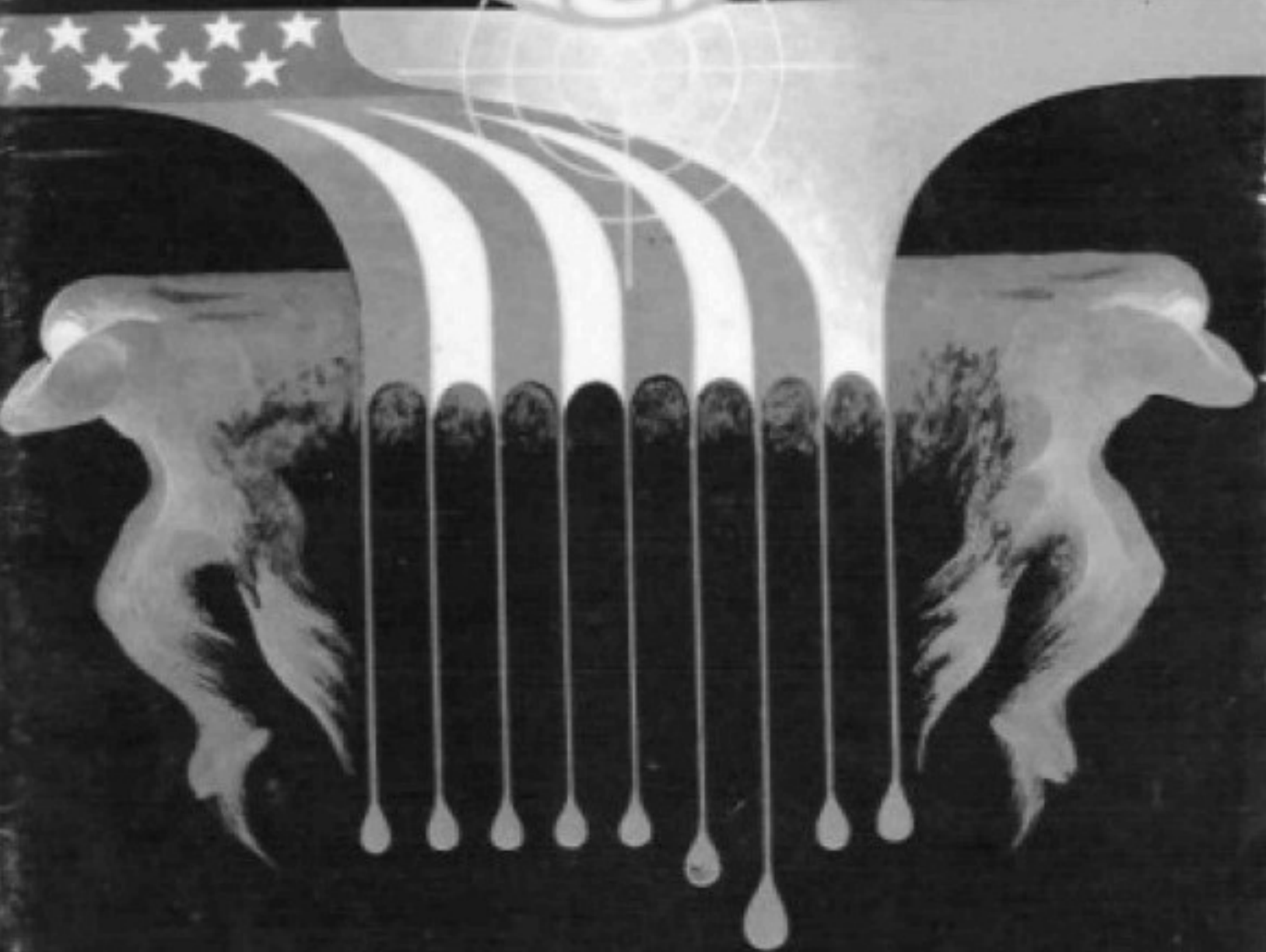


andrzej drzewiński

ZABAWA STRZELANEGO



ANDRZEJ DRZEWIŃSKI

Zabawa w strzelanego

CZŁOWIEKIEM JESTEM...

Światło w tym pomieszczeniu miało za zadanie tylko rozjaśniać ciemności. Żaden z mężczyzn nie widział dokładnie twarzy drugiego.

–Sądzę, że ta karta personalna będzie odpowiadać pańskim wymaganiom – rzekł niższy, wyciągając ze schowka białą tekturkę.

Tamten nie odezwał się ani słowem, tylko stanął pod lampą.

–Tomasz Jonge: wiek (28 lat), wzrost (182 cm), waga (75 kg), stan cywilny (kawaler), inteligencja (120 ren), wykształcenie (wyższe politechniczne, inż. budowlany), zamiłowania (kibic sportowy, tenis, literatura), polityka (brak czynnego zaangażowania, tendencje lewicujące), służba wojskowa (kurs półroczny w oddziałach desantowych, zwolniony po stwierdzeniu astmy), życie intymne (nieregularne, brak stałej partnerki)...

Człowiek jeszcze chwilę studiował kartę, by w końcu krzywiąc twarz w namiastce uśmiechu, rzec:

–Zgoda!

Mniejszy z ukontentowania aż zatarł ręce, co nie przeszkodziło mu naturalnie pochwycić zgrabnie zwitka banknotów Gdy drzwi zamknęły się za wychodzącym, począł liczyć papierki.

Był czwartek i jak co tydzień wracałem do domu dobrze po godzinie dziesiątej. Zamknąłem drzwi wyjściowe automatycznie szukając wyłącznika. Był tam gdzie zawsze, ale mimo kilkakrotnego naciskania, światło nie zapaliło się. Wzruszyłem ramionami, tłumiąc atawistyczny lęk przed ciemnością. Idąc już na górę zastanawiałem się, czy w bocznych korytarzach mógłby się ktoś czaić. Mieszkam na czwartym piętrze i, biorąc pod uwagę brak windy, miałem trochę czasu na rozmyślanie.

Przyznaję, że lubię się emocjonować wytworami własnej wyobraźni i będąc na trzecim piętrze miałem okazję upewnić się, jak daleko życie wyprzedza nawet najśmielsze oczekiwania. Przekonał mnie o tym dwumetrowy facet, który z zadziwiającą wprawą wynurzył się z cienia i chwycił mnie w pól. Zrobił to tak sprytnie, że ręce miałem unieruchomione na wysokości łokcia. Jego obezwładniający uścisk, jak i fakt, że uprzednio nawet jednym dźwiękiem nie zdradził swojej obecności, wskazywał na dobrego fachowca.

A ja? No cóż, zrobiłem jedyną rzecz, jaką mogłem zrobić. Z całej siły nadepnałem tam, gdzie spodziewałem się znaleźć jego stopę. Jęł upewnił mnie, że się nie

pomyliłem. Niestety – nie drgnął ani o cal, tak że zacząłem powątpiewać w to, co wypisują w samouczkach technik obronnych. Dalsze moje rozmyślenia przerwał bufor lokomotywy, która wyjechała z ciemnego korytarza. Trafił dokładnie w miejsce, które zyskało nazwę splotu słonecznego. Gdy otwierałem usta do bezdźwięcznego krzyku, lokomotywa, która okazała się drugim dwumetrowym facetem przycisnęła mi do twarzy tampon z zimną cieczą. Można mi wierzyć bądź nie, ale mimo iż wiedziałem, że nie powinienem teraz oddychać, uczyniłem to. Rzeczywiście, zgodnie z opisami, plamy, które ujrzałem przed omdleniem, były okrągłe i czerwone.

Pierwszą myślą, która się pojawiła, było stwierdzenie, że jest mi miękko i niewygodnie. To chwilowe rozkojarzenie zaraz ustąpiło miejsca mdłościom i odrętwieniu. Dopiero po chwili zorientowałem się, że leżę w ciemnościach, mając oczy już otwarte. Przejechałem kilkakrotnie dłonią po podłodze, wyręczając w zamiataniu dozorcę, zanim pewniej mogłem się oprzeć na rękach. Chwilę się zastanowiłem i wyciągając wnioski sięgnąłem do kieszeni. Wnioski okazały się słuszne, gdyż kieszeń była pusta. Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. Bandziory zrobiły tak piękny napad, a musiały się zadowolić nędzną dwudziestką, gdyż prawie wszystkie wolne pieniądze wpłaciłem rano do banku. Chociaż, znając swojego pecha, wcale bym się nie zdziwił, jeśliby bank również okradziono. Snując takie niewesołe myśli, wstałem i lekko zgięty podkuśtykałem piętro wyżej. Na klatce schodowej cały czas wręcz dzwoniła cisza nie przerywana, o dziwo, żadnymi głosami mieszkańców, że nie wspomnę o wiecznie ryczących telewizorach. Klucze, które zawsze noszę w lewej kieszeni spodni, znalazłem w prawej kieszeni marynarki. Nie zastanawiając się nad tym otworzyłem zamek drzwi. Światło w przedpokoju dodało mi otuchy. Zamknąłem drzwi i opierając się o żeberka kaloryfera, spojrzałem na zegarek.

Najwyraźniej miałem na dzisiaj przewidzianą dużą dawkę emocji, gdyż było na nim kwadrans po czwartej. Zanim wykręciłem numer „zegarynki”, zdążyłem sobie pogratulować faktu posiadania taniego czasomierza, który nie wzbudził pożądania w bandziarach. Mówiąca z taśmy pa nienka, mógłbym przysiąc, że miała zaspany głos, gdy dukała: czwarta dwadzieścia, czwarta dwadzieścia... Zastanawiając się, przysiadłem na krześle. Wyglądało, że ponad pięć godzin leżałem nieprzytomny na klatce, a nikt z lokatorów nie zwrócił na mnie uwagi. Było to o tyle dziwne, że niezauważenie mnie przez kogoś, kto przechodził korytarzem było fizyczną niemożliwością, gdyż stanowiłem wypukłość stanowczo przewyższającą wysokość przeciętnego stopnia schodów. Poza tym, znając większość sąsiadów, mógłbym zaręczyć, że każdy z nich, najpierw wszelkimi dostępnymi środkami, nie wyłączając syreny strażackiej i kastanietów raczej przywołałby na klatkę resztę współmieszkańców niż udzielił mi pomocy. Chociaż, może trochę przesadzam, gdyż sądzę, że po pół godzinie przyglądania się mojej osobie, ktoś z widzów wezwałby jednak pogotowie i policję. Po przeanalizowaniu tej myśli stwierdziłem, że najrozsądniejszą rzeczą, jaką zrobię będzie pójście spać. Ścieląc tapczan upewniłem

się, że z mieszkania nic nie zginęło. A mogło, gdyż klucze w ubraniu były przekładane przez tych osobników.

–Może nie chciało im się wchodzić wyżej – pomyślałem w chwili, gdy zasypiałem.

Następne dwa dni minęły spokojnie. Nawet nie złożyłem meldunku w komisariacie, wychodząc z założenia, że co najwyżej dadzą mi do oglądania z setkę zakazanych fizjonomii. Ja zaś o moich napastnikach wiedziałem tylko tyle, że są płci męskiej. Naturalnie, jeśli prawdziwe jest założenie, że dwumetrowe kobiety nie czają się po klatkach schodowych.

Dzień trzeci był niedzielą. Chyba na przekór cotygodniowemu lenistwu, jakie nachodziło mnie w ten dzień, postanowiłem zrobić w domu małe porządki. Po stwierdzeniu, że pastowanie podłogi i odkurzanie książek napawają mnie szczerą niechęcią, postanowiłem naprawić oberwany kilka dni temu karnisz. Ze śrubokrętem w zębach wdrapałem się na parapet. Kiedy przykręciłem śrubę i miałem zamiar przypiąć zasłonę do oberwanej „żabki”, przypomniałem sobie, mam nietypowy parapet. Stolarz, który go montował musiał przepadać za secesją, gdyż deska po bokach miała zaokrąglone i ucięte końce. Nic więc dziwnego, że na jednym z nich obsunęła się moja stopa. Jako że pokój nie przejawiał anomalii grawitacyjnej, zupełnie prawidłowo zwałem się na podłogę. Próbowałem jeszcze chwycić się klamki, ale zaskoczony uczyniłem to ręką, w której dzierżyłem śrubokręt. Podłoga nie okazała się tak solidną, na jaką wyglądała, gdyż kilka klepek wyskoczyło z parkietu pod moim ciężarem...

Klnąc na czym świat stoi, rozmasowywałem sobie stłuczony bok i nie tylko. Mimochodem zdziwiłem się, że sąsiedzi z dołu nie reaguja na rumor, którego byłem sprawcą. Co prawda istniała możliwość, że w czasie upadku urwał się im żyrandol i pogrzebał całą rodzinę, ale miałem nadzieję, że się mylę. Wymyślając podobne nedorzeczności, obserwowałem z poziomu podłogi coś, co dyndało na prawej ramie okiennej. Zapominając o stłuczeniach wstałem, aby się temu przyjrzeć z bliska. Była to śrubka, a konkretniej jej fragment wiszący na dwóch cienkich drucikach. Rzut oka wzdłuż framugi wyjaśnił wszystko. Spadając ze śrubokrętem w ręce przejechałem nim po drewnie, świadczyła o ty długa, biała rysa i wyrwałem śrubkę.

Oglądałem jednak zbyt dużo filmów sensacyjnych, aby wątpić w jej przeznaczenie. Nie miałem jednak pojęcia, kto mógłby założyć moim mieszkaniu aparaturę podsłuchową – bo i po co? Aby rozwiać wątpliwości wyjąłem szafki cążki i obciąłem ową śrubkę. Z racji zawodu miałem pod ręką trochę narzędzi i bez specjalnych trudności zdjąłem imitację łebka. Krył on małą spiralkę i coś, co przypominało mikroskopijną puszczykę, jednym słowem mikrofon. Chwilę medytowałem nad tym, ale nic konstruktywnego nie przychodziło mi do głowy. Zresztą kto wie, może bym coś wymyślił, gdybym nie usłyszał niecierpliwego dzwonka u drzwi. Odruchowo przykryłem narzędzia serwetą.

Czytając swojego czasu najprzeróżniejsze poradniki samoobrony doszedłem do przekonania że najbardziej zaskakującym ciosem jest tzw. „prosty”. W przeciwieństwie od uderzenia sierpowego nie powoduje on nawet minimalnej utraty równowagi bijącego i pozwala na błyskawiczne cofnięcie zadającej cios dłoni. Jednocześnie szybkość wyprowadzenia ciosu utrudnia znacznym stopniu jakąkolwiek zasłonę. Takie właśnie uderzenie zadał mi w podbródek facet, którego ujrzałem po otwarciu drzwi. Tylko dla formalności dodam, że miał on dwa metry wzrostu. Następną rzeczą, jaką zrobiłem, to zdziwiłem się, skąd w drzwiach pojawił się mój własny tapczan. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to nie tapczan, ale mnie właśnie przeniesiono do pokoju. Leżałem z głową wciśniętą między oparcie a poręcz i jak każdy, kto dostał po buzi, miałem chwilowe uczucie błogości. Skończyło się ono na tyle wcześnie, aby usłyszeć głos jednego z gości

–Sprawa jasna. Nasz ciekawski znalazł to czego nie powinien.

Faceci stali przy stole, oglądając rozłożone na serwecie akcesoria. Przyglądałem się im spod przymrużonych powiek, mając nadzieję, że to tylko małe nieporozumienie towarzyskie. Wydawało mi się, że jeżeli będę grzeczny, to pójdą sobie. Lecz spotkał mnie zawód i po raz pierwszy w życiu przekonałem się, że ciotka Leonia miała rację, twierdząc, że wodę w wazonie z kwiatami należy zmieniać co najmniej raz dziennie. Zaś ta, którą mi wylano na głowę miała już tydzień i bukiet zapachów z wyraźną dominacją smrodu. Z siłą godną pozazdroszczenia zostałem następnie szarpnięty za włosy. Jako że byłem do nich szczególnie przywiązany, chcąc nie chcąc, przyjąłem pozycję siedzącą. Zdziwiłem się jeszcze, że wcale nie czuję strachu w tej nierealnej sytuacji. To co się działo, sprawiało na mnie wrażenie filmu sensacyjnego, w którego fabułę przypadkiem się zaplątałem.

–Jak zdróweczko? – zaszemrał ciepło blondyn.

–Wspaniale – odparłem trochę bełkotliwie. – Czy mógłbym wiedzieć czemu zawdzięczam wizytę?

–Dziubek – stęknął ów, wbijając mi swój palec pod brodę – reguły gry są takie: my pytamy, a ty odpowiadasz. A jak nie, to ci urwę łeb wraz z płucami. Rozumiesz? – dla zaakcentowania wbił mi paznokieć jeszcze na dwa centymetry.

–Świetny dowcip – wyjęczałem, czując jak mnie nachodzi czarny humor. – Przypomnij mi go później, bo teraz trudno mi się śmiać.

Blondyn zarechotał i manifestując swoje uczucia wbił paznokieć jeszcze głębiej.

–Zostaw go – dobiegło gdzieś z boku. – Nie możemy go nawet trochę uszkodzić.

Byłbym przysięgł, że ujrzałem w oczach blondyna rozżalenie, ale posłusznie puścił moją głowę. Drugi facet był równie rosyły, jedynie nos szpeciło mu typowe dla

bokserów efektowne spłaszczenie. Moją uwagę zwrócił fakt, że cały czas bawił się dwiema pałkami lekko zgrubiałymi na końcach. Były połączone krótkim, wytartym rzemieniem. Z literatury wiedziałem, że jedno uderzenie nunchaku, gdyż taką nazwę to nosiło, może praktycznie pozbawić ofiarę głowy. O takim drobiazgu, że ów przyrządek świetnie łamie ręce bądź nogi, nawet nie wspomniałem.

–Panie Jonge – słysząc to spojrzałem wyżej na twarz boksera – to co teraz robimy nie jest naszą sprawą, gdyż mamy swoich pracodawców. Chciałbym chciał, nie mogę panu powiedzieć, jaki jest cel naszej roboty. Mamy pana stąd zabrać i zawieźć w nam znane miejsce. Co będzie dalej, to już nie nasza sprawa. Kazano nam przekazać, że jeśli nie będzie pan stawiać oporu, to nic się panu nie stanie. Rozumie pan? – miał głos genialnie pasujący do twarzy, twardy i beznamiętny.

Znacząco odwróciłem głowę w kierunku blondyna.

–To się nie powtórzy – powiedział bokser z naciskiem. – Zaś teraz będziemy czekać. Aha... my wiemy, że miał pan półroczny kurs w „beretach” i radzę na to nie liczyć.

Wzruszyłem ramionami. Muszę przyznać, że ten ton trochę mnie uspokoił. Na tyle że przestałem się bać, iż zatłuką mnie tu, na miejscu. Mogłem nadal zachowywać stoicki spokój. Tak więc, nie sprzeciwiałem się, gdy założono mi plaster na usta i kajdanki na nogi. Zrobiono to tak sprytnie, że zrozumiałem iż w najbliższym czasie wszelka próba ucieczki, bądź alarmu jest bezcelowa. Pozostało mi tylko obserwować, jak kretyn blondyn przewraca moje książki i czasopisma naukowe, szukając pornografii. Chyba trochę się zaczerwieniłem, gdy znalazł je w dolnej szufladzie biurka i z miną znawcy począł studiować pisemka.

Zmierzch zapadł wtedy, kiedy jeszcze chwila, a zacząłbym wyc mimo plastra na twarzy. Siedziałem z nimi już sześć godzin i ani razu nie dali mi choć cienia nadziei na ucieczkę. Prowadząc mnie do toalety dokładnie sprawdzili pomieszczenie. Zaglądali nawet do muszli. Jediną atrakcją, jaką mi pozostawili, były akrobatyczne ewolucje, jakie wykonywał nunchaku bokser. Gdy minęła godzina dziewiąta, wywnioskowałem, że rychło opuścę mieszkanie. Blondyn ściągnął mi z ust plaster. Udałem, że nie zauważam, iż robi to nadzwyczaj wolno. Gdy rozpiął kajdanki, odezwał się bokser:

–Minęła dziewiąta, więc idziemy. Proszę zachowywać się spokojnie i jak mówiłem, nic wtedy panu się nie stanie.

Blondyn ścisnął mnie tak, że już mogłem sobie pogratulować jutrzejszych siniaków. Po zgaszeniu światła, bokser zatrzymał nas przy drzwiach.

–Jeżeli spotkamy kogokolwiek i pan jakimś słowem czy gestem zwróci jego uwagę, to zaręczam, że będę zmuszony zabić tamtego człowieka. Jeśli ma pan zamiar

szafować czyimś życiem, to proszę się awanturować. Chociaż ręczę, że i tak doprowadzimy pana na miejsce.

Dzisiejszego dnia jeszcze żaden z nich nie chwalił się pistoletem, ale rura, która dźgnęła mnie w nos, wynagrodziła wszystkie rozczarowania. Posłusznie obróciłem się i wyszedłem na korytarz. Starłem się skulić w sobie i co chwilę rzucałem trwożliwe spojrzenie. Zgodnie z oczekiwaniami początkowy ucisk na bicepsie lekko zelżał. Gdy minęliśmy drugie piętro, odetchnąłem z ulgą. Wiecznie uchylonego okna na podeście nadal nikt nie naprawił. Była więc szansa, że moje całodzienne rozmyślenia nie pójdą na marne. Dochodząc do okna lekko zwolniłem.

–Och... zapomniałem szkieł, – mój głos musiał przypominać jęk Niobe.

Zatrzymaliśmy się.

–Co się stało? – spytał bokser, rozglądając się czujnie.

–Nie wziąłem moich szkieł kontaktowych i źle widzę – szepnąłem. – To mi będzie przeszkadzać.

–Wcześniej nie mógł pan sobie przypomnieć?

–Zapomniałem – odparłem rozbrajająco.

Musiał uwierzyć, gdyż spytał łagodniej:

–Gdzie pan je ma?

–w biurku. Pierwsza szuflada od góry, po lewej stronie, w głębi.

–Dobra – rzucił, a potem jeszcze dodał blondynowi – pilnuj go!

Ryzyko było nieduże, gdyż w biurku rzeczywiście miałem szkła kontaktowe i okulary, które zostawiła jedna z dziewczyn. Pierwotnie chciałem mówić o okularach, ale brak wgłębień na nosie mógł mnie zdradzić. Gdy bokser zniknął za zakrętem schodów, odwróciłem się w stronę blondyna. Ciągle trzymając moje ramię, oparł się drugą ręką o framugę. Patrząc na jego gębę zro-

zumiałem co miał na myśli jeden z moich ulubionych autorów opisując antypatycznego typa.

–Co! Może chcemy nawiać? – spytał z nadzieją w głosie.

Słyszając stuk otwieranych u góry drzwi, uśmiechnąłem się szeroko.

–Jak najbardziej. Właśnie teraz.

–Ci inteligenci zawsze mają fajne gadki – zarechotał kontent.

Zdziwiłem się jakim cudem do tej pory nie zauważyłem, że jego palce opierają się o szczelinę ramy okiennej, tuż przy zawiasach. Jeszcze ciekawszy był fakt, że on to również odkrył, ale moment później od mnie. Wolną ręką z całej siły szarpnąłem do siebie okno, przy trzaskując mu końce palców. Jego ryk zagłuszył stukot butów o parapet. Już spadając zdążyłem dostrzec krew, która trysnęła spod paznokci na szybę. Mimo że było ciemno, dokładnie wiedziałem na czym wyląduję. Tydzień temu solidnie zrugalem dozorcę, że jeszcze nie uprzątnął tej hałdy piasku przy ścianie naszego domu. Teraz, gdy zaryłem się w nim po kolana, gotów byłem dozorcę nazywać dobroczyńcą. Powalony siłą upadku przeturlałem się na bok i prawie na czworakach przebiegłem do kępy krzaków rosnących przy płocie. Gdy spojrzałem za siebie, ujrzałem dwie ciemne sylwetki na tle okna, z którego salwowałem się ucieczką. Moment i okno było puste. Pogoń ruszyła. Element zaskoczenia został wykorzystany, teraz liczyła się tylko szybkość i szczęście.

–Boże! Jak najszybciej na policję, bo ja mam już dość tej przygody – pomyślałem, przykładając twarz do prętów płotu.

Ulica była cicha. Odbiłem się i przewinałem nad ogrodzeniem. Obok następnego bloku stał wóz bez włączonych świateł postojowych. To mogło sugerować, że facet, którego sylwetkę widziałem przez tylną szybę, zatrzymał się tylko na chwilę. Podbiegłem kilka kroków, i niby przypadkiem schyliłem się do buta, aby zobaczyć jego twarz. Spojrzał obojętnie i dalej ćmił papierosa. Z tyłu jeszcze nikogo nie było widać. Drzwiczki otworzyłem może odrobinę za gwałtownie, Facet obrócił zaintrygowany głowę.

–Czy mógłby mnie pan zawieść na policję? – starałem się uspokoić oddech. – Proszę się nie obawiać, a dla mnie to bardzo ważne.

Wyszczrzył zęby.

–Ależ naturalnie – mówiąc przekręcił kluczyk.– Proszę siadać.

Większość wozów amerykańskich ma automatyczną skrzynkę biegów, ale zdarzają się wyjatki.

Przy automacie wystarczy tylko przesunąć rączkę i już się jedzie. Zaś przy wozach europejskich trzeba zdrowo się namachać drażkiem. Dlatego, obrócony do tyłu, nie zwracałem uwagi na osobliwe gmeranie faceta gdzieś przy podłodze wozu. A szkoda. Może w innym wypadku nie dałbym sobie wepchnąć w pachwinę lufy czegoś diabelnie dużego.

–Proszę się nie ruszać – gdy mówił, z tyłu słyhać było odgłos szybkich kroków. – Już dość narobił pan kłopotów.

Za nami trzasnęły drzwiczki.

–Ten skurwys... – głos boksera, jakże teraz żywy, nagle umilkł.

–Sam pan przyszedł. To ładnie, bardzo ładnie – jego zdolności do zmiany usposobienia były iście kameleonowe.

Odrętwiały siedziałem nie odwracając nawet głowy. Kompletne fiasko! Dopiero teraz uświadomiłem sobie grozę mego położenia i zacząłem się bać. Blondyn przywołany gwizdem, jęcząc wgramolił się na tylne siedzenie.

–Ty skurwielu – jęczał liżąc zgniecione palce – ja ci jeszcze pokażę.

–Zamknij się, Kent – uciał bezosobowo bokser. – Jesteś idiotą i masz za swoje. Jęczenie zagłuszył silnik. Ruszyliśmy.

–Gdzie strzykawka? – spytał kierowcy bokser.

Gdy mu ją podawał, położyłem drżącą rękę na klamce.

–Jeśli będziesz chciał mi wbić, to wyskoczę w biegu – krzyknąłem, ale sądząc z reakcji boksera mogłem sobie oszczędzić energii.

–Drzwi są zablokowane, a poza tym zdążę cię ogłuszyć i dopiero wtedy wstrzyknę środek – jakże wspaniale rzeczowy był ten głos.

Podąłem ramię. Z zadziwiającą wprawą wbił igłę wprost w arterię. Blondyn z tyłu zdążył jeszcze bluznąć.

Jednym z najdurniejszych przesądów jest ten, że każdy sen wywołany narkotykiem, jest pełen majaczeń. Bzdura! Środek, który mi zaaplikowano sprawił, że omdlenie przyszło błyskawicznie, abym potem równie szybko odzyskałem świadomość. Leżałem na czymś w rodzaju kozetki. Była twarda jak suchary dietetyczne. Kolor, który dominował po otwarciu oczu był bielą. Pomieszczenie zaś wyglądało na wnętrze szpitala czy jakiejś innej instytucji zajmującej się chwalebnią czynnością przedłużania bądź skracania życia ludzkiego. Rozejrzałem się wokół i nie zauważyłem czyjejkolwiek obecności. Mrużąc oczy od jasnego światła uniosłem się na łokciu. Faktycznie, miałem rację, że poza mną nikogo tu nie ma. Dowcip był w tym, że mnie było dwóch. Zbyt dobrze znałem swoją twarz, aby wątpić, że człowiek leżący obok na leżance jest mną. Ostrożnie opuściłem nogi na podłogę, co przypomniało mi, że patrząc na drzwi nie należy wchodzić w stojący na podłodze nocnik. Uwolniłem się od tego naczynia i rozprostowując kości stwierdziłem, że jestem w dobrej kondycji. Oszołomienie minęło bez śladu, a narkotyk, działając ubocznie, wyzwolił mnie z uczucia lęku. Znowu byłem gotów dokonywać bohaterских czynów, a moje przeżycia ponownie zaczęły wydawać się tylko scenami z filmu, w którym akurat gram główną

rolę.

Strzygąc uszami zrobiłem krok do mojego sobowtóra. Żył! Upewnił mnie o tym łaskoczący ucho oddech. Zmierzyłem puls. Zgodnie z przewidywaniami był zwolniony. Gwoli ścisłości dodam, że obydwaj byliśmy ubrani w identyczne, płócienne pidżamy. Szmer, który dobiegł z korytarza wywołał reakcję, będącą podstawą do nadania mi przydomka faceta najszybciej kładącego się na leżance. Weszły dwie osoby. Kiedy stanęły przy drzwiach, zmrużyłem oczy do maksimum. Mężczyzna był średniego wzrostu. Jego nonszalancki sposób noszenia broni wskazywał na nowicjusza. Dziewczyna była niska, szczupła i cały czas szczypała faceta w ramię.

–Masz ich – powiedział ten z triumfem godnym Wilhelma Zdobywcy.

Dziewczyna na moment przestała go szczypać i przyjrzała się naszym twarzom z bliska. Gdy pochyliła się nad moją, stwierdziłem, że jej język jest irytujący.

–Który z nich jest robotem? – chciała wiedzieć.

Słyszając to, o mało nie spadłem na podłogę.

–Mówiłem ci, durna kobieto... – zaczął facet, ale przerwał pokwikując, gdyż dziewczyna ponownie go uszczypnęła. – Mówiłem ci, że to nie jest robot, tylko samoprogramujące się urządzenie z praktycznie nieograniczoną możliwością adaptacji – sądząc z tonacji, sam nie wiedział, co mówił, jednak palcem wyraźnie wskazywał na mego sobowtóra.

W napięciu chłonałem jego słowa.

–Jajogłowi zbudowali to urządzenie i aby się przekonać ile jest warte, postanowili jako program dać mu pamięć i cechy osobowe przeciętnego osobnika.

–Ja ci dam przeciętnego, kanalio – pomyślałem w duchu.

Facet nie miał okazji tego słyszeć, więc kontynuował:

–Potem zbudowali imitację człowieka i zamiast mózgu wepchali mu to urządzenie. Twierdzili, że jeśli zamienią człowieka na robota, to ten nie będzie miał nawet „zielonego pojęcia”, że jest automatem, gdyż będzie miał pamięć tego człowieka. Fajny numer. No nie?!

Dziewczyna uszczypnęła go ponownie, tym razem w ucho.

–Następnie chcieli obserwować tego robota i patrzeć, czy będzie się zachowywać normalnie. To jest tak samo, jak dotąd zachowywał się człowiek, którego miał

udawać. Gdyby tak było, to mogliby twierdzić, że skonstruowali idealnego robota, który dorównał swemu twórcy. Goryle z dołu mówiły mi, że w mieszkaniu tego gościa zamontowano całą aparaturę podsłuchową. Najpierw za jej pomocą mogli dokładnie sprawdzić, jak zachowuje się prawdziwy facet, a później upewnić się, czy robot robi to samo.

–A jak chcieli ich zamienić? – głos dziewczyny był irytująco piskliwy.

–Czy to takie trudne? – facet najwyraźniej był wszechwiedzący. – Dadzą temu prawdziwemu w łeb, bądź go uspią i przywiozą do kliniki. Jajogłowi na podstawie jego pamięci zaprogramują robota i podsuną go na miejsce człowieka. Przecież nikt, nawet sam robot się nie kapnie, że jest robotem. Potem, gdy wszystko będzie w porządku, wezmą robota, a faceta wypuszczą. Dadzą mu coś w łapę za milczenie a zresztą i tak nikt mu nie uwierzy, gdyż jajogłowi, Jak twierdzą, są w fazie eksperymentalnej i na razie nie chcą nic publikować.

Dziewczyna najwyraźniej miała dość gadania, gdyż młaśnięcie przerwało orację faceta. Nietrudno się domyślić, że ten pocałunek nie nosił nawet pozorów nieśmiałości. Ja zaś cały czas musiałem udawać mumię Tutenchamona.

–Chodź, odprowadzę cię do schodów – rzekł lekko zasapany facet. – Tylko pamiętaj! Nikomu ani słowa – zdążył dodać przed kolejnym młaśnięciem.

W końcu wyszedł z wiszącą u ramienia dziewczyną. Zeskoczyłem na podłogę.

–Wspaniała robota – pomyślałem, gładząc sobowtóra po ciepłym policzku, ale, nie było czasu na zachwyty.

–Ja wam pokażę, sukinsyny, babrać się w mojej głowie – szeptałem szukając czegoś ciężkiego.

Facet musiał znów czule się żegnać, gdyż zdążyłem wziąć z biurka przycisk do papierów i wdrapać się na swoje łóżko. Leżąc, opuściłem obydwie nogi, aby sprawiały wrażenie, że same zsunęły się z leżanki. Zaszokowany nową wiadomością nie analizowałem jej. Miałem jeden zamiar: uciec i odszukać mojego przyjaciela dziennikarza, z którym coś wymyślimy na tych spryciarzy.

Facet wszedł do pokoju, dalej bawiąc się bronią. Zgodnie z oczekiwaniami, widok moich zwisających nóg pobudził go do działania. Podszedł i zastanawiając się chwilę, co zrobić z pistoletem,, położył go na ceracie. Gdy złapał mnie w kostkach, ukryty dotąd w dłoni przycisk zatoczył łuk i wyrznął typa nad uchem. Sądzę, że nawet posługując się workiem z piaskiem, nie osiągnąłbym lepszego efektu. Faceta zdmuchnęło! Nadśluchiwałem ale ci, którzy wpakowali mnie w tę historię jeszcze nie nadchodzili. Ściągnąłem z nieszczęśnika spodnie i koszulę, mimo że były trochę za małe. Jednak zawijając kuse rękawy miałem pewność, że teraz nie rzucam się zbytnio

w oczy. Zostawiłem za sobą pokój wraz z sobowtórem i parą owłosionych łydek, wystających spod leżanki. Korytarz był słabo oświetlony, ale mnie to w zupełności wystarczało. Cicho, na koniuszkach palców przebiegłem w jego drugi koniec i wyjrzałem przez okno. Około piętnastu metrów dzielących od betonowego podjazdu odebrało chęć na powtórzenie poprzedniego numeru. Minąłem główne schody i po kilku metrach natrafiłem na zapasowe. Jak dotąd szczęście mi dopisywało, gdyż nie natknąłem się na żywego ducha. Zbiegłem pięć pięter w tempie godnym pozazdroszczenia. Na dole były jakieś pomieszczenia gospodarcze. Zagubiłem się w nich i kłąłem w duchu, gdyż lada moment mogli odkryć moją ucieczkę. Miałem co prawda zaufanie do plastra, którym zakneblowałem typa, ale pamiętałem jeszcze z kursu, że więzy z pidżamy można rozwiązać już po kilku minutach szamotania.

Nagle za jednym z zakrętów natknąłem się na drzwi wyjściowe. Zapełniało je dwóch osobników niosących w koszu stertę brudnej bielizny. Otwarty tył furgonetki wyjaśniał sprawę. Kucnąłem za tekturowym pudłem, dziękując w duchu mamie, że nie urodziła mnie wyższym. Gdy typy wróciły z pustym koszem, wykorzystując ich zniknięcie w bocznych drzwiach, cichutko podbiegłem do furgonetki i błyskawicznie przysypałem się bielizną. W samą porę, gdyż kładąc na twarzy ostatnią powłoczkę, miałem okazję zobaczyć, jak powracają z kolejnym koszem. Kilka następnych porcji brudów starannie ukryło mnie przed niepożądanym wzrokiem.

Ratując się przed uduszeniem, ręce musiałem bez przerwy trzymać złożone nad twarzą. I niech ktoś powie, że do smrodu można się po kilku minutach przyzwyczaić. Odór przepoconych szmat był makabryczny i tylko świadomość, że jeśli zwymiotuję, to automatycznie uduszę się, ratowała mnie od torsji. Po chwili drzwi z tyłu trzasnęły i samochód ruszył. Furgonetka tak trzęsła, że zacząłem ją podejrzewać o kwadratowe kółka. Tylko opatrności mogę zawdzięczać fakt, że się nie odkryłem, gdyż po kilkunastu sekundach samochód z jazgotem zahamował. Ja zaś starałem się nawet nie myśleć, gdyż szelest moich myśli mógł zdradzić mnie przed blondynem, którego głosu z pewnością nie mogłem pomylić z żadnym innym.

–... na pewno nie ma tu nikogo? – usłyszałem zaraz po łoskocie otwieranych drzwi.

–Ależ na pewno – tłumaczył się zniecierpliwiony typ. – Sami układaliśmy te łachy.

–Wy to nazywacie układaniem – parsknął blondyn gmerając w pościeli.

Mimo iż byłem więcej niż pewien, że robi to tylko jedną ręką, to do spotkania z nią nie miałem najmniejszej ochoty. Sądząc po słowach blondyna musiano odkryć ucieczkę, gdyż on dokładnie wiedział czego szuka. Znając zaś mentalność tych typów, byłbym przysięgł, że jest gotów odjąć sobie pół życia za przyjemność wybicia mi zębów. W takiej sytuacji zawsze można powiedzieć, że ofiara stawiała opór.

–Panie! Na ósmą musimy być w pralni, bo później będzie cholerna kolejka – typ

znacząco bębnił palcami po dachu wozu. – A do miasta kawałek drogi.

Właśnie w tej chwili blondyn począł penetrować mój ką. Pogoniony słowami puścił szmaty i zatrzasnął drzwi nie wiedząc, że to, co ostatnie trzymał, było moją nogawką. Jeszcze moment duszenia się i wóz ruszył. Bez względu na wszystko odrzuciłem pościel. Niech jeszcze gdzieś przeczytam, że temperatura ludzkiego ciała wynosi 36,6 stopnia Celsjusza. Ciesząc się względną swobodą, jechałem tak kilka minut. Po chwili przyszło mi do głowy, że gdyby typy po otwarciu furgonetki ujrzały mój rozanielony pysk, to mogłyby się zdenerwować. Kawałek, który mieli do miasta, mógł oznaczać równie dobrze kwadrans, jak i godzinę jazdy. Kucnąłem i upewniwszy się, że samochód jedzie równo, otworzyłem drzwiczki. Włos aż mi się zjeżył na głowie, na widok umykającego spod kół asfaltu. Jednak w perspektywie drogi, ograniczonej wysokopiennym lasem, nic nie jechało. W blasku poranka pobocze sprawiało w miarę zachęcające wrażenie, jeśli przy szybkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę cokolwiek może wyglądać zachęcająco.

Wiatr wyrywając mi drzwi przyspieszył decyzję. Odepchnąłem ich lewe skrzydło i skoczyłem w bok, starając się chronić rękami głowę. Na moment przed uderzeniem wyciągnąłem je jednak odruchowo przed siebie. Łomot, coś trzasnęło mi w dłoni i cisza. Cisza i spokój lasu o poranku. Furgonetka powiewając drzwiczkami, niknęła w oddali. Spojrzałem na rękę. Coś z palcami było nie w porządku, ale ból nie był na tyle silny, abym miał zareagować. Ogłupiały upadkiem wstałem i pokłusowałem w las; byle dalej od szosy. Pierwsze uderzenie upewniło mnie o fałszywości przysłowia, że im dalej w las, tym więcej drzew. Było ich wszędzie tyle samo, to znaczy za dużo. Skołowany uderzeniami, plątałem się w krzakach, a niskie gałęzie cięły mnie po twarzy. Niestety, wyciągnięte ręce były tylko prowizoryczną osłoną. Również wychodziły na jaw wszystkie moje zaległości biegowe, co obwieszczałem światu głośnym sapaniem. Gałęzie zewsząd smagały po ciele, a drzewa podkładały całe chmary korzeni. Mimo tego, dość szybko poruszałem się naprzód.

Nagle bez żadnego ostrzeżenia las się skończył przechodząc w wąski pasek trawy i asfalt. Inna szosa, a kilkanaście metrów dalej stacja benzynowa. Właśnie gaszono jej neon. Pochyliłem się dysząc. Gdy puls spadł do normalnego, zacząłem wytrzepywać z ubrania i włosów tysiące małych igiełek. Przy okazji w tylnej kieszeni spodni znalazłem setkę. Ucieszony pocałowałem prezydenta w czoło. Przyjrzałem się jeszcze sobie chcąc sprawdzić, czy wyglądam na gościa, któremu na drodze zepsuł się samochód. Nie miałem zamiaru opowiadać pracownikom stacji o moich przeżyciach.

Chyba odruch sprawił, że podniosłem uszkodzoną przy upadku rękę do oczu. Określenie, że dostałem młotkiem po głowie, było w tej chwili zbyt delikatne. To był duży kafar, Który zwałił mi się na nią, niszcząc cały mój świat.

–Pomylił się! – zaśmiałem się spazmatycznie, opadając na trawę. – Ten idiota nas pomylił!

Mały palec miałem pęknięty na wysokości pierwszego zgięcia. Nie złamany, ale właśnie pęknięty. Ze szczeliny wystawały plastikowe nici, zaś dalej za nimi metalicznie pobłyskiwała kość. Wokół niej kilka kropel zaschło na kolor czerwony. Zbyt czerwony jak na krew.

–Jestem robotem – wymamrotałem, kiwając się w kucki. – Jestem robotem...

Godzinę później złapałem na stacji faceta, który zgodził się podwieźć mnie kawałek. Pojechaliśmy w drugą stronę niż moje miasto, a ja ciągle się zastanawiałem, czy można mnie wyłączyć. Uszkodzoną dłoń ścisnąłem w kieszeni.

Pocałowałem Betty w ucho, unikając jej zębów. Wariatka ta miała dużą frajdę, gdy gryzła mnie w nos.

–Zaczekaj tu grzecznie. Ja zaraz wrócę i pójdziemy do domciu – powiedziałem, lubieżnie mrużąc oko.

Roześmiała się gardłowo i ciągle łypiąc na mnie filuternie udała, że zagłębia się w lekturze. Poszedłem do budki, pobrzękując bilonem. Rozmowy międzymiastowe zawsze zmuszają do noszenia złomu. Ręka, którą podniosłem słuchawkę miała mały palec owinięty plastrem. Numer znałem na pamięć.

–Słucham. Instytut Parksona – głos był odległy, lecz czysto brzmiący.

–Proszę z doktorem Parksonem – z trudem wypowiedziałem nazwisko.

–Przykro mi, ale jest nieobecny – rzuciła panienka jeden ze sloganów z „Poradnika sekretarki”.

–Ja wiem, że on jest i że oczekuje na mój telefon. Jeśli praca pani się podoba i nie ma pani zamiaru jej zmieniać, to proszę powiedzieć doktorowi, że dzwoni jego Tomasz Jonge; podkreślam: jego Tomasz Jonge – dopiero teraz dopuściłem panienkę do głosu.

–Dobrze. Postaram się – rzuciła następny slogan.

Reakcja była natychmiastowa.

–Miło mi, że pan zadzwonił – dobiegł stłumiony głos. Mógłbym zaręczyć, że jego właściciel akurat wyciera spocone czoło.

–Pan wie, że ja wiem... – zacząłem,

–Tak panie Tomaszu. Cieszę się, że właśnie na mnie pan trafił, a nie na któregoś ze współników.

Czułem, że jest bardzo zmęczony.

–Więc nie będzie mi pan ubliżał od zbuntowanych robotów? – byłem lekko zdziwiony.

–Robotów? Skądże, przecież pan nie jest robotem tylko człowiekiem. Domyślam się, że

tej nocy, gdy pan od nas uciekł, słyszał pan rozmowę Kamila i jego dziewczyny.

–Kamil? – zacząłem, ale kojarzenie zadziało. – To ten co mnie pilnował?

–Tak.

–Słyszałem.

–Tak sądziłem. To dobrze, że nie muszę wszystkiego tłumaczyć. Wiemy obydwaj, że cały pański układ nerwowy jest wierną kopią systemu człowieka. Czy to naprawdę takie ważne, czy tworzy go białko, czy pewien związek chemiczny?

–Dziwię się, że pan to mówi – wtrąciłem.

–Hmm – westchnął ze smutkiem – większość pieniędzy, jakie mieliśmy poszła, proszę wybaczyć, na skonstruowanie pańskiego ciała. Nie możemy bez pana prowadzić dalszych badań, a na powtórny eksperyment nie mamy pieniędzy. Zaś jedyny dowód naszego sukcesu uciekł, czując się człowiekiem. Nie mylę się chyba?

–Nie – patrzyłem zamyślony jak monety, jedna za drugą wpadają w otwór.

–Ale nie żałuję tego, w przeciwieństwie do moich współników. Ponad wszelką wątpliwość udowodniłem, że potrafię stworzyć istotę rozumną. Aha... Pan zdaje sobie sprawę, że poza układem nerwowym, cała reszta pańskiego ciała działa na innej niż u człowieka zasadzie.

–Tak. Zauważyłem, że mogę się obyć bez jedzenia i wody. Sądzę, że moje ciało jest doskonałą imitacją organizmu ludzkiego, to znaczy jeśli nie poddam się prześwietleniu bądź innym szczegółowym badaniom, to nikomu nie przyjdzie do głowy, że jestem inny niż wszyscy.

–Tak, i proszę pamiętać, że bateria będąca źródłem pańskiej energii, ma ze wszystkiego najmniejszy okres gwarancji. Tylko trzydzieści lat.

–Trzydzieści lat – powtórzyłem jak echo i głośno się zaśmiałem.

–Czy coś się stało? – spytał zaniepokojony.

–Nie, wszystko w porządku. Właśnie się dowiedziałem, ile będę żył – mówiąc, przyglądałem się siedzącej na ławce Betty, która właśnie pokazała mi język.

–Zazdroszczę panu tego, że przez trzydzieści lat będzie pan praktycznie nieśmiertelny. I tego, że nie będzie się pan starzeć – usłyszałem jego smutny głos. – Ale nic... Jak organizm? Dobrze funkcjonuje?

–Wspaniale – odparłem, wrzucając ostatnią porcję monet.

–Sądzę, że nie ma sensu, abym zagłębiał pana w tajniki jego działania – spytał.

–Nie! Po co? – odparłem, myśląc już o czymś innym. – Mogę panu powiedzieć, że jako mężczyznę równie świetnie mnie pan skonstruował. Moja dziewczyna nie może się nachwalić.

Śmiech po drugiej stronie słuchawki był lekko zażenowany.

–Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli nie będziesz do mnie dzwonił – mimowolnie przeszedł na „ty”.

–Słusznie – potwierdziłem. – Chyba twoi wspólnicy mieliby inne zamiary co do mojej osoby?

–Tak, Tomaszu. Powiem ci na zakończenie, że twój bliźniak w rozumie żyje dobrze i nie ma pojęcia o całej historii.

–Cieszę się! Monety mi się skończyły, więc do widzenia, panie doktorze.

–Do widzenia – i szybko dodał – pamiętaj, że ja nie chciałem takiej formy eksperymentu.

–Wiem, Do widzenia – zakończyłem ciepło.

–Do widzenia!

Obydwie słuchawki jednocześnie stuknęły o widełki. Wyszedłem z budki Po błękicie nieba snuło się kilka małych obłoczków, zapowiadając kolejny gorący wieczór. Chyba że przyjdzie wiatr od morza, niosąc wilgotne i chłodne powietrze. Śmiejąc się schwytałem nadbiegającą Betty w objęcia.

OCALENIE

Pierwsza godzina po zachodzie słońca

Jan włączył telewizor. Ukazała się przypudrowana twarz spikera. Tego samego co zawsze, Jak widać uznali, że to lepiej wpłynie na naszą psychikę, pomyślał. Spiker chrząknął i starannie dobierając słowa, zaczął mówić.

– „Nadajemy teraz ostatni komunikat o wyprawie ratunkowej majora Bilca. Niestety, zakończyła się ona fiaskiem”.

Jan poczuł jak w tym momencie czterem miliardom ludzi serce podchodzi do gardła. On je też tam miał. Spiker kontynuował:

– „Ostatni komunikat informował, że udało mu się wejść na orbitę parkingową wokół „Apokalipsy”. Potem jeszcze usłyszano strzępy meldunku, że podchodzi do lądowania. Od tego czasu minęło sześć godzin i brak jest jakiegokolwiek łączności. Mimo utrudnionych przez słońce obserwacji wyraźnie widać, że w ciągu ostatnich godzin bolid nie zmienił trajektorii lotu. Tak więc szansę na uniknięcie zderzenia w tej chwili są prawie żadne. Nie możemy sobie pozwolić na luksus złudy! Po co mamy cierpieć? – Spiker wręcz krzyczał. – Rząd zalecał użycie pigułek. Jeśli do tej pory ich nie pobrałeś, idź i uczynź to natychmiast! Ulżysz sobie i swoim bliskim w cierpieniach. Pamiętajcie, gdyby był choć cień nadziei, trzymalibyśmy się do końca. A tak? Już od tygodnia wiadomo, że bolid uderzy w okolice Morza Północnego. Pierwsza pójdzie fala wodna: zaleje całe Wyspy Brytyjskie, Francję, Niemcy i Skandynawię. Następna będzie fala uderzeniowa, wywołana przez eksplozję bolidu. Eksplozję, gdyż rozgrzany tarciem bolid w zetknięciu z zimną wodą oceanu na pewno eksploduje. Po tym w całej Europie nie będzie już nikogo żywego. Ale to nie wszystko, gdyż jak obliczono, tak duże pchnięcie wytrąci nasz glob z równowagi. Ziemia obróci się o duży kąt w kierunku działania siły. Jak zapewne większość się orientuje, kierunek osi obrotu względem układu słonecznego pozostaje w przestrzeni niezmienny, a więc przesuną się bieguny. Spowoduje to zmianę szerokości geograficznych poszczególnych punktów na powierzchni naszego globu. Konsekwencją tego będzie katastrofalna zmiana klimatu. Jednak to nie wszystko, gdyż Ziemia jest elipsoidą powstałą w wyniku własnego ruchu obrotowego. Po przesunięciu się „osi” Ziemi, elipsoidalna przekrzywi się. Naturalnie, za jakiś czas ruchy górotwórcze przywrócą jej pierwotny kształt, ale masy wody, które będą jeszcze w starej pozycji, uderzą od razu. Zaleją powstałą wzdłuż nowego równika lukę, chcąc uformować się równomiernie. A to będzie już nasz koniec! Proszę wybaczyć, że mówię trochę niedokładnie, ale to już było omawiane w publikacjach.

Spiker był zdenerwowany. Co chwilę poprawiał sobie kołnierzyk. Jego okulary najwyraźniej były zapocone.

–„A więc jeszcze raz powtarzam, zażyjcie pigułki. Po nich odchodzi się szybko, bez cienia bólu. Nie powtarzajmy historii mamutów!" – dodał ni w pięć, ni w dziewięć.

–Potem podniósł rękę do ust i coś szybko przełknął. Jana poderwało. Ale już po chwili wiedział, że tam za szklaną szybką ten człowiek jest martwy. Ekran powlekł się szarością.

Druga godzina

Skrzypnęło krzesło. Odwrócił się, za nim siedziała Beata.

–Słyszałaś, co mówił? – spytał.

Skinęła potakująco. Po drgających kącikach ust widać było, że ledwo wstrzymuje się od płaczu.

–U nas będzie wtedy piąta rano? – spytała. Bał się tego pytania, ale musiał jej odpowiedzieć.

–Tak jak obliczyłem, stanie to się na parę minut przed świtem – odpowiedział nerwowo przygryzając wargę.

–A więc, to był nasz ostatni dzień? – rzuciła, sam nie wiedział do kogo.

Milczał. Podeszedł do niej i wziął głowę w dłonie. Palce delikatnie przesunęły się po włosach. Przytuliła się mocno; za mocno. Uniósł jej głowę. Łzy ściekały po policzkach i ginęły gdzieś w załamaniu brody.

–Nie płacz maleńka – powiedział cicho – przecież my tego nie zrobimy. Umówiliśmy się. Prawda?

Skinęła głową i próbowała się uśmiechnąć. Schylił się i musnął jej policzek, a potem pocałował.

–Poczekaj, coś ci pokażę – powiedział, idąc w kierunku regału z książkami.

Chwilę szukał, a potem wyciągnął grube tomisko. Opierając je na kolanie, uśmiechnął się porozumiewawczo. Już nie płakała. W końcu najwidoczniej znalazł to co chciał, gdyż założył miejsce palcem i usiadł obok. Patrzyła z wyczekiwaniem.

–Wyobraź sobie, że to co nas spotyka, już kiedyś się zdarzyło – zaczął tonem, jakim opowiada się bajki. – Znalazłem taki fragment w „Dialogach” Platona. Posłuchaj, i sama oceń.

Skandując, zaczął czytać: *... Pisma nasze mówią, jak wielką niegdyś państwo wasze złamało potęgę... Szła z zewnątrz, z Morza Atlantyckiego. Wtedy to morze tam było dostępne dla okrętów. Bo miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Heraklesa... Ci, którzy wtedy podróżowali, mieli z niej przejście do innych wysp. A z wysp była droga do całego lądu, leżącego naprzeciw, który ogranicza tamto prawdziwe morze... Otóż na tej wyspie, na Atlantydzie,*

wstało wielkie i podziwu godne mocarstwo pod rządami królów, władające nad całą

wyspą i częściami lądu stałego... później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy i nadszedł jeden dzień i jedno noc okropna... wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnią morza i zniknęła... – skończył.

–Więc jednak to nie wygubiło całej ludzkości? – spytała szeptem.

–A jak myślisz? – odpowiedział, uśmiechając się.

–To dobrze, to bardzo dobrze – mówiła – a więc mamy szansę. Mamy... Jak dobrze, że ty tu jesteś.

Przytulili się do siebie i patrzyli na migocące na niebie gwiazdy A on jej opowiadał o Platonie Atlantydzie i cały czas myślał o tym, że nie mają żadnej szansy.

Trzecia godzina

Zegar wybił północ. Jan patrzył na drzwi, za którymi zniknęła Beata. Poszła do kuchni, aby zrobić herbatę. Wiedział, że się bała, ale jednocześnie wyczuwał, że go kocha. Tak jak on ją. Miłość – dziwne uczucie. Przez nie postanowili być ze sobą do końca. Ale jakiego? Nie chciał, aby cierpiała. Jeszcze raz spojrzął odruchowo na kieszonkę koszuli. Widać było w niej plastikowy rożek małej torebeczki. Torebeczki z białą, krystaliczną substancją. Nie! Co za głupie myśli go nachodzą!

Za oknem rozległ się wrzask. Gwałtownie wstał, przewracając fotel wyrzwał na dół. Na asfalcie widać było małą rozrzuconą sylwetkę, podobną do rozdeptanej biedronki. Ten jak widać wolał bardziej manifestacyjnie zakończyć życie. Jeszcze raz przejechał wzrokiem w dół po elewacji – jedenaście pięter. Rozejrzał się, prawie wszystkie okna były oświetlone, a tam po prawej stronie, zza gmachu poczty widać było łunę.

–Kto to? – usłyszał, gdy ktoś nagle mu zakrył oczy dłońmi.

Dla powagi chwilę się zastanowił.

–Ty – rzekł.

–Zgadłeś – powiedziała Beata dając mu pstryczka w nos – chodź, coś zjemy.

Na stole stała taca z kanapkami i dymiące filiżanki z herbatą. Mocną herbatą, taką jaką oboje najbardziej lubili.

Czwarta godzina

Myślał długo i ciężko myślał. Z zazdrością patrzył na Beatę. Spała z głową na jego kolanach. Jeden pantofel spadł jej i leżał na dywanie. Cicho oddychała. Lekko gładził jej włosy. Przeniósł wzrok wyżej. Stół z niedojedzoną kolacją w ciemnościach nabrał monstrualnych kształtów. Jego długi cień, od smugi światła z okna, sięgał aż do przeciwległego kąta pokoju. Cisza. Czyżby inni już...? Domy nadal były oświetlone. Oni jednak woleli siedzieć po ciemku. W kącie sennie buczał telewizor. Nadal nic się nie pojawiało na ekranie. Czyżby nie mieli już spikerów? A może uznali, że wszystko się dopełniło?

Popatrzył na nią. Nie mógł pozwolić, aby cierpiała. Lecz jak on może zrobić jej coś złego? Musi, bo ją kocha. Musi? Tak, dla jej dobra. Przysunął szklankę z wodą. Z kieszonki ostrożnie, aby jej nie zbudzić, wyjął torebeczkę i wyciągnął szew. Proszek szybko się rozpuścił. Podniósł dłoń ze szklanką i popatrzył pod światło. Woda lekko falowała, szyderczo wydłużając obraz Księżycy. A więc, tak to wszystko się skończy. Sprężył się w sobie i delikatnie postukał ją w ramię. Beata otworzyła oczy.

–Masz wypij – powiedział – dobrze ci to zrobi.

–Co to jest? – wychrypiała, mrużąc oczy od światła Księżyca.

–Lemoniada – powiedział krótko, gdyż wiedział, że przy następnym słowie nie wytrzyma.

–Dobrze, jak chcesz – szepnęła, biorąc szklankę.

Uniosła się na łokciu i opierając głowę o jego ramię przechyliła szklankę do ust. Jan zamknął oczy. Dopiero, gdy usłyszał stukot, rozwarł powieki. Tamci mieli rację, to działało błyskawicznie. Jej ręka opadła i huśtała się rytmicznie nad podłogą. Szklanka wypuszczona z rozwartych palców potoczyła się pod otwarte drzwi balkonu. Jeszcze chwilę się kiwała, aby potem znieruchomieć. Jan patrzył w skupieniu, jakby poza nią już nic go nie interesowało.

Piąta godzina

Szklanka dalej leżała. Chociaż wydawało się... ale nie, tylko mu się zdawało.

Szósta godzina

Tak, był pewien. Szklanka się nie rusza. Mój Boże, ona leży tak samo jak przedtem. Szklanka...

Siódma godzina i ostatnia

Odwrócił wzrok. Na dworze był już dzień. Powoli przesunął głowę w kierunku telewizora. Rozchełstany facet już od kilkunastu minut wykrzykiwał: „Uratowani, major Bile, ludzkość, żyjemy, bracia, „Apokalipsa” wysadzona w ostatniej chwili, deszcz meteorytów, i jeszcze raz „ludzkość, uratowani...” Popielniczka trafiła w sam środek kineskopu. Obraz pękł i po chwili widać było tylko tłące się przewody.

Wstał i powoli zaczął iść w stronę jasnego kwadratu na ścianie. Ostrożnie, aby nie dać Boże się zbudziła, niósł jej ciało na rękach. Jeszcze krok i wiatr owiał rozpalone czoło. Schylił głowę i przytulił do lodowatego policzka. Skórę miała jak zawsze delikatną i miękką. Słyszał było nieliczne krzyki i wivaty. Gdzieś, daleko w górze wisi samotny ptak; wolny i niezależny.

On jak tamten też leciał i tylko kwadraty bruku były coraz bliższe.

ZAPOMNIANY PRZEZ LUDZI

Przez opary snu dotarł do mego jakiś dźwięk, który z każdą chwilą zdawał się być coraz gwałtowniejszy. Miał zamiar go zignorować i spać dalej, gdy nagle uświadomił sobie jego pochodzenie. Był to budzik. Otworzył oczy i mógł stwierdzić, że się nie omylił. Jasny cyferblat szczerzył wskazówki, sugerując godzinę siódmą. Musiał wstawać. Aby jak najszybciej wygonić resztki snu, energicznie odrzucił kołdrę i podbiegł do okna. Parkiet chłodził rozgrzane stopy. Na dworze na szczęście nie padało; powietrze było wilgotne i pachniało lipą. Wychylił się dalej i mógł dostrzec dwa kundły szaleńczo biegnące wukół kubłów na śmieci. Za nim w pokoju trzasnęły drzwi. Uniósł głowę, w dalszym ciągu przechylając się za parapet Ujrzał twarz matki; miała dziwny wyraz.

–Co pan tu robi? – usłyszał. Głos był na pozór stanowczy, ale, znając matkę, wyczuł strach.

–Patrzę przez okno, proszę pani – odparł, w miarę beztroskim tonem.

–Proszę odpowiedzieć! – krzyknęła histerycznie. Bo zawołam policję!

Wyprostował się zdziwiony.

–O co ci chodzi, mamó? – mówiąc to, zro-bił krok w jej stronę.

–Proszę się nie zbliżać! Nie jestem żadną pańską mamą! – krzyknęła znowu. – Jeszcze raz pytań, kim pan jest?!

–Mamo, zwariowałaś? – teraz i w jego głosie zabrzmiała histeria.

Kobieta znów podskoczyła na dźwięk słów „mama”, coraz bardziej czerwieniejąc na twarzy.

–A więc nie chce pan powiedzieć, co robi tutaj o siódmej rano i to w pidżamie! – zawołała zatrzaskując drzwi.

Usłyszał odgłos przekręcanego klucza w zamku. Przez moment, na tyle długi, że zdążyły umilknąć kroki, stał niezdecydowany pośrodku pokoju, aby później gwałtownie skoczyć do drzwi. Uderzył w nie kilkakrotnie pięścią.

–Mamo, otwórz! – wołał. – O co ci chodzi?

Zza drzwi odpowiedziały jakieś dalekie szmery i nic więcej. Otarł kułak ze złuszczonego lakieru, aby później wolnym ruchem sięgnąć do kieszeni. Miętkość materiału uprzytomniła mu fakt, że jest w pidżamie. Usiadł na łóżku, zdjął ze stoliczka paczkę papierosów i stukając palcami w denko, ustami wyjął jeden z nich. Właśnie miał potrzebę łąpek zapalki, gdy usłyszał odgłos kroków z korytarza. Odruchowo wstał. W uchylonych drzwiach ukazała się głowa Scotta; sąsiada z góry, dobrodusznego ojca rodziny. Robert mimochodem zauważył pod jego nosem resztki piany po goleniu. Matka najwyraźniej zastała go przy porannej toalecie.

–No... – zaczął groźnie Scott.

–Panie Scott – wszedł mu w słowa Robert – dobrze, że pan przyszedł. Nie wiem, co się dziś dzieje z moją mamą. Wygląda jakby mnie nie poznawała. Może pan jej...

–Zamknij się pan! – przerwał Scott. – Skąd tu się wzięłeś? Tylko szybko, bo jestem nerwowo! Według mnie to zwykły złodziej, pani Holmitz – dodał zwracając się do matki Roberta.

Ten stał z wytrzeszczonymi oczyma i czuł, jak coraz bardziej robi mu się gorąco.

–Czyście powariowali? – wyszeptał. – Przecież ja mieszkam w tym domu od urodzenia, już dwadzieścia lat. A to jest moja matka, przecież wiem, do cholery, jak

ona wygląda. Pan też mnie zna od urodzenia. Przestańcie robić głupie kawały, gdyż to wcale nie jest dowcipne.

Tamci wyglądali, jakby patrzyli na groźnego, lecz oryginalnego wariata.

–Zresztą, co ja wygaduję. Rozejrzyjcie się po pokoju. Może to was otrzeźwi – tłumaczył nie dając za wygraną. – Czyje to są rzeczy, jak nie moje? Te książki, zdjęcia, koszule, skarpetki... – miotał się po pokoju wyciągając coraz to nowe przedmioty. – Więc powiedzcie mi, skąd to się tutaj wzięło, co?

Umilkł mając nadzieję, że usłyszy zaraz słowa: „nie gniewaj się synku, to tylko żart”. Niestety, usłyszał coś zupełnie przeciwnego.

–Nie wiern skąd to się wzięło. Sądzę, że pan to przyniósł w nocy. Ten pokój był zawsze... – tu jakby na moment się zawahała, aby dokończyć – pusty.

Kiedy to mówiła, jednocześnie wycofywała się za plecy Scotta.

–Niech pan tu zostanie i popilnuje tego człowieka – poprosiła. – Ja wezwę policję.

–Oczywiście pani Holmitz – odpowiedział sąsiad, pozersko opierając się o futrynę.

Matka wyszła, a skołowany Robert usiadł na krześle. Po głowie zaczęła mu chodzić jedna myśl, jak uchronić matkę od zakładu dla psychicznie chorych, gdy przyjdzie policja.

–Radzę panu przestać udawać idiotę – przerwał jego rozmyślania głos Scotta.

Robert rzucił mu niechętnie spojrzenie, lecz tamten, niezrażony, ciągnął dalej:

–Panią Holmitz znam prawie dwadzieścia lat i mogę pana zapewnić, że nigdy nie miała ona syna. Jedyne dziecko, jakie miała to córeczka, która zmarła w kilka dni po urodzeniu.

–Wiem – wtrącił Robert – miałem wtedy dziesięć lat. To była moja siostrzyczka.

–Panie – ciągnął dalej Scott – to nie ma sensu, że pan podaje się za jej syna. A poza tym, co ja tu będę z panem dyskutował.

Do momentu przyjazdu policji siedzieli nie odzywając się do siebie, tylko Robert nerwowo palił papierosa za papierosem.

Obydwaj policjanci byli grubi, nadęci i mieli miny władców, jeśli nie świata, to przynajmniej tej dzielnicy. Jeden z nich pociągał nosem, jakby miał katar.

–To właśnie ten człowiek – powiedziała matka.

–Dokumenty – warknął wyższy kładąc znacząco rękę na pasie.

Kiedy Robert mu je podawał, dodał:

–Proszę się ubierać. Pójdzie pan z nami!

Robert zignorował te słowa, pokazując palcem dane w dowodzie.

–Przykro mi panowie, że musieliście się trudzić – mówił – ale tu jest wyraźnie napisane, że ja tu mieszkam i jestem synem tej pani.

Grubas jeszcze przez chwilę studiował dokumenty naradzając się ze swoim kolegą. Potem znów pociągając nosem zwrócił się do pani Holmitz:

–Z dokumentów wynika, że ten człowiek rzeczywiście jest pani synem.

–Nonsens – odparła.

Scott również coś tam zbulgotał. Robert powoli odzyskiwał zdolność myślenia. „Biedna mama” – przeszło mu przez głowę, jednak musiał zacząć działać.

–Może panowie pójda po dozorcę i spytają się o mnie. To powinno wyjaśnić tę niezręczną sytuację.

Policjant spojrzał niechętnie; widocznie nie lubił, gdy ktoś był mądrzejszy od niego, ale kiwnął głową na drugiego. Kiedy czekali na jego powrót, Robert z wyrzutem popatrzył na matkę. Ta uniosła z dumą głowę i patrzyła w jakiś wybrany punkt na ścianie. Wtem Robertowi przyszło do głowy, że głupio stać w pidżamie wobec obcych ludzi. Poszedł za kotarę, gdzie leżało ubranie, ułożone jeszcze przed snem. Właśnie zapinał pasek, gdy wszedł wysłany policjant. Na twarzy miał rozlany uśmiech satysfakcji.

–Dozorca przysięga na wszystko, że pani Holmitz zawsze mieszkała sama i nigdy nie słyszała, aby miała syna – wyrecytował.

Wyższy słysząc to, znów pociągnął nosem.

–A więc fałszywe dokumenty – stwierdził. – Proszę z nami.

Odsunął się ukazując drzwi. Robert chciał krzyknąć, zaprotestować, ale nie potrafił swych myśli złożyć w sensowne zdanie. Rozejrzał się jeszcze po pokoju, obcym teraz i nieprzyjaznym, i wyszedł. Gdy schodził z policjantami słyszał cichnący głos Scotta, który uspokajał jego matkę.

–Proszę tu podpisać – powiedział komisarz, kładąc mu przed nosem maszynopis zeznań. Robert starał się go przeczytać, ale piekielny ból głowy zlewał tekst w

monotonny deseń. Z rezygnacją złożył u dołu dwa słowa: imię i nazwisko, których za żadną cenę nie miał zamiaru się wyrzekać. Pióro drżało mu w palcach.

Sędzia śledczy właśnie kończył studiować ogłoszenia w porannej gazecie, gdy ktoś zapukał. Odłożył prasę i przybierając nobliwy wygląd zawołał;

–Proszę!

–Panie sędzio, Ja w sprawie Roberta Holmitza – mówił komisarz podchodząc do biurka, gdzie położył przed sędzią teczkę z aktami.

–Czy jest coś nowego? – spytał ów, zakładając cienkie okulary.

–To niesamowita historia – relacjonował komisarz. – Łapiemy faceta w mieszkaniu zupełnie obcej mu osoby. Okazuje się, że nie wiadomo jakim cudem sprowadził on tam swoje meble i rzeczy sugerując, iż jest synem właścicielki mieszkania. Na domiar złego ma idealnie podrobione dokumenty i uwaga... – komisarz zawiesił głos – we wszystkich urzędach, gdzie powinien być zarejestrowany, rzeczywiście figuruje. Muszę zaznaczyć, że również u nas był notowany za rozrabianie w czasie demonstracji studenckiej. Zarówno personalia, jak i linie papilarne zgadzają się. Nie mam pojęcia kto i w jaki sposób podłożył te dokumenty. Gdyby nie to, że on nie potrafi wskazać chociażby jednej osoby, która by go znała, gotów byłbym uwierzyć, że jest Robertem Holmitzem. To jakaś niesamowita mistyfikacja.

–Czy nikt nie potwierdził jego tożsamości? – wtrącił sędzia przewracając kartki sprawozdań.

–Absolutnie nikt. Nawet dziewczyna, którą określał jako swoją narzeczoną zaprzeczyła temu, że go zna – mówiąc to zniżył głos do szeptu. – Nie ma pan pojęcia co się wtedy działo. On ją zaklinał, ona czerwieniła i płacząc uciekła. Ten zaś dostał szału i rozbił o ścianę krzesło, także lekarz musiał mu aplikować coś na uspokojenie. Teraz siedzi spokojnie w areszcie.

Kiedy komisarz umilkł, sędzia chrząknął i rysując długopisem jakieś bohomy na okładce teczki do akt, powiedział:

–Wydaje mi się, że to jest poważna sprawa – rzekł przeciągając samogłoski. – Jakaś grubsza afera, kto wie, może szpiegowska. Trzeba będzie zawiadomić Wydział Spraw Wewnętrznych. Sądzę, że zainteresują ich te podłożone dokumenty.

Komisarz z szacunkiem przytaknął.

Major

Martin Kole

Raport

Niżej podpisany kapitan medycyny sądowej stwierdza, że przeprowadzi na osobniku podającym się za Roberta Holmitza test prawdy, a także próbę Holza i Berdiewa. Wynik wszystkich trzech był ujemny, co wskazuje na bezcelowość dalszych przesłuchań metodami klasycznymi. Osobiście muszą zaznaczyć, że jest to bezprecedensowy wypadek w medycynie, aby u jednej osoby wskaźnik reakcji na każdy z w/w testów był poniżej 0,1 proc.; innymi słowy ów osobnik jest całkowicie przekonany o swojej fikcyjnej tożsamości. Uważam, że podobny efekt mogło wywołać „pranie mózgu” połączone z dużym stresem psychicznym, którego nawet trans hipnotyczny (patrz: próba Holza, zał. 1/3) nie potrafił usunąć. Zaznaczam, że nasze laboratoria nie mają możliwości uzyskania podobnego efektu.

Podpisano:

Kapitan medycyny sądowej

Bernard Pintor

–Oskarżony, proszę wstać – wyrecytował sekretarz. – Sąd ogłosi wyrok.

Sędzia, zasuszony starzec z łańcuchem na piersi, poprawił togę, gdy brał do ręki kopię wyroku.

–Sąd Najwyższy skazuje obecnego tu Roberta Holmitza za działalność szpiegowską na karę dwudziestu lat więzienia. W swoim orzeczeniu sąd pragnie wyrazić ubolewanie nad nieustępliwością oskarżonego w sprawie jego tożsamości, jak również pragnie zaznaczyć, iż czynnikiem łagodzącym był fakt, że nie udowodniono oskarżonemu żadnego czynu na szkodę państwa, co jednak niewątpliwie by nastąpiło, gdyby nie jego przedwczesne ujęcie.

Robert opuścił głowę.

–Encyklopedia Medycyny Współczesnej. Wyd. III, rok 2015, klatka 51151; odczyt;

Syndrom Holmitza – choroba społeczna, występująca w barazo dużych skupiskach ludzkich, które przekroczyły próg informacji stopnia drugiego. Objawia się kasacją informacji dotyczących losowo wybranego człowieka lub przedmiotu. Jako środek zaradczy stosuje się banki informacji, odtwarzające utracone dane. Nazwa syndromu pochodzi od nazwiska człowieka, który stał się jego pierwszą ofiarą.

Patrz: Encyklopedia Biograficzna, Wyd. IV, rok 2014, klatka 2305.

ZABAWA W STRZELANEGO

Prowadził samochód nonszalancko. Piąta aleja była teraz prawie całkowicie pusta. Uważnym wzrokiem obserwował samochody ustawione wzdłuż krawężników. Większość z nich była koloru czerwonego. Na tę myśl zmarszczył czoło. Przez moment zwrócił uwagę na dwóch mężczyzn, którzy majstrowali przy bagażniku dużego, czarnego Mercedesa. Ale sądząc po twarzach, które mu mignęły, robili to najzupełniej legalnie. Skręcił w lewo. Po tłoku na chodnikach można było poznać, że zbliża się do centrum. Sięgnął ręką i namacał pokrętło radia. Głos spikera poprzedził trzask wyłącznika.

„... ten dzień. Świadczą o tym tysiące ludzi, którzy zebrali się na placu Waszyngtona. Wszyscy w napięciu oezekują przybycia prezydenta. Ma on przyjechać za dwadzieścia minut. Aha, nie wiem czy wiecie; ale nic tak nie skraca dłużącego się czasu jak mini-radiodbiornik firmy „Phillips”, zapamiętajcie minira...”

Głos urwał, gdyż Dawid wyłączył radio. Na jego twarzy malował się podejrzany uśmiech, tak jakby usłyszał coś bardzo przyjemnego. Popatrzył na zegarek.

–Jeszcze czterdzieści minut – szepnął.

Podniósł wzrok zza kierownicy i rozejrzał się. Zaulek, który biegł za budynkiem teatru najwyraźniej mu się spodobał, gdyż tam skierował swój wóz. Wolno jadąc, zaparkował koło sterty śmieci. Tak jak sądził, nikt nie miał ochoty tędy przechodzić. „Mieli rację ci, co uważali Nowy Jork za niebezpieczne miasto” – pomyślał. Przechylił się do tyłu i zrzucił koc ze smukłego kształtu leżącego na tylnym siedzeniu. Był to AR-10 z celownikiem optycznym; wspaniała broń, szczególnie gdy chce się kogoś trafić z odległości dwustu pięćdziesięciu metrów. Położył go sobie na kolanach, pieczołowicie przecierając chusteczką soczewki. Spojrzał pod światło; były czyste. Z górnej kieszonki koszuli wyjął garść naboje. Odliczył piętnaście, a resztę wsypał z powrotem. Potem jeden po drugim włożył do magazynka, nerwowo przesuwając językiem po wargach. Kiedy skończył, z trzaskiem złożył kolbę i owinął sztucer w koc. Położył go na siedzeniu obok i zapalił silnik. Wycofał się na główną ulicę.

Witryny mijanych sklepów szybko migały za oknem. Po pięciu minutach był już na miejscu. Trzysta metrów dalej widać było ustawiony rzędem kordon policji. Tam był plac Waszyngtona. Samochód zaparkował tuż przed białą linią zakazu postoj. Wysiadając zostawił kluczyk w stacyjce. Obszedł wóz i dyskretnie się rozglądając wyjął przez okienko przygotowany przedmiot. Zaklął, gdyż broń o mało nie wysunęła się z koca. Od strony placu dobiegał głośny szmer tłumu. Popatrzył w górę. Niebo było czyste, tylko z zachodu płynęło kilka małych obłoczków. Na ich tle widać było aluminiowy kształt bryły budynku. Hotel „Iluzjon” miał dwadzieścia pięter. Gdy wszedł do środka, portier za kontuarem z niechęcią odwrócił się od telewizora. Na

ekranie widać było miejsce, gdzie miał wystąpić prezydent.

–Słucham – burknął.

Dawid spojrział na gablotę z kluczami. Kasetka z numerem 483 była pusta.

–Ja do pana Edwarda Bola z pokoju 483 – powiedział uśmiechając się szeroko.

Portier tylko spojrział na gablotkę – i jak Dawid się spodziewał – odparł:

–Jest w pokoju. Winda jest tam.

Palcem pokazał drogę i obrócił się z powrotem do telewizora. Jego plecy wymownie świadczyły, że uważa rozmowę za zakończoną.

Drzwi od windy z cichym sykiem zamknęły się za Dawidem. Wcisnął klawisz z szóstką. Korytarz na tym piętrze był pusty. Po sfałdowanym dywanie podszedł do drzwi toalety. Przystanął przy nich i spojrział na zegarek. Pokręcił głową i nacisnął klamkę. Ślad na metalu upewnił go, że dłoń ma całą mokrą od potu. W toalecie było przeraźliwie białe. Na glazurowej ścianie tkwił rząd dużych luster, które odbijały wnętrza białych umywalk. Odwrócił się upewniony, że jest sam i spojrział na zamek drzwi. Z zadowoleniem stwierdził, że można je zamknąć od środka, czego nie omieszkał uczynić. Pachniało jakimś środkiem odkażającym, gdyż zapach wiercił w nosie. Chwycił za krzesło stojące w kącie i przestawił je na środek pomieszczenia. Następnie delikatnie wszedł do góry i powoli się wyprostował. Parapet okna miał na wysokości pasa.

W dole widać było mrowie ludzi; wolny był tylko dojazd do trybuny. Dawid schylił się i podniósł sztycy. Następnie przyjrzał się przez lunetkę jakiemuś mężczyźnie. Wybrał tego, który stał w miejscu, gdzie za kilka minut powinien stanąć prezydent. Twarz była wyraźnie widoczna na zarysie małego krzyżyka. W porządku – pomyślał. Upewnił się jeszcze, czy celownik ma ustawiony na 250 metrów i zastygł w bezruchu. Wiedział, że obserwatorzy na dachach nie mogą go dojrzeć, gdyż całe to pomieszczenie skryte było w głębokim cieniu. Nieprzypadkowo wybrał budynek, który o tej porze oświetlony był przez słońce z przeciwnej strony.

Było południe. Plac na dole zalany słonecznym blaskiem, nie dawał żadnego schronienia oczekującym ludziom. Tłum delikatnie falował, zalegając na podobieństwo jakiegoś samoistnego stwora. Nagle przeszła przez niego jedna fala, potem druga; coś się działo. Dawid spojrział w bok. Środkiem szpaleru sunęły trzy czarne limuzyny. Wiedział, że w środkowej jedzie prezydent. Słysząc było narastający ryk tłumu. Stwór ożył, wiwatując tysiącem rąk. Dawid podniósł broń.

Samochód prezydenta zatrzymał się tam, gdzie przewidział. Otoczyło go kilku osobników, których postura i sposób poruszania się jednoznacznie określały

profesję. Grupka ta rozdzieliła się na dwie strony, starannie osłaniając prezydenta, który właśnie ukazał się w otwartych drzwiczkach wozu. Tłum zachłysnął się krzykiem. Reszta dostojników wysiadła z drugiego samochodu i pozdrawiając ludzi podchodziła do prezydenta. Ten uśmiechnięty coś krzyczał. Jego uśmiech i błysk białych zębów wyraźnie widać było przez soczewki. Tak samo wyraźnie jak czoło z blond włosami, na którym zarysował się krzyżyk sztucera Dawida. Teraz albo nigdy – pomyślał, sprężając się cały, Ani jeden mięsień nie miał prawa drgnąć. Gdy krzyżyk spoczął na nasadzie nosa, lekko pociągnął za spust. Nie odkładając broni, patrzył przez lunetkę. Na czole prezydenta wykwitła mała plamka wielkości monety centowej. Jednak obraz ten zaraz zniknął mu z pola widzenia. Prezydent osunął się na ziemię i zastygł w groteskowej pozie. Na placu zapadła cisza.

–Brawo – krzyknął ucieszony – Udało się! I to z wolnej ręki.

Odpowiedział mu przeraźliwy wrzask; tam z dołu. Obnażył zęby w uśmiechu.

–A teraz mnie gońcie – wyszeptał. Zeskoczył z krzesła i wrzucił sztucer do muszli klozetowej. Lufa kretyńsko wystawała z otworu, lecz nie zwracał na to uwagi zajęty odblokowywaniem zamka. Na korytarzu wciąż było pusto. Podskoczył do windy. Zajechała szybko. Po dziesięciu sekundach był na parterze. Pierwszą rzeczą, którą ujrzał był portier. Zastygnięty w dziwnej pozycji, gapił się w telewizor. Musiał jednak usłyszeć szum windy, gdyż odwrócił się w jego stronę.

–Panie, prezydenta nam zabili – wybełkotał.

Na ekranie widać było chaotycznie biegających ludzi, czemu towarzyszyły słowa spikera:

„... drań. Pewnie z któregoś z budynków wokół placu. Nie wiem, ale może to z tego hotelu...”

Dawid dalej nie słuchał, gdyż zobaczył, że portier zrozumiał.

–To ty Miałeś strzelbę w tym kocu! – zaczął wymachując groźnie pięściami.

Uderzenie w podbródek zważyło go na podłogę. Dawid dla pewności kopnął go jeszcze w brzuch. Tamtem załkał i skulił się jak ślimak. Przeskoczył ciało i wybiegł na ulicę. Krzyk z prawej strony upewnił go, że popełnił błąd. Gdyby wyszedł powoli, nikt nie zwróciłby na niego uwagi. A tak? Trzech policjantów biegnących w jego stronę odpinało kabury. Nie dali mu czasu do namysłu. Wskoczył do wozu i przekręcił kluczyk. Samochód szarpnęła i skoczył do przodu z akompaniamentem pisku opon. Kiedy wyszedł na prostą, spojrzął w lusterko. Widać było dwa wozy policyjne z wrzaskiem syreny prujące za nim, a zza zakrętu wylatywał właśnie trzeci. Na pełnym poślizgu skręcił w prawo, mocno odbijając kierownicą; tył zarzucił, o milimetry mijając hydrant. Łomot, który dobiegł go z tyłu wskazywał, że tamtym nie poszło to

tak dobrze. Jeszcze raz spojrzął w lusterko. Zostały dwa wozy, no i ludzie. W tej samej chwili, kula strzaskała tylną szybę. Rozejrzył się, lecz poczuł jak wóz gwałtownie ściąga w prawo. Zupełnie tak samo, gdy komuś przestrzeli się oponę przy szybkości stu kilometrów na godzinę. Nie mógł nic zrobić. Wóz wpadł w poślizg i zatrzymał się w poprzek jezdni. Wyskoczył, chowając się za karoserią. Nadbiegali.

Błyskawicznie zlustrował sytuację i szybkim zygzakiem przebiegł do drzwi pobliskiego budynku. Kiedy wbiegł do środka, kula rozbiła w nich szybę. Po schodach nie zdążył – pomyślał. Na zegarku brakowało jeszcze dziesięciu minut. Podbiegł do otwartych drzwi windy i wcisnął ostatni klawisz u góry. Drzwi zasuwały się powoli, bardzo powoli. Przez malejącą szparę zobaczył policjantów, którzy wbiegli do hallu. Najbliższy musiał go dojrzeć, gdyż stanął w postawie strzeleckiej. Na widok wycelowanej lufy, Dawid uskoczył. W tym samym momencie drzwi zsunęły się szczelnie i ruszył do góry. Ocierając pot z czoła, oparł się o ścianę. Jego wzrok padł na lustro. W środku była mała dziurka otoczona wianuszkami pęknięć. Zrozumiał, że policjant zdążył strzelić.

–Ale bym głupio wpadł – powiedział do siebie. – Na dziesięć minut przed końcem.

Winda powoli sunęła na dwudzieste piętro. Wiedział, że zyska około pięciu minut, gdyż w tym bloku nie było drugiej. Oddech mu się uspokajał. Przyszły wspomnienia.

Wszystko zaczęło się dwa lata temu, kiedy był zrównoważonym i w miarę spokojnym fizykiem w Instytucie McDonalda. Pracował wtedy nad jakimiś głupimi monokryształami. Ale to była praca oficjalna. On sam mierzył daleko wyżej. Mówiąc krótko, chciał zbudować maszynę czasu. Oczywiście, wszystko robił sam, gdyż o dodatkowych funduszach nie miał co marzyć. Do podania o ich przyznanie musiałby załączyć wstępne wyniki badań. Tymi zaś nie dysponował. Po pewnym czasie zrozumiał, że to co konstruuje, wcale nie jest maszyną czasu. Sam nie wiedział, jak to nazwać. Jego urządzenie pozwalało na zawrócenie biegu zdarzeń naszego świata.

Wyglądało to w ten sposób: powiedzmy o godzinie zero włączał aparat i następnie przez sześćdziesiąt minut wszystkie zjawiska naszego świata biegły normalnym torem. Jednak w sześćdziesiątej minucie wszystko wracało do stanu z godziny zero. Można powiedzieć, że jego maszyna powodowała małą, godzinną pętlę naszej czasoprzestrzeni. Oczywiście to go nie zadowoliło, gdyż pamięć ludzka również wracała do stanu wyjściowego. Jego sukcesem było to, że udało mu się tak skonstruować aparat, aby zachowywał on dla niego pamięć tego co przeżył w ciągu tej godziny. Mógł pamiętać to, co się nigdy nie zdarzyło. a może to, co będzie, ale nikt tego nie zapamięta.

Uśmiechnął się na myśl niuansów językowych, zupełnie bezradnych w tej sytuacji. Dobrze pamiętał swoją pierwszą próbę, która ograniczała się do spaceru po mieście. I radość, kiedy uczył falę gorącą, gdy stał przy jakimś słupie ogłoszeniowym. A

potem uczucie, że siedzi z powrotem na fotelu swojej pracowni. Na tym samym fotelu, na którym siedział godzinę wcześniej. Zegary jego laboratorium również były na godzinie startu. Wtedy zrozumiał, że rzeczywiście ukradł sześćdziesiąt minut dla siebie. Triumfował! W następnych próbach posuwał się coraz dalej, bawiąc się możliwościami, które się przed nim otworzyły. Sam przyznawał sobie w duchu, że postępuje niepoważnie. Rozbijał witryny sklepów, robił burdy, a raz nawet wyszedł nago na Manhattan. Do tej chwili pamięta idiotyczne miny policjantów, którzy go zatrzymali. Oczywiście za każdym razem, w sześćdziesiątej minucie, wszystko, jak zwykle, wracało do normy. Tego co robił nie mógł jednak nikomu udowodnić, gdyż jedyne co zabierał z tej godziny, to były jego wspomnienia.

Wynalazek miał zamiar ogłosić na najbliższym posiedzeniu Rady Instytutu, zapraszając któregoś pacana do godzinnej podróży. Wtedy mu uwierzą. Jednak zanim to zrobi, musi przeżyć jeszcze jeden seans. Ten, w którym zabije prezydenta. Naturalnie zabije tylko na kilka minut, gdyż potem świat wróci znów do stanu początkowego. Musiał wykorzystać ten szczęśliwy traf, jakim był przyjazd prezydenta w ramach kampanii wyborczej. Nie wiedział sam, dlaczego to go tak pociągało. Ale wiedział, że marzył o tym od lat. Broń Boże! Wcale nie miał instynktów morderczych, po prostu robił to dla samej przyjemności zabicia na niby kogoś tak wysoko postawionego. Ryzyko było jego pasją. Jakby nie było, w instytucie wszyscy go znali jako zapalonego myśliwego.

Winda zatrzymała się na ostatnim piętrze. Wysunął głowę; pusto. Przytrzymując drzwi sięgnął po popielniczkę stojącą w kącie i postawił ją tak, aby winda nie mogła się zamknąć. Podeszedł do schodów. W studni klatki schodowej słychać było zbliżające się głosy i tupot wielu kroków. Do pełnej godziny brakowało mu jeszcze pięciu minut. Sam zresztą nie wiedział, dlaczego aparat reagował tylko przez sześćdziesiąt minut. Sądził, że jest to wynikiem istnienia pewnej stałej i podstawowej własności naszego wszechświata.

Odwrócił się i pobiegł w górę. Po drodze minął strzałkę z napisem „Wyjście na dach”. Klapa była nad nim. Pchnął; zamknięta. Ze złością uderzył pięścią w jej popękany lakier. Cholera, jednak mnie złapią, pomyślał, do końca mi się nie udało. Sam nie wiedział co ma robić dalej, gdyż z chęcią jeszcze by się pobawił w „policjantów i złodziei”. Nagle przeszedł go dreszcz. Oni mogą go zabić, myśl odezwała się natrętnie, to musi być okropne uczucie. Nawet jeśli mają go zabić za cztery minuty, gdyż tyle brakowało do końca eksperymentu. Wzdrygnął się i po namyśle usiadł, z rękoma na karku, na ostatnim stopniu. Wydał mu się bardzo zimny. Tamtym brakowało dosłownie kilka pięter, jak wnioskował po rosnącym hałasie.

Wtem poczuł ogromny strach, który wypełził z jednej myśli. „Jeżeli w godzinie powrotu będę martwy, to również martwy znajdę się w moim fotelu. Przecież aparat przenosi do punktu wyjścia cały świat z wyjątkiem mnie. Gdyż abym zapamiętał to, co się zdarzyło, przerobi on bez zmian mój stan fizjologiczny, a konkretniej

nerwowy". Wyobraził sobie swoje martwe ciało, które znajda w laboratorium. Laboratorium zamkniętym na klucz. Boże! Morderstwo doskonale, przeszło mu przez głowę. Jak on mógł to przeoczyć! Musiał uciekać; jeszcze tylko cztery minuty.

Wstał gwałtownie i z całej siły naparł na klapę. O dziwo! Podniosła się od razu. Zrozumiał, że była otwarta i najwidoczniej tylko zawiasy się zatarły. Wskoczył energicznie na dach. Chłodny wiatr owiał spocone czoło. Zatrzasnął wejście, zamykając jednocześnie zasuwkę. Niemal od razu usłyszał z dołu stłumione krzyki i po chwili w klapę poczęły bębnić mocne uderzenia. Na zegarku brakowało dwóch minut. Łomot umilkł i z dołu dobiegły go pojedyncze kasznięcia. Fontanny strug drewna i metalu koło zamka uświadomiły mu ich znaczenie. Oglądając się nerwowo, pobiegł w kierunku dużego komina wentylacyjnego. Gdy się za nim schował, ostrzelana klapa odskoczyła w górę.

Ostrożnie, milimetr za milimetrem, wysunął prawe oko zza zasłony. Było ich pięciu. Z odbezpieczonymi pistoletami rozsypali się w tyralierę po dachu. Jak na gust Dawida, robili to stanowczo za sprawnie. Ostrożnie przebiegali od jednego występu dachu do drugiego. Po ich minach zrozumiał, że chcą go zabić. Tak! Nie aresztować, ale właśnie zabić! Spojrzał na zegarek; brakowało trzydziestu sekund. Musiał jednak zrobić to za gwałtownie, gdyż dwie kule ze świstem zrykoszetowały o metal daszku. Padł na dach. Asfalt na nim był rozgrzany i miękki. Kula, która go trafiła, rozorała nasadę dłoni. Ból był paskudny. Jeszcze dziesięć sekund, pomyślał. Aby ich zatrzymać jeszcze na tę chwilę, rzucił w ich stronę zegarkiem. Błyskawicznie opadli na dach. U góry zaterkotał helikopter. Pewnie ci go też zauważyli. Liczył, starając się nie popadać w panikę "... osiem, dziewięć, dziesięć" I nic! Ciągłe był rozciągnięty na dachu. Tamci powoli zaczęli się znowu skradać. To niemożliwe, niemożliwe – szeptał bezwiednie. Musi zyskać na czasie. Podniósł się i uniósł ręce wysoko nad głowę. Musiał wyjść im naprzeciw. Kiedy go zobaczyli, zatrzymali się kierując broń w jego stronę.

–Nie strzelajcie, to pomyłka – wychrypiał. – Poddaję się!

Czuł, jak zraniona ręka mu omdlewa. Co się stało? myślał, przecież godzina już minęła. Jak ja im to wytłumaczę? Myśli przelatowały przez głowę. Jeszcze to przekłete słońce, które go tak razi. Nagle odezwał się sierżant, który stał najbliżej.

–Chłopcy! On ucieka, prawda? – mówił przez zaciśnięte zęby. Głos był podejrzenie łagodny. Tamci się uśmiechnęli.

–Tak, John – odpowiedział najwyższy. – On ucieka, a my nie możemy na to pozwolić. Dawid zbladł i zaczął powoli się cofać.

–To się nazywa „zabity w czasie próby ucieczki” – ciągnął wysoki, nerwowo przygryzając wargę.

–Tak, Billy – odpowiedział sierżant – to właśnie tak się nazywa.

Dawid obrócił się na pięcie, kątem oka widząc, jak sierżant staje w rozkroku na lekko ugiętych nogach. Zdołał przebiec dwa metry, gdy uświadomił sobie bezsens ucieczki. Przecież i tak nie ma gdzie biec – pomyślał. Zwolnił i odwrócił się w ich stronę. W tym samym momencie bryłka stali ugodziła go w lewą skroń. Zobaczył jeszcze snop iskier, a potem była tylko ciemność...

Następnego dnia tylko nieliczni czytelnicy miejscowej gazety zainteresowali się małą notatką na ostatniej stronie.

„Pożar w Instytucie McDonalda, który wybuchł wczoraj w południe, zniszczył całą aparaturę, jaka się znajdowała na Wydziale Monokryształów, w tym również prywatne urządzenia pracowników. Przyczyny wypadku dopatruje się w uszkodzeniu instalacji elektrycznej. Szkody są szacowane na...”

SAMODZIELNA DECYZJA

Lot specjalny LP-1 przebiegał prawidłowo. Statek kosmiczny po zatoczeniu pętli wokół Jowisza, zgodnie z harmonogramem, obrał kurs powrotny na Ziemię. Tolsen, wysoko ceniący pojazdy tego typu, był z niego w pełni zadowolony. Mimo olbrzymich natężeń pól grawitacyjnych i magnetycznych, wszystkie zespoły pracowały bez żadnych zakłóceń, tworząc jakby jeden organizm. Ale tak jak organizm nie może istnieć bez mózgu, tak i statek nie może istnieć bez swojego komputera. W tym zaś przypadku zachowanie komputera było podwójnie ważne, gdyż był on prototypem, zaś lot miał sprawdzić jego przydatność do astronawigacji. Tolsenowi próbowano wytłumaczyć, jaką to rewelację ma na swoim pokładzie, ale prawdę mówiąc niewiele z tego zapamiętał. Wiedział, że powinien pracować z komputerem, tak jakby był to zwykły egzemplarz seryjny. Takie było jego zadanie.

Jak dotąd komputer pracował bez zakłóceń, nie ujawniając jednak nadzwyczajnych innowacji. Tolsen sam nie wiedząc dlaczego spodziewał się po nim czegoś więcej. Poza tym, co tu dużo mówić, Tolsen strasznie się nudził. Statek, którym dowodził należał do najszybszych ziemskich jednostek próżniowych, a mimo to lot miał trwać dokładnie sto dziesięć godzin i ani minuty mniej. Z racji zadania, jakie Tolsen wykonywał, cały czas musiał czuwać przy wskaźnikach kontrolnych. Kiedy mijał Jowisza był chociaż na pulpicie jakiś ruch, a teraz nic. Faktem było, że wszystkie manewry wykonywał komputer, ale przynajmniej nie panował martwy spokój. O zgrozo, nawet spać nie mógł, gdyż zabieg nasycania, któremu się poddał przed startem, gwarantował dobrą kondycję przez pięć dób. Siedział więc w fotelu, notując co kwadrans własne spostrzeżenia i uwagi, które miały być później przeanalizowane na Ziemi. Obecnie mijała siedemdziesiąta godzina lotu i Tolsen coraz bardziej zaczynał żałować, że podjął się tego zadania. Właśnie po raz nie wiadomo który próbował ułożyć pentogram, przesuwając na tabliczce magnetycznej różnokształtne płytki. W chwili, gdy już prawie ułożył jedną z sylwetek, nad pulpitem sterowniczym zabłysło czerwone światło. Rozsypując płytki jednym pchnięciem fotela podjechał do stołu i wcisnął klawisz informacji fonicznej. Wyłączył go przedtem, gdyż drażnił go beznamiętny monolog komputera serwującego regularnie co piętnaście minut informacje o stanie statku. Tym razem było to coś innego.

–Komputer BO-1. Ogłaszam zagrożenie stopnia pierwszego. Przyczyna: rój meteorytów z sektora OPA-2 na kursie zbieżnym. Wykonuję manewr mijania klasy drugiej. Prawdopodobieństwo ominięcia roju 5 proc. – dobiegł Tolsena nieznośnie chropawy głos.

–Rój meteorytów? – zdziwił się, lecz nawyk nie pozwolił na głębsze zastanowienie.

Błyskawicznie zapiął pasy fotela i przyjął pozycję leżącą. Bezwładność wgniałała go w oparcie,

–Zwiększ przyspieszenie do maksymalnego – sapnął obserwując na czytniku coraz bardziej malejące cyferki podające odległość od roju i widniejącą obok charakterystykę manewru.

–Komputer BO-1. Przyspieszenie maksymalne. Prawdopodobieństwo ominięcia roju 1 proc. Szerokość roju 10^{-3} stereoradianów względem punktu zero. Złożony głównie z drobin poniżej jednego centymetra. Posiada nieliczne elementy powyżej dziesięciu centymetrów. Za piętnaście sekund przystępuję do wystrzelenia tarcz ochronnych.

Tolsen uśmiechnął się z podziwem, gdyż komputer wykonywał wszystko to, co on miał zamiar rozkazać. Jeszcze tylko się upewnił:

–Czy powiadomiłeś Lunę?

–Komputer BO-1. Tak. Uwaga: wejście w rój za pięć sekund. Czas pobytu w roju osiem sekund. Tarcze wystrzelone.

–Włącz wizję zewnętrzną – rzucił Tolsen.

–Komputer BO-1. Polecenie wstrzymane, gdyż włączenie wizjerów zewnętrznych spowoduje ich zniszczenie. Obliczam czas przejścia. Zero, jeden, dwa...

Tolsen słuchał mechanicznego głosu i czekał na liczbę osiem. Lecz wcześniej, przy liczbie sześć, statkiem targnęło. Potem nastąpiło kilka faktów jednocześnie: w sterówce mrugnęło światło, z trzaskiem zamknęła się gródź alarmowa i odezwał się komputer:

–Komputer BO-1. W czasie przejścia przez rój doszło do kolizji z obiektem o średnicy około 5 centymetrów. Zniszczony pancierz zasadniczy na długości 10 centymetrów, część pasażerska uległa dekompresji. Część dziobowa zabezpieczona grodzią...

–Natychmiast wyślij automat naprawczy – przerwał mu Tolsen.

–Komputer BO-1. Polecenie naprawy wydane, jednak ze względu na rodzaj stopu, z jakiego jest wykonany pancierz zasadniczy, naprawa będzie trwać około trzech godzin. Prawdopodobieństwo takiej awarii było oceniane na 10^{-7} proc.

–Rozumiem, wezwij Lunę!

–Komputer BO-1. Poprawka do meldunku poprzedniego. Automat naprawczy stwierdził uszkodzenie wysięgnika głównej anteny, co uniemożliwia jej wysunięcie. Obecna pozycja nie pozwala na łączność z Luną poprzez antenę alarmową. Będzie to możliwe za sześć godzin. Kontynuować naprawę pancierza czy skierować automat do naprawy anteny?

–Naprawiaj pancierz – odparł ocierając ściągaczem rękawa pot z czoła.

Chociaż był starym próżniowcem, takie emocje przyprawiły go o dreszcze. Przeszło mu przez głowę, że najwyraźniej się starzeje. Chwilę zastanawiał się co robić dalej, ale szybko doszedł do wniosku, że i tak nic mądrego nie wymyśli. Jeśli nawet połączy się z Luną, to co oni mu poradzą? Spytają, czy jest w stanie naprawić statek; będzie musiał potwierdzić. Wtedy oni będą mu życzyć powodzenia i każą się meldować co pół godziny. Zresztą nie było powodów do paniki. Czy to po raz pierwszy latał statek? Rozpinając klamry, rozejrzał się za tangramem, leżał pośrodku sterówki. Podniósł go i znów zaczął układać jedną z figur. Przeszkadzało mu jednak jakieś nieznośne ssanie w żołądku. Niejasno uświadomił sobie własny niepokój, lecz starał się tego nie zauważać. Może by mu się to udało, gdyby znów nie odezwał się komputer.

–Komputer BO-1, ciśnienie powietrza w sterówce spadło do 950 milibarow. Przyczyna; wada grodzi dziobowej. Wysyłam automat naprawczy.

Płytki tangramu rozsypały się po podłodze.

–Powietrze ucieka?! Jakim cudem? – krzyknął Tolsen czując jakby rzeczywiście zaczynało go brakować.

–Komputer BO-1. Uszkodzona gródź między częścią dziobową a pasażerską. Przypuszczalna przyczyna: zmęczenie metalu.

–Przecież te grodzie są sprawdzane przed każdym startem! – przerwał mu.

Komputer kontynuował jednak tym samym tonem.

–Komputer BO-1. Tak, ale nie gwarantuje to w stu procentach ich skuteczności. Prawdopodobieństwo uszkodzenia wynosiło 10^{-31} .

–Nie interesują mnie głupie liczby! – wrzasnął. – Co melduje automat?

–Komputer BO-1. Utraciłem łączność z automatem. Przyczyna: meteoryt który uszkodził powłokę posiadał pierwiastki promieniotwórcze. Ich promieniowanie zakłóca łączność między mną a automatem.

Materiał na oparciach zatrzeszczał pod palcami Tolsena.

–Wyłącz go! – krzyknął.

–Komputer BO-1. Nie mogę. Brak łączności jest również wynikiem bezpośrednich uszkodzeń ośrodka programującego automatu. Przyczyna: przebywanie w zasięgu silnego źródła radioaktywnego. Automatyczna blokada programu uszkodzona.

Tolsenowi zaczynało brakować powietrza, zaś w klatce piersiowej pojawiło się ostre klucie, które zmieniało się w rwanie.

–Jaki był ostatni meldunek automatu przed utratą łączności?

–Komputer BO-1. Automat wykonywał cięcie w celu wyrównania brzegów wyrwy. Mając jego dokładne funkcje po uwzględnieniu sprawności palników, automat za trzy minuty przetnie główne przewody powietrza z poziomu A-2. Oczywiście przy założeniu, że nie zmienił samoczynnie programu.

To, co słyszał nie mieściło mu się w głowie. Przecież to było niemożliwe. Absurd! Ale wiedział, że ta blaszanka nigdy nie kłamie.

–Te przewody łączą główny zbiornik ze sterówką? – spytał, będąc pewien tego, co usłyszy.

–Komputer BO-1. Tak. Obecnie uzupełniam przez nie ubytek powietrza. Po ich przecięciu będzie to niemożliwe.

Ból stał się gwałtowniejszy i Tolsen zaczął żałować, że statek ma w sterówce sztuczną grawitację, gdyż oddychać było coraz ciężiej.

–Nie możesz temu iakoś zapobiec? – spytał wręcz histerycznym głosem – Rozkazuję ci zatrzymać automat. Słyszysz, gruchocie? Zatrzymaj go!

–Komputer BO-1. Rozkaz niewykonalny. Statek me posiada innych automatów samojezd-

nych, co w świetle poprzednich faktów stawia problem nierozwiązalnym.

Tolsen widział już czerwone kręgi przed oczyma, jednak ciągle się łudził. Nie wierzył, że cała ta paradoksalna sytuacja tak jednoznacznie ma go przywieść do zguby. Jednak komputer rozwiął i tę nadzieję.

–Komputer BO-1. Spadek ciśnienia w przewodach powietrznych z poziomu A-2. Przyczyna: uszkodzenie ich przez niesprawny automat naprawczy. Zamknąłem wloty przewodów do sterówki, co uniemożliwia wyrównanie ubytku powietrza, uchodzącego przez uszkodzoną gródź. Ciśnienie w sterówce spada w tempie 40 milibarów na minutę. Należy się położyć spokojnie i...

–Milcz debilu! – wrzasnął mając wrażenie, że serce mu puchnie i zaraz połamie żebra.

–Komputer BO-1. Polecenie niezrozumiałe. Ciśnienie spadło do 890 miiibarów.

Czuł jakby nóż wbijał mu się w splot słoneczny, a od promieniującego bólu powoli drętwiały mięśnie. Starał się pozbierać myśli, ale nie mógł się zdobyć na nic więcej jak na bezproduktywne powtarzanie: automat, cięcie, łączność powietrze. Zaś tego ostatniego było coraz mniej.

–Komputer BO-1. Ciśnienie wynosi 830 miiibarów. W takiej sytuacji należy się uspokoić...

–Ty draniu! – ryknął Tolsen zrywając się z fotela, tak jakby tam za szybkami wskaźników dojrzał twarz swojego śmiertelnego wroga.

Nie dobiegł jednak do wyłącznika, gdyż wcześniej coś pękło w sercu; zdążył to jeszcze poczuć. W sterówce zapadła cisza. Ciało Tolsena leżało wyciągnięte między fotelem a pulpitem. Palce lewej ręki były kurczowo zaciśnięte na jednej z dźwigni. Tylko tyle zdążyły zrobić. Słyszeć było lekkie buczenie prądu. Potem po cichu otworzyła się gródź. Za nią korytarz był pusty, o gładkich i jasnych ścianach.

–Komputer BO-1. Informacja do zapisu. Siedemdziesiąta pierwsza godzina lotu. Wszystkie urządzenia pracują bez zmian. Przeprowadzono samodzielny eksperyment badawczy. Cel eksperymentu: wytrzymałość człowieka na stres w warunkach lotu układowego. Wynik negatywny.

Dwa tygodnie później INFOR zamieścił krótką wzmiankę:

„W wyniku zbyt dużego poziomu pseudoświadomości komputery nowej generacji BO z firmy Kerkson nie będą wykorzystywane do astronawigacji, ani do żadnych innych zajęć na warunkach komputerów technicznych. Wydaje się jednak, że mogą znaleźć zastosowanie dla grup twórczych, jak malarze, struktonicy, czy literaci. Badania w toku”.

EPIDEMIA

Prolog

Jałowe, sprażone słońcem pustkowie. Spokój. W cieniu baraków siedzą rzędem ludzie. Jedynie złożone w kostki białe kombinezony z maskami nie pasują do sceny. Na pobliskim płaskowyżu stoją, tnąc kratownicami niebo, wieże szypów wiertniczych. Słońce. W przeżarte skwarem powietrze wdziera się jęk sześciocyndrowych silników i chrzęst ciężko pracujących opon. Dwa wozy transportowe w asyście łazików pożerają metr za metrem piaszczystą drogę. Ludzie flegmatycznie ustawiają się w szereg. Na spotkanie przybyłych wyszedł niski człowiek w okularach. Po nagiej skórze głowy spływają mu systematycznie kropelki potu. Zanim wyciągnie rękę, jeszcze co najmniej trzykrotnie przetrze czoło wierzchem dłoni.

–Stoken, inżynier Stoken – przedstawia się.

–Sierżant Molent – mówi wysoki blondyn.

–Przywieźliśmy ładunki.

Z uwagą obejrzał podaną kartę identyfikacyjną. Przeszli na tył transportera. Wojskowy niby przypadkiem, zasłonił sobą zamek szyfrowy umieszczony na drzwiach. Po chwili stanęły otworem. Stoken łapczywie zerknął do środka. W mroku, zablokowany amortyzatorami leżał długi, srebrzyście lśniący walec.

–Dziesięć kiloton – szepnął do siebie. Sierżant kiwnął głową.

–W drugim jest to samo, ale wybaczy pan

–dodał, zamykając wóz – musimy poczekać na pułkownika.

Stoken był zbyt zmęczony upałem, aby zaprotestować.

–Wicedyrektor Colins prosił, aby przekazać panu, iż przybędzie razem z pułkownikiem

Patonem. Mają przylecieć – zerknął na zegarek -... za około godzinę.

–Tak – mruknął Stoken zgryźliwie. – My musimy smażyć się na słońcu, a oni pewnie jeszcze do tej pory siedzą przy pełnej klimatyzacji.

Sierżant zrobił krok do tyłu, jakby szukał pewniejszego oparcia dla nóg.

–Pan Colins z pułkownikiem Patonem znają się już od ponad trzydziestu lat. Stoken

wzruszył ramionami.

–Czy wszystko jest przygotowane? – Sierżant nie dał zapomnieć o sobie.

–Od trzech dni – ostatnie słowo zaakcentował bynajmniej nie przypadkiem. – Może byśmy zaczęli?

Sierżant pokręcił głową.

–Niestety. Nie mam uprawnień. Miałem się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku.

–Jasne! – Stoken przygarbił się i pomaszerował w stronę baraków.

Bał się, że któryś z robotników dobierze się do jego lodówki, jedyne pocieszenia w tym skwarze. Sierżant z tyłu krótkimi komendami instruował żołnierzy.

Trzy helikoptery wyskoczyły znad wydm wzbijając tumany piasku. Gdy zamarły silniki, dało się zauważyć dwóch mężczyzn, szczególnie darzonych szacunkiem przez resztę.

–Jak tam panie Stoken, doczekał się pan swojej bomby? – powiedział Colins, gdy już zbliżyli się do baraków.

–Dzięki Bogu, bo w tej prowizorce ledwie można mieszkać.

Colins roześmiał się.

–Sam pan wie, że pieniądze rzecz święta. Nie można było tu postawić całego zaplecza, bo w końcu podziemny wybuch jądrowy to nie przelewki. Jak rąbnie, to niejednemu jaja może urwać.

Stoken machnął ręką.

–Zdążymy dzisiaj odpalić?

–Musimy! Mam wieczorem mile spotkanie – Colins uśmiechnął się obleśnie. – Mówię ci kochany, życie jest piękne!

Zawyły transportery. W samą porę dla Stokena, który miał fatalną dla siebie w skutkach odpowiedź już na końcu języka. Zbliżył się pułkownik.

–Wysłałem chłopców, aby zakładali ładunki i muszę pana pochwalić panie Stoken. Szyby odwiercone są na medal. Będzie miał pan tyle ropy, że aż sam pan się zdziwi.

–Mam nadzieję – odparł ostrożnie, maskując rozdrażnienie. – Ta cholerna skała jest

tak mało przepuszczalna.

–Niech pan się nie martwi. Wybuch skruszy ją w całej okolicy. Detonujemy na kilometrze, jak było uzgodnione.

–Jasne, moi panowie – Colins poklepał ich po plecach. – Nie możemy pozwolić, aby całowanie rączek panom z rządu poszło na marne. Chodźmy do helikoptera. Zupełnie przypadkiem mam tam całą butelkę „Martini”.

Chyba obydwaj spodziewali się tego, gdyż bez słowa ruszyli za Colinsem.

–Panie pułkowniku wszystko gotowe.

Szeregowiec najwyraźniej był przejęty całą operacją, kiedy meldował z przepisowo wyciągniętymi rękami wzdłuż szwów.

–Dobrze – pułkownik spojrzał na zegarek.

–Za piętnaście minut uzbroimy ładunki. Sygnał – czerwona flaga. Pięć minut później odpalamy. Sprawdźcie tylko zaczopowanie szybów.

Szeregowiec krzyknął, że rozumie i wskoczył do łazika.

Siedzieli w okopie za wysokim murem, mającym zmienić kierunek ewentualnego podmuchu. Jak sądził Stoken, było to grubą przesada. Przy sprawnie przeprowadzonym wybuchu podziemnym ani gram gazu radioaktywnego nie ma prawa wydostać się na powierzchnię. W kącie lekko wstawiony siedział Colins i coś klarował nie wiadomo przez kogo zostawionej łopacie. Ledwo pozwolił wciągnąć na siebie płaszcz ochronny.

–Jesteśmy dwa kilometry od epicentrum? – spytał pułkownik, szeleszcząc peleryna przy każdym ruchu.

–Tak jak pan kazał – Stoken spojrzał z ukosa.

Pułkownik uśmiechnął się przepraszająco.

–Sam nie wiem dlaczego pytam. Może rutyna?

Zapiszczał sygnał.

–Słucham? – rzucił do radiotelefonu.

Chyba ten sam żołnierz co poprzednio skrzeczał przez głośnik. Znudzony czekaniem Stoken wdrapał się metr nad ziemię i wyjrzał ponad mur. Nikogo nie było widać. Po bokach, w bliźniaczo podobnych okopach, siedzieli robotnicy i reszta

żołnierzy. Na szczęście, za sprawą wiatru idącego od oceanu, zrobiło się chłodniej. Zerknął w bok, na słońce. O ile się nie mylił, najpóźniej za dwie godziny zapadnie zmrok. Trochę żałował wieży stojącej najbliżej miejsca eksplozji. Nie sądził, aby miała wytrzymać wstrząs. Jej to zawdzięczał wiedzę o nafcie schowanej pod tym przeklętym pancierzem litej skały. Ktoś pociągnął za skraj peleryny. Był to pułkownik.

–Proszę zejść. Uzbrajamy ładunki.

Zeskoczył w tym samym momencie, gdy ciśnięto w górę pęk kolorowych świateł. Odruchowo wciągnął głowę w ramiona. Od tej chwili nikt nie miał prawa wyjść poza zabezpieczenia. Colins na szczęście usnął. Z pewnością obudzi się, gdy będzie po wszystkim. Wciągnęli mu maskę na twarz, o sobie też nie zapominając. W powietrze poleciała kolejna raca. Ta detonowała z głośnym hukiem. Miała obwieścić, że każdy powinien teraz przyjąć jak najbezpieczniejszą dla siebie pozycję, gdyż pod ziemią rozpocznie się piekło.

To było piekło! Energia wybuchu spowodowała momentalne wyparowanie ładunków, jak i przylegającej do nich skały. Fantastyczne ilości gazu topiły, rozkruszały i odparowywały otaczający ośrodek, powodując serię fal sejsmicznych o gwałtowności zdolnej zniszczyć każde umocnienie. Tępy ziemi poczęły się unosić ku górze i to o wiele wyżej niż założyli technicy. Piekło stanęło otworem.

Stoken zrozumiał, iż jest niedobrze, w chwili gdy usłyszał dobiegający z ziemi głuchy łoskot i z niedowierzaniem spostrzegł, że leży na dnie okopu. Krztusząc się pluł piaskiem, czując jak gruntem wstrząsają epileptyczne drgawki. Gdzieś u góry z hałasem waliły się ściany baraków. Trzaskało szkło. Z tyłu ktoś zawył. Dojrzał kątem oka Colinsa, który w obłądnym przerażeniu wspinał się na zbocze. Może by mu się to udało, gdyby nie głęboka rysa, która oddzieliła pół muru i zwała go w dół. Pułkownik szarpnął Stokena za ramię ratując od przysypania. Potoczyli się, turlani kolejną serią podrygów. Ziemia wrzała. Z rozwierających się szczelin tryskał piasek ponaglany duszącym, żółtym dymem.

Pułkownik wrzeszczał pokazując na mały przyrząd. Wskazówka opierała się o końcowy sztyft. Powietrzem leciały arkusze blachy; pewnie z baraków.

–Zdechniemy! – usłyszał. – Tu jest diabelne promieniowanie.

Pobiegli w stronę łazika. Dwóch żołnierzy szamotało się na ziemi. Minęli ich, nie starając się nawet usłyszeć krzyków. Wzajemnie się podtrzymując stanęli na górze. Coś się zmieniło w krajobrazie. Pominąwszy brak konstrukcji, deformował się sam płaskowyż.

–Zapada się – pułkownik wskazał ręką, – Może być zewnętrzna detonacja. Nie rozumiem skąd taka moc.

Ostatnie słowa zagłuszyła eksplozja stojącego w pobliżu łazika. Fiknął koziołka i wyrzwał w resztkę muru. Mieli jeszcze jedną możliwość. Wywracani co krok, pobiegli dalej. Do helikoptera pierwszy wskoczył pułkownik i wciągnął za sobą Stokena. Lewa płoza była złamana i groziła wywrotką. Ryknął silnik. Poszli w górę. W dole szalały coraz gęstsze kłęby zamieci piaskowej podrzucanej milionami wstrząsów.

Byli na pięciu metrach, gdy w kabinie zajaśniało upiornie. Spojrzeli za siebie.

–Nie, Boże nie! – jęknął Stoken, lecz powstający bąbel gazu i lawy przebił powierzchnię ziemi i trysnął strzębami materii. Obrócili się na plecy, a potem raz jeszcze. Urwane łopatki poleciały w bok, potem ogon i wirując przez chwilę spadli w sam środek płynącego potoku lawy...

Dom był cichy i niesamowity. Wydawało się, że tykanie zegara niesie ze sobą coś bardzo ważnego. Leżałem na łóżku z gazetą na twarzy i zastanawiałem się, dlaczego nic mi się nie chce. Maria miała przyjść zaraz, jak tylko załatwi sprawę z Morissonem. Mały, nieciekawy człowieczek, w wiecznie brudnej koszuli. Niestety, był właścicielem sali, gdzie chciała zrobić wystawę swoich prac. Miało to być jej pierwsze wyjście do publiczności. Swoją drogą sądziłem, iż poniesie fiasko, lecz nie widziałem potrzeby, aby to mówić. Jej obrazy interesowały mnie tyle samo co i ona. Akceptowałem je bardziej na zasadzie nawyku niż uczucia. Nie, stanowczo z nią się nie ożenię. Na dole trzasnęły drzwi.

–Jesteś tam? – pytała tylko dlatego, iż знаła odpowiedź.

Wiedziała, że bez stojących koło drzwi butów nie wyszedłbym na ulicę.

–Tak – wrzasnąłem, a potem zdjąłem gazetę i ryknąłem ponownie. – Leżę sobie!

–Chodź! Coś ci pokażę.

Zsunąłem nogi na podłogę i chwyciłem leżący na krześle szlafrok. Miał wyszytego na plecach chińskiego smoka i czułem się w nim jak mandaryn.

Na stole w jadalni stała wysoka, chyba na pół metra rzeźba nagiej kobiety. Ciemne drewno obrabiane zdecydowanymi, żeby nie powiedzieć brutalnymi uderzeniami dłuta, nosiło w sobie znamiona sztuki. Na twarzy zawisł dziewczynie uśmiech. Taki niby niewinny, ale mimo to wiele obiecujący.

–Od Morissona? Kiwnęła głową.

–To chyba Jakaś aluzja, nie sądzisz? – głos miała lekko ochryply.

Drewno chłodziło palce wypolerowaną powierzchnią.

–Skąd on to ma?

–Mówił, że sam zrobił.

Jeśli byłoby to prawdą, musiałbym zmienić zdanie o tym człowieku.

–Jutro pójdziemy razem do niego – mówiła. – Gdy będziemy ustawiać obrazy, masz się na mnie rzucić i co najmniej raz namiętnie pocałować. Niech wie baran jacy mężczyźni mi się podobają.

Kiedyś może wydałoby mi się to zabawne. Dzisiaj już nie. Kiedyś fascynowało mnie umawianie się z nią na randki w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, krótkie spacerunki, nagminne karmienie łabędzi na stawie w parku i długie duszne noce. Teraz mogłem się co najwyżej uśmiechnąć.

–Przecież on ma sześćdziesiąt lat.

–Mężczyzna zawsze jest mężczyzną, mój drogi.

Zadzwoił telefon.

–To ty Filip?

Jedyny w swoim rodzaju głos profesora Risch spowodował, iż dałem Marii znak, że czeka mnie dłuższa rozmowa.

–Masz czas?

–Zawsze znajdę chwilę.

–Mało! Potrzebny jesteś na dwa, trzy dni.

–O! A to dlaczego? Risch sapnął.

–Jest tu u mnie dwóch panów z wojska. Proszą mnie o konsultacje w pewnej sprawie. Z tego, co mówią wydaje mi się, że byłbyś najlepszym ekspertem.

–A tak dokładnie?

–Dopóki się nie zgodzisz, nic nie mogę powiedzieć.

–To aż tak poważne?

–Powiem ci tylko, iż w pewnym instytucie zaczęła się panoszyć paskudna choroba wirusowa. Trzeba ją opisać i, o ile się da, znaleźć analogie.

–Gdzie jest ten ośrodek?

–To nie ma znaczenia. Przelot i wszelkie formalności ci panowie zobowiązują się załatwić sami.

Ramiona drewnianej dziewczyny lśniły obiecująco, gdzieś w tle hałasowała garnkami Maria.

–Zależy ci, abym się zgodził?

–Tak!

–To w porządku.

–Przepraszam, że się wtrącam.

Głos męczyzny włączył się na linię z taką pewnością siebie, iż nawet nie przyszło mi do głowy, że jest to bezczelność.

–Słucham.

–Dziękuję, że pan się zgodził. Proponuję, aby za równe dwie godziny, to jest o ósmej, czekał pan na podwórzu szkoły, mieszczącej się dwieście metrów od pańskiego domu. Wie pan, gdzie to jest?

–Tak, ale skąd ten pośpiech.

–To jest konieczne, proszę mi wierzyć. Niech pan nie bierze bagażu. Na miejscu będzie wszystko. Przyleci po pana helikopter, a to podwórze świetnie się nadaje.

–Zaskakuje mnie pan.

–Jeszcze raz przepraszam. Mogę tylko zapewnić, że zapłacimy według najwyższych stawek.

Trzasnęło na linii.

–Sam widzisz – przypomniał się Risch. – Chciałeś być wybitnym wirusologiem, to cierp.

–Dobrze, dobrze. To ty mnie wrobiłeś.

–Nie gniewaj się.

–W porządku pogadamy za parę dni.

Coś pomamrotał jeszcze, ale pożegnał się szybko. Chyba też się śpieszył, stary drań. Wiedziałem, że to jego kumanie z instytucjami wojskowymi źle się kiedyś skończy.

Maria rozpogodziła się dopiero w chwili, gdy obiecałem, iż na pewno zdążę wrócić na otwarcie wernisażu. Przynależem, z dwoma palcami w górze, że bez względu na wszystko, łącznie z końcem świata, zjawię się w domu w sobotę. Przy pożegnaniu usiłowała mnie sprowokować robiąc jakieś głupie uwagi na temat Morissona i chyba była trochę zła, że się na nią nie rzuciłem, aby przekonać o swoim uczuciu.

Z rękami w kieszeniach kurtki stałem jak głupi pośrodku boiska do piłki nożnej i kłamię, że nie wziąłem pod uwagę chłodnego wiatru. Brak szalika był dotkliwy. Poza tym zrobiłem z siebie idiotę przechodząc przez plot, gdyż woźny albo spał, albo umarł, a w każdym razie mimo głośnego łomotu do drzwi szkoły nie dawał znaku życia. Na szczęście nikt chyba mnie przy tym nie widział. Niebo ujawniało jedną po drugiej gwiazdy. W rozhuśtanym świetle oszczędzonej przez łobuziaków latarni miałem okazję dojrzeć, że jest pięć minut po terminie. Coraz bardziej zaczynałem żałować, iż nie wykręciłem się nawałem pracy. Mogłem chociażby powiedzieć, że jeszcze nie opracowałem artykułu do biuletynu medycznego. Pokręciłem głową. Maria też zdaje się miała dzisiaj ochotę na szaleństwo.

Skuliłem się bardziej, gdyż powiał szczególnie nieprzyjemny wiatr. Drzewa metalicznie zaszumiały. Uniosłem głowę. Pięć metrów ode mnie, błyskając światłem pozycyjnym lądował niewielki helikopter. Poczekalem, aż wirnik się uspokoje i podszedłem do kabiny. Pilot odsunął okienko.

–Kapral Wolitz – przedstawił się. – Proszę o pańskie dokumenty.

Wziął je, oświetlił małą lampką i najbezczelniej w świetle schował do kieszeni.

–Takie mam polecenie – powiedział i uśmiechnął się rozbrajająco.

Z kwaśną miną obszedłem maszynę i wsiadając uderzyłem naturalnie głową o sufit. Po zatrzaśnięciu drzwiczek spostrzegłem, iż położono mi na kolanach parę kartek papieru.

–Musi pan to podpisać, jeśli chce się pan dostać na teren ośrodka.

Symulując bez troskę, złożyłem parę podpisów nie chcąc nawet wiedzieć, co mi wolno i o czym mam później zapomnieć.

Kapral był fachowcem w swojej specjalności, gdyż gładko jak po sznurku unieśliśmy się w powietrze, przelecieliśmy rzekę, potem stadion miejski i już widać było lasy otaczające z tej strony miasto. Tutaj tylko przyrządy świeciły swym blaskiem, w dole było po prostu ciemno.

–Dokąd lecimy?

Nawet nie odwrócił głowy i tylko do ust przyłożył palec na znak milczenia.

–Z tyłu fotela znajdzie pan papierosy i coś do picia. Mamy cztery godziny lotu.

Chciał być życzliwy, ale zirytował mnie tylko. Czy naprawdę każda instytucja musi się otaczać nimbem tajemniczości?

–A jak zechce mi się siusiać, to co? – spytałem zgryźliwie. Zachichotał.

–Ja to robię w locie. Wystarczy drzwiczki uchylić.

Musiał skurczybyk zauważyć, że się trochę boję wysokości.

–Tak – mruknąłem. – To chyba lepiej się prześpię.

–Zbudzę pana przed lądowaniem.

Wyciągnąłem na ile się dało nogi i z głową na oparciu usiłowałem zasnąć. Za plastykiem osłony przelatywały ciemne, nierozróżnialne szczegóły terenu.

Tajne laboratorium wirusologiczne, pierwszego stopnia czujności, znajdowało się we wzgórzach Maclera, leżących ponad sto kilometrów od najbliższego miasta. Cała okolica leży na wielkiej płycie powstałej jeszcze w trzeciorzędzie. Jej monotonię urozmaicają gdzieś pagórki i głębokie rozcięcia terenu. One to, sięgając do stu metrów w granitowe podłoże, czynią ziemię nieurodzajną, odbierając każdą ilość wilgoci. Gdy byli tu jeszcze tubylcy, nazywali to miejsce „złą ziemią”. Tutaj to, ukryty i zamaskowany przed okiem ludzkim, leżał jeden z najlepiej w świecie wyposażonych ośrodków badawczych. Jego sale mieściły się w wydrążonych w skale jaskiniach, oddzielonych od świata zewnętrznego nieprzenikalnym granitem i pancerzem ołowiu i betonu. Dodatkowe zabezpieczenie stanowiły czujniki, które w razie konieczności przywoływały na pomoc parudziesięciu żołnierzy, stacjonujących w pobliskiej bazie nr 21. Jak wykazały próbne alarmy zjawiali się nie później niż pięć minut po wezwaniu. Było to aż za szybko. Hermetycznego jak termos laboratorium nikt nie był w stanie naruszyć w tak krótkim czasie. Posiadało ono poza tym jeszcze jedno specyficzne zabezpieczenie, o którego skuteczności miałem się wkrótce przekonać.

Wylądowaliśmy na paskudnym, zupełnie nie oznakowanym kawałku płaskiej skały. Gdyby nie ów nieznaną świecący na zielono ekranik, w który z taką ufnością wpatrywał się kapral, to chyba ze strachu wyskoczyłbym jeszcze w locie.

–Niech pan poczeka aż odleczę. Wtedy proszę się udać w tamtą stronę – pokazał palcem. – Wejdzie pan w otwór jaskini. Będzie widać małe światełko. Dobrze?

Kiwnąłem głową, że jest mi wszystko jedno.

–A moje dokumenty? – spytałem z ręką na klamce.

–O ile wiem, będę pana za parę dni odwozić z powrotem. Mam rozkaz zatrzymania ich do tego czasu.

–Nie wydaje się to panu irytujące? Musiał być zawodowym żołnierzem, gdyż ze wzruszenia położył ręce na sterach.

–Tam czekają. Proszę się pośpieszyć.

Wyskoczyłem na żwir podłoża i przykucnąłem parę metrów dalej. Spokojnie, z cichym terkotem helikopter odleciał w noc.

–Nieźle – pomyślałem. – W ładną kabałę się wpakowałem, nie ma co.

Było ciemno jak..., zresztą łatwo się domyślić. Czarne niebo i podobne skały, może tylko trochę bardziej połyskujące. Wyglądało, że kamień można tu zauważyć tylko

wtedy, gdy już się o niego uderzy. Ruszyłem w zapamiętanym kierunku. Po trzecim potknięciu zacząłem się zastanawiać, czy twórcy lądowiska nie przesadzili z maskowaniem. Mogli chociaż z grubsza uprzętać teren.

Coś zajaśniało przede mną. Właściwie należałoby powiedzieć, zrobiło się mniej ciemno niż wokół. Nad głową przeleciało skrzydlate stworzenie. Dziw aż, czym to się żywi. Wyprostowałem się i szybkim krokiem dotarłem do małego, na pozór normalnego wejścia do jaskini. Tu już ktoś wylał beton na podłoże.

–Pan Stawic, prawda? Drgnąłem słysząc pytanie.

–Tak.

–Miło mi. Proszę wejść do środka, gdyż muszę zamknąć wejście.

Uczyniłem to. Coś ciężkiego zsunęło się za mną na otwór. Zabłyśły światła. Stałem w owalnym, wyłożonym gumopodobną wykładziną pomieszczeniu. Nad drzwiami jakby wind mrugał rząd świateł. Przed nimi stał człowiek o jasnych, ufnych oczach.

–Docent Pallison – przedstawił się,

–Miło mi pana poznać – byłem szczerze uradowany. – Z przyjemnością czytuję pańskie artykuły.

Każdy jest trochę próżny. I on nie był inny.

–Cieszę się. Chociaż nie sądzę, aby mógł pan znać wszystkie – zaśmiał się do własnych myśli.

–Może pan mi powie co tu się dzieje, tak dokładniej?

–Z chęcią, ale wejdźmy do windy. Polecieliśmy w dół, aby po chwili skręcić w bok.

–Dwa tygodnie temu zaszczepiliśmy trzy szympansy wirusem Elfemii. Po paru dniach dokonaliśmy tego samego zabiegu na jeszcze trzech osobnikach. Robiliśmy to na klasycznym wyciągu z żółtka kurzego.

–Moment. Dlaczego stosujecie małpy? Przecież podłoża są o wiele lepsze.

–Niezupełnie. Nawet na hodowlach próbowkowych wirus Elfemii nie chce się rozwijać. Dokładnie mówiąc, rozwija się, ale traci większość interesujących nas cech; przede wszystkim zjadliwość.

Był zniecierpliwiony moim pytaniem, ale nie mogłem się powstrzymać.

–Jeszcze jedno Elfemia jest chorobą paskudną, ale ze względu na klimat, o bardzo

ograniczonym działaniu. Dlaczego was interesuje?

Oczy Pallisona zmatowiały.

–Badamy wiele chorób, nie tylko Elfemię. Mogę powiedzieć jedno. Jest to laboratorium wojskowe i musi pan o tym pamiętać. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli ograniczy pan swoje zainteresowania do samej konsultacji i niczego więcej.

Zrobiło mi się nieswojo.

–Myślę, że zrozumiałem. Kiwnął głową.

–Dwa dni temu. kiedy osiągnęliśmy trzy czwarte cyklu inkubacyjnego, zaczęliśmy testy hamujące.

Dałem znak oczyma, że rozumiem. Chodziło o znalezienie antymetabolitu, mającego zahamować proces rozmnażania.

–Po trzech seriach A B i amonowej, jeden z asystentów. Helgstrom zaczął testować jady. Swojego czasu miał w tym niezłe osiągnięcia. Pozwolił sobie, za naszą milczącą zgodą, zaszerwować inną substancję niestosowaną popularnie. Był to jakiś związek organiczny, który sam wyodrębnił i przyniósł do laboratorium. Mówię jakiś, bo nie znamy jego pochodzenia.

–A laborant? – spytałem odruchowo.

–Nie żyje Był na terenie wiwarium, kiedy małpy dostały szalu.

Winda zatrzymała się.

–Zaraz dokończę Niech pan zdejmie ubranie i zostawi tutaj. Musimy przejść do komory radiacyjnej.

Za drzwiami windy znajdował się ponury korytarz. Jasne pasy luminoforów starały się zabrać przykre wrażenie, iż człowiek znajduje się kilkadziesiąt metrów pod ziemią otoczony zewsząd masywnością skał.

Przeszedłem na drugą stronę. Drzwi, podobne do tamtych, otworzyły przede mną widok na pomieszczenie podobne do smukłego, metalowego Jaja.

–Tam jest ubranie – wskazał szafkę. – Ale ubieźemy się dopiero za paręnaście minut.

Drzwi rozsuneły się bezgłośnie, jak w każdej porządnej instytucji. Byłem oszołomiony szybkością biegu wypadków.

–Opowiadam dalej. Nie znamy dokładnie kolejności zdarzeń. Ale najprawdopodobniej chłopak nie rozumiał grozy sytuacji, nawet w chwili gdy jedna z małp przegryzła mu kombinezon. Przyznaję, iż zawsze sądziłem, że jest to niemożliwe.

Staliśmy do siebie plecami, mimo okularów krępując się naszą nagością.

–Nie zawiadomił o tym centrali: chciał, jak widać, sam opanować sytuację; a może stracił głowę? Faktem jest, że w czasie co dwudziestominutowej kontroli znaleziono go prawie nieprzytomnego w części manipulacyjnej wiwarium. Na nieszczęście nie zacisnął kołnierza hermetycznego. Skaził i to pomieszczenie. Naturalnie wszystko pokazały nam kamery. Nikt na teren wiwarium nie wchodził. On zanim dostał drgawek zdążył wydusić co ostatnio testował, ale szczegółów nie powiedział. Zmarł dziesięć minut później.

–Niesamowita szybkość.

–Można by rzec – fantastyczna. Objawy u niego, poza atakiem szału w końcowej fazie, były identyczne jak u małp. Paraliż, trudności w oddychaniu, wręcz monstrialne powiększenie węzłów chłonnych i – co ciekawe – mały tylko wzrost temperatury. Ale trzeba pamiętać, iż mierzyliśmy ją za pomocą czujnika fotoelektrycznego.

–Nie staraliście się go wynieść stamtąd? Pallison westchnął głęboko.

–Jeśli zakażeniu ulega część manipulacyjna, to aby się tam dostać musimy izolować cały poziom. Zabiera to około 15 minut. Kiedy dotarły do niego wózki automatyczne, był już martwy. Dla pewności wpuściliśmy do środka gaz ksylonowy. Wie pan co to jest?

Wiedziałem. Nie ma istoty wyższej, która by to przeżyła.

–Później zrobiliśmy sekcję, próby białkowe i to wszystko, co pan, jak sądzę, również by zrobił. Proszę uważać. Nie znaleźliśmy w tkankach wirusa Elfemii. Także u części małp nie było specyficznych uszkodzeń, jakie on zostawia. Mam na myśli ciała Boriewa. Wyglądało, jakby zwierzęta nigdy nie były zarażone. Co równie ciekawe – nie znaleźliśmy w komórkach innych wirusów.

–Próba na pasaż?

–Ze wszech miar pozytywna. Wyciąg z płynu mózgowego mimo filtrowania i odwirowania, zakaża ze stuprocentową gwarancją inne osobniki. Nie żyją dłużej niż godzinę.

–Bardzo wysoka wirusowość.

W kabinie zaczęło mrugać na zielono i zgodnie z poleceniem Pallisona zacząłem się ubierać w białe płócienne spodnie i koszulę.

–Podkreślam. Żadne metody morfologiczne ani biologiczne nie wytropiły dotąd źródła choroby.

–A co z ciałem asystenta?

–Podobnie. Również histologia choroby jest dla nas bezprecedensowa. Tutaj liczymy najbardziej na pana. Jest pan, jak sądzę, najlepszym histopatologiem co najmniej w naszym kraju.

Jajowate pomieszczenie, w którym staliśmy, gdzieś się przemieszczało.

–Jeszcze jedna formalność – zatrzymał mnie Pallison, gdy stanęliśmy – musimy wypić litr płynu filtracyjnego. Jak dotąd – nie wymyślono nic, aby polepszyć jego smak.

Miał rację. Płyn był tak obrzydliwy, że tylko zaciśnięte gardło uratowało mnie przed kompromitacją.

–Powinien mnie pan lubić – powiedział Pallison z szelmowskim uśmieszkiem, gdy wycierał usta w gazę.

–Piję to tylko dlatego, że zachciało mi się wyjechać po pana na powierzchnię.

Pokiwałem głową, że bardzo to sobie cenię.

Za drzwiami był już normalny korytarz, biegnący lekkim łukiem i chyba tylko brak okien mógł przywołać myśl o niecodzienności tego miejsca.

–Przywiozłem profesora Stawica – mówił Pallison do telefonu na ścianie.

Mijały nas długonogie dziewczyny i samo się rozumie, że wołałem uśmiechać się do nich niż słuchać wywodów docenta. Dziewczyny były jakoś tak paskudnie poważne, że nawet nie zauważyły moich wysiłków. Facet pchający za nimi wózek miał również nieszczęśliwą minę, z tą różnicą, że był nieapetyczny na gębie. Przypominał ofiarę nieudanego, lecz sadystycznego eksperymentu.

–Jest poważniej niż sądziłem – mówił szybko docent, gdy skończył rozmowę.

–Wszystko wskazuje, iż sąsiednia sekcja też uległa zakażeniu. Badaliśmy tam ospę. Idę to sprawdzić. Pan poczeka u mnie w gabinecie.

Przeszliśmy parę metrów na wprost. Potem zakręt i znów kilkanaście metrów. Mijali nas zdenerwowani ludzie. Widać to było na pierwszy rzut oka.

Pallison nie przepuścił mnie pierwszego do gabinetu. Najwyraźniej się spieszył.

–Tu są zdjęcia i wykresy, a na monitorze może pan odtworzyć sobie ostatnie dziesięć minut przed zgonem Helgstroma. Może się coś panu skojarzy. Jak wrócę, to będziemy przeglądać razem. Wyjaśnię to, czego dotąd nie powiedziałem i radzę z nikim na razie nie dyskutować. Nie ma z kim – dodał.

Usiadłem w fotelu. Po prawej stronie miałem klawisze magnetowidu.

–Co będzie, jeśli wirus zainfekuje inne sekcje? Moje pytanie zatrzymało go w drzwiach. Spojrzał nieobecny wzrokiem.

–Na zewnątrz nie wyjdzie. Jest to niemożliwe.

Zostawił mnie samego. Chcąc nie chcąc musiałem zacząć się przyglądać agonii zupełnie nieznanego mi człowieka.

Jestem wirusologiem od dziesięciu lat, od piętnastu lat miałem okazję oglądać najróżniejsze przypadki, ale tym razem przeczucie mówiło mi, że stanąłem twarzą w twarz z czymś nowym i nieznanym. Jeszcze zerkałem na papiery, jeszcze robiłem notatki, lecz zdawałem sobie sprawę, że jest to przypadek niespotykany i wszelkie analogie są bezsilne.

Wysoki blondyn z plikiem fotokopii w garści otworzył gwałtownie drzwi. Speszył go mój widok.

–Docenta Pallisona nie ma?

–Mówił, że idzie sprawdzić sekcję przylegającą do wiewarum.

Człowiek zmarszczył brwi, jakby zapomniał o co mnie pytał.

–Aha – ocknął się – dziękuję. Wyszedł. Przewinąłem taśmę i człowiek na szklanym monitorze zaczął umierać po raz wtóry.

Pallison ciągle nie wracał. Dzwoniła tylko jakaś dziewczyna przedstawiając się jako sekretarka nieznanego mi profesora Holya. Prosiła w imieniu docenta i profesora, żebym się nie niepokoił i dodała, że konsylium przewidziano za dwie godziny. Na pytanie o sytuację, bąknęła coś niezobowiązującego i przepaszając rozłączyła się.

Miałem na kartce wypisane tylko dwie pozycje. Przypuszczenia, same przypuszczenia. Na dole było jeszcze jedno zdanie, podkreślone czerwonym flamastrem: Zbadać substancję dawkowaną przez Helgstroma.

Liczyłem jeszcze na własną, nie opublikowaną przeze mnie metody rozpoznawania wirusów, a

dokładniej ich cech rodzinnych. Opierało to się na pewnych odczynnikach krystalicznych. Niecierpliwilem się. Nikogo tutaj nie znałem, a wychodząc sam na poszukiwanie Pallisona mogłem się zgubić w potężnym, jak dało się zauważyć, kompleksie laboratorium. Z roztargnieniem zacząłem się przyglądać fotografii niemłodej już kobiety, postawionej dyskretnie w kącie biurka.

–Chyba skądś ją znam – pomyślałem.

Ale już wiedziałem. Miała tak samo ufne oczy jak Pallison.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Pallison zamknął je za sobą i dysząc oparł się o nie. Wstałem z fotela.

–Idziemy na konsultację?

–Tak i to szybko.

Wyszedłem z biurka. Rzadko kiedy można widzieć tak zdenerwowanego człowieka. Po prostu wypchnął mnie za drzwi.

–Zostawiłem dokumentację! – zdążyłem krzyknąć.

–Szybko, to nie ma znaczenia.

Szedł takim tempem, że aby mu dorównać musiałem biec. Korytarz był pusty. Białe aseptyczne ściany i dyszący oddech Pallisona. Zza uchylonych drzwi dobiegały odgłosy intensywnej kłótni. Nawet się nie zatrzymaliśmy. Boczny korytarz.

–Dostanę zawału albo klaustrofobi – przeszło mi przez głowę.

W ścianie tkwiły duże drzwi.

–Masz szczęście, że ja też czytuję twoje artykuły – powiedział trochę bez sensu, przekręcając koło dociskowe.

Nawet nie zauważyłem, że przeszedł na „ty”. W środku szerokiej sali stały rzędy stołów laboratoryjnych, pudeł i części manipulacyjnych.

–Tu mamy się konsultować? – zdobyłem się na ironię, lecz jego odpowiedź odebrała mi chęć do żartów.

–Zgłupiałeś? Żadnej konsultacji nie będzie. Laboratorium jest załatwione. Poszło pięć następnych sekcji, dziesięć osób kona tam teraz.

Wrosłem w podłogę.

–Można chyba izolować hermetycznie cały poziom?

–Nic z tego – mruknął i nie wiadomo po co zaczął odsuwać na bok pudła spod jednej ściany.

–Pomóż mi – sapnął.

Ruchy rąk i przenoszenie ciężarów nie pozwalały na zebranie myśli Odezwał się pierwszy.

–Kiedy zorientowaliśmy się o niesamowitej wirusencji, odcięliśmy cały poziom, łącznie z sekcjami, gdzie badaliśmy ospę. To było w tym czasie, kiedy wyjechałem po ciebie. Przegrody między poszczególnymi sekcjami teoretycznie nie są idealne, dlatego też zakażenie sąsiedniej sekcji nie było tragedią. Jednak godzinę temu stwierdziliśmy identyczne objawy na wyższym poziomie. Docent Pasos wyczuł, że coś z nim niedobrze i zameldował nam. Ale było za późno.

Pallison odsunął jak widać co chciał i spojrzał na zegarek.

–Szlag by to trafił! – krzyknął. – Zapomniałem.

Podbiegł do jednego z pudeł. Na pozór było fatalnie zakurzone. W środku znajdowały się aparaty tlenowe zamkniętego obiegu.

–Wkładaj! – rzucił mi jeden. – Szybko, bo ja już głupieję.

–Po co to?

–Wkładaj, chyba nie chcesz, aby cię diabli wzięli.

Włożyłem.

–Co ty w takim razie robisz? Trzeba im pomóc.

Chwycił mnie za materiał na torsie.

–Jeśli powiesz teraz choć słowo na temat człowieczeństwa, to ci rozwalę łeb – mówił z ryjem maski przed moją twarzą.

Ledwie rozumiałem słowa.

–Posłuchaj! Jest to laboratorium pierwszego stopnia i bada się tutaj tak kurewskie świństwa, że nie mają one prawa dostać się na zewnątrz. Dlatego też ma ono specjalne zabezpieczenie, o którym nikt poza mną tutaj nie wie.

Potrząsał mną całym. Szybkę maski pokryła mu para.

–Tym zabezpieczeniem jest cały system podsłuchu wizualnego i fonicznego. Jest tu od cholery kamer i mikrofonów. Po ich drugiej stronie siedzi w bazie paru facetów, którzy w przypadku epidemii mają rozkaz nas załatwić, a laboratorium zalać ciekłym azotem.

–To niemożliwe – wybełkotałem. – Nikt tego nie uczyni z zimną krwią.

–Gówno prawda. Ich jest kilku, a tylko jeden ma prawdziwy podgląd na nasze laboratorium, inni mają podstawione nagrania i zawsze ten decydujący może mieć uczucie, że to próbny alarm. Zresztą oni takich alarmów mają kilka na tydzień i już dawno przestali kojarzyć nas z prawdziwymi ludźmi. W końcu zabijali na niby tyle razy...

–Jak zabijali?!

–Najpierw puszcza się gaz obezwładniający, potem ksylonowy, do każdego pomieszczenia. Nie masz pojęcia jak sprytnie jest skonstruowany nasz ośrodek. Następnie sprężarki wciągają do zbiorników powietrze podając na jego miejsce azot. Po godzinie laboratorium ma temperaturę niemalże próżni kosmicznej. Nie przypadkiem powiedziałem w windzie, że jest zbudowane jak termos.

Spojrzał raz jeszcze na zegarek.

–Sądzę, że zaczęli wpuszczać gaz.

–Skąd ty do jasnej cholery wiesz o wszystkim?!

–Mój bystry i genialny przyjacielu. Gdybyś miał za kochankę panienkę obsługującą jednocześnie faceta, który projektuje takie zabawne pomieszczenia jak to, wiedziałbyś to samo.

Przełknąłem wiadomość.

–Chcesz uciekać?

–Naturalnie. Jak nam się poszczęści, obydwaj zwiejemy. Tu, za ścianą powinna być pochylnia, którą za kilka dni wjadą automaty, aby pogrzebać w naszych trupach i dowiedzieć się co tak naprawdę nas wykończyło. Tym na górze główka pracuje. Ani pół wirusa nie wydostanie się na powierzchnię z tej prostej przyczyny, że nic stąd już się nigdy nie wydostanie.

Przesuwał palcami po ścianie, najwyraźniej czegoś szukając.

–Nie martw się. My tędy wyjdziemy – dodał.

Schylił się i zaczął obmacywać listwę przy podłodze.

–Niech to diabli, kiedyś sprawdziłem, że po drugiej stronie jest pochylnia, ale nie oznaczyłem wchajstrern. O, jest! – zawołał radośnie.

Rozglądając się wokół skojarzyłem pewne fakty.

–Tutaj nie ma kamer? Zaśmiał się.

–Były. Zanim przyszedłem po ciebie, zdążyłem je nieco uszkodzić. To samo zrobiłem w dwóch sąsiednich pomieszczeniach. Pomyślą, że zasilanie wysiadło.

Szarpnął listwę do góry. Zwinęła się ze ścianą jak żaluzja. Dalej były szerokie metalowe drzwi.

–Wyjdź na korytarz. Upewnij się, czy już ich załatwili. Gdyby ktoś się jeszcze ruszał, to nie wchodź mu w drogę i uważaj na maskę.

Zawahałem się. Zrozumiał mnie, gdyż życzliwie klepnął po ramieniu.

–Nie bój się. Nie pójdę bez ciebie. Chcę tylko wiedzieć ile mamy jeszcze czasu.

Jego uwagi były nieaktualne. Na korytarzu nikt się nie ruszał. Dotarłem aż do drzwi, gdzie przedtem słyhać było kłótnię. Rozglądając się czujnie pchnąłem je do środka. Coś przeszkadzało. Był to młody mężczyzna z rozerwaną na piersi koszulą. Jego nogi zagradały przejście. W głębi na podłodze leżały dwie kobiety, a z głową opartą o blat biurka siedział ten sam facet, który pytał się przedtem o Pallisona. Nie żyli! Zwiększyłem dopływ mieszanki i zataczając się pobiegłem z powrotem,

–Tylu ludzi wykończyli – jęczałem – tylu ludzi.

Ściana, przy której grzebał Pallison w czasie mojej nieobecności, uległa kolejnej

metamorfozie. Ziała na niej paszcza szerokiego wejścia, za którym ciągnęła się stromo pod górę pochylnia. Zdałem krótką relację. Pokiwał głową.

–Za parę minut zaczną podawać azot. Idziemy. Mamy sto metrów pod górę. Chwyciłem go za ramię.

–A wirusy nie dostaną się przez pancerz do gruntu, nawet po zalaniu azotem?

–Jeśli będą aktywne, to pancerz ich nie przepuści. Ten chociaż jest idealnie szczelny. Chyba że to świństwo potrafi przejść przez lity metal.

Wyszczrzył zęby.

–Sądysz, że to mutacja?

Skinął głową i szybkim krokiem ruszył w górę. Gdy zanurzałem się za nim, wydawało mi się, że z kątów magazynu poczęły się unosić, znikające na razie szybko, obłoczki białej pary.

Szło się ciężko i chyba trochę za późno wyszliśmy. Za nami biegło chłodne powietrze. Jeśli w ogóle było to powietrze. Pallison coś mamrotał, że nie potrafił zamknąć od środka wejścia na pochylnię. Idąc prawie na czworakach, ledwie dysząc w tej przeklętej masce, starałem się podążać za jego ciemną sylwetką. Biegące w nieskończoność smugi luminoforów kończyły się w dole coraz mniejszą plamką wejścia. U góry wydawały się nie mieć końca. Pomyślałem o swojej twarzy. Musiała być sina z obrzękniętymi oczyma i astmatycznie sapiącymi ustami. Już nie mogłem iść tak szybko. Pallison starszy ode mnie rwał do przodu tempem, o jakie nigdy bym go nie podejrzewał. Nie miałem siły, aby zawołać. Luminofory były coraz słabiej widoczne. Chociaż... tak, to był azot. Myśl sprawiła, iż uczułem mróz, jaki nas otaczał. Obróciłem głowę. Pochylnię pełzła w górę mleczna mgła. Była kilkanaście metrów z tyłu, gęsta jak śmietana. Nasze szczęście polegało na tym, że tu gdzie stałem, u góry korytarza zgromadziło się cieplejsze powietrze. Tam, na dole, już by człowiek nie żył, nawet z aparatem tlenowym. Zamarzłoby! W takiej temperaturze to kwestia paru minut. Na uginających się nogach szedłem dalej.

Pallison stanął. Uniosłem wzrok. Zwarte wargi ciężkich drzwi były nie więcej niż dziesięć metrów przed nami. Mimo mrozu ścinającego skórę twarzy, uśmiechnąłem się. Pallison też się uśmiechnął, ale kiedy ruszał dalej, nie wiem jakim sposobem pośliznął się i uderzając głową o ścianę upadł jak długi. Jednak nie był tak świeży jak sądziłem. Podbiegłem do niego, lecz poderwał się błyskawicznie na nogi. Zatrzymałem się niepewnie i patrzyłem jak szamocze się chwilę z aparatem tlenowym. Z wściekłością zrzucił go na ziemię. Butle potoczyły się w dół. Ze zmaconym wzrokiem spojrział na mnie. Twarz sczerwiała mu od zatrzymanego tchu. W ostatniej chwili zrozumiałem, że teraz mamy tylko jeden sprawny aparat. Uchyliłem

się przed ciosem pięści i z desperacją chwyciłem go za nogi. Upadł w tył. Musiał nabrać oddechu, nic nie mógł poradzić. Jeszcze próbował wstać, ale torsje rzuciły go z powrotem na kolana. Uskoczyłem! Wstrząsany drgawkami, coś charcząc toczył się w dół pochylni. Dopiero teraz skojarzyłem, że przecież mogliśmy oddychać na zmianę, po jednym wdechu, ale on już zniknął we mgle.

Jęcząc ze strachu pobiegłem do góry. Z sercem w gardle uderzyłem zgrabiałymi pięściami w metal drzwi. Rozejrzałem się rozpaczliwie czując, że zamarza mi oddech na masce. Z boku była tylko jedna rękonośnica. Napisu nie miałem czasu czytać. Szarpnąłem z całej siły. Chwila wyczekiwania i gdy już miałem zacząć wrzeszczeć, wejście rozsunęło się na boki. Skoczyłem do środka w ostatniej chwili, gdyż nie wiadomo dlaczego moment po otwarciu płyty metalu znów naszły na siebie. Pewnie ten napis wytłumaczyłby mi to. Rozejrzałem się gdzie jestem. Pomieszczenie przypominało tamto, w którym spotkałem po raz pierwszy Pallisona. Było tylko znacznie większe. Woląc się nie upewniać, czy jest tu powietrze zdatne do oddychania, zacząłem iść wzdłuż ściany.

W przeciwległym rogu sali wiły się spiralnie ku górze metalowe schodki. Kierunek mi odpowiadał, więc rozprostowując palce, zacząłem się wspinać na podest pod sufitem. Znów jakby śluza. Na ścianie wisi skrzynka z rękonośnicą i tabliczką pod spodem.

–Otwarcie ręczne. Nie używać bez zgody nadzoru.

Szarpnąłem. Ukazała się mała śluza. Wskoczyłem nauczony doświadczeniem. I słusznie. Zdażyłem tylko dostrzec jak z tyłu w sali gaśnie światło. Obejrzałem się i zamarłem. Następne drzwi nie posiadały niczego, czym można by je otworzyć. Te za mną również. Załkałem. Nerwy zaczynały odmawiać posłuszeństwa i kiedy kabinę począł wypełniać jadowicie fioletowy dym, miałem dwa wyjścia. Albo zwariować, albo przyjąć, że to normalna procedura dezynfekcyjna. Drżąc oparłem się o ścianę. Myśli rozbiegły się wokół każdej z przypominanych scen, jakie przeżyłem w ciągu ostatnich godzin. Chyba kończył się tlen, gdyż coraz ciężiej było z oddychaniem. Właśnie doliczyłem do pięciuset, gdy drzwi otworzyły się. Nie bacząc na nic przeskoczyłem próg. Metal zasuważając się otarł moje plecy.

Tu było inaczej. Nie zapaliło się żadne światło. Miałem wrażenie, że krótki korytarz, w którym stoję, kończy się dużą ciemną salą. Zdezorientowany ruszyłem tam. Krok, jeszcze jeden. Dopiero zgrzyt żwiru pod stopami uświadomił mi gdzie jestem. Przyklęknąłem na jedno kolano i zdarłem maskę, wystawiając twarz do wiatru. W górze świeciły gwiazdy. Płacząc schowałem twarz w dłoniach.

Biegłem już bardzo długo. Chociaż słowo „biegłem” jest lekką przesadą w odniesieniu do tego co robiłem. W głowie tłukło się przysłowie o żołnierzu, który maszeruje najpierw tyle ile może, a potem tyle ile musi. Ja musiałem!

Od chwili, gdy tam, przy wyjściu, usłyszałem warkot silników, gnały mnie już tylko dwie myśli. Jeśli zabili tyle osób, to bez wahania, dla czystej dezynfekcji, unicestwią i mnie. Po drugie, zbyt długo byłem wirusologiem, aby wątpić w perfidię chorób zakaźnych. Nie miałem żadnej gwarancji, że nie jestem zarażony. Chociaż, gdyby tak miało być, to powinienem już nie żyć, a ja wciąż biegłem.

Głęboki parów, do którego zsunąłem się nocą, ciągnął się w nieskończoność. Kiedy patrzyłem teraz na jego ściany, włos jeżył mi się na głowie. Nigdy nie zgodziłbym się na ponowne zejście. Słońce szło coraz raźniej w górę i powietrze nagrzewało się z minuty na minutę. Bieg, ciągły bieg.

Myśl, że brakuje mi sił nadeszła na moment przed tym nim upadłem na kamieniste dno suchego teraz jak popiół strumienia. Uniosłem się na rękach. W tańczących plamach czerwieni dostrzegłem, że kilkadziesiąt metrów dalej wąwóz pnie się ku górze dość ostrym podejściem. Prędzej bym umarł niż wdrapał się tam teraz. Obróciłem z wysiłkiem głowę. Niedaleko, zaraz za kępą suchych traw, wrzynał się w ścianę mały jar. Podciągnąłem się w jego stronę. Długie, tnące jak brzytwy trawy wydawały się nie do przebycia. Podszedłem metr w górę i tam, trzymając się skały, ominąłem ten jedyny ślad życia na pustkowiu. Jar skończył się rychło czymś na kształt skalnego okapu. Rosły tu małe krzaczki. Niestety, nic jadalnego na nich nie dostrzegłem. Były za to dość miękkie. Kładąc się, czułem wszystkie mięśnie.

Obudził mnie lekki ból głowy, pragnienie i upał. Odruchowo podczołgałem się do okapu. Twardy piasek był przyjemnie chłodny. Przewróciłem się na plecy i z uwagą zacząłem obserwować skały nad sobą. Z boku lekko dmuchał wiatr, przynosząc ziarenka piasku. Ale było to lepsze niż duszne stojące powietrze. Zamknąłem oczy. Musiałem wytrzymać do nocy. Jeśli nie pojawią się oznaki choroby, znaczyć to będzie, że mogę szukać ludzi. Naturalnie ostrożnie, abym zdążył im wytłumaczyć, że jestem bezpieczny dla nich.

Wyliczałem w myślach wszystko, co wiem na temat choroby, ale szło mi to ciężko. Podpierając się na łokciu ściągnąłem koszulę i podłożyłem pod głowę. Trochę lepiej.

Odpowiedzią na nurtujące mnie pytania było jedno słowo: mutacja. Niestety, aby się całkowicie upewnić należałoby dokonać kompleksowych badań. Parę zdjęć, które dał mi Pallison nie rozstrzygało sprawy. Metody dyfuzyjne i polaryzacyjne dają lepszą gwarancję. Są jeszcze moje kryształy. Tak myśląc, zasnąłem po raz drugi i śniło mi

się dużo wody, chłodnej, takiej do picia...

Tym razem zbudził mnie chłód. Fizycznie może i byłem mniej zmęczony, ale przy pierwszej próbie wydostania się spod skały stęknąłem z podziwu. Mięśnie miałem wręcz zmumifikowane. Zesztywniałe od leżenia plecy poczułem dopiero, gdy grzmotnąłem nimi o sklepienie. Jak automat z przetrąconą stabilizacją wygramoliłem się z mojej kryjówki. Igła rozpalonego pragnienia przy-

pomniała mi, że od piętnastu godzin nic nie piłem. Aż się zatoczyłem. Dla odzyskania równowagi zrobiłem parę przysiadów. Wyglądało na to, że wykpiłem się tylko lekkim osłabieniem. Podrapałem język, ale nic ciekawego na nim nie znalazłem. Węzły chłonne były w normie.

–Chyba jestem zdrowy – pomyślałem.

Słaby, zagubiony nie wiadomo w jakiej części kraju, ale z pewnością zdrowy. Przypomniałem sobie stary indiański sposób. Oderwałem guzik od koszuli i począłem go żuć. Podobno wzmacnia to wydzielanie śliny i pozornie łagodzi pragnienie. Chociaż Indianie używali do tego z pewnością kawałków skóry, a nie plastikowych guzików.

Zapadła ciemność. Wyszedłem na otwartą przestrzeń i spojrzałem w niebo. Wąski pasek Księżyca tkwił nad wzgórzami. W ciągu dnia, gdy drzemałem, nadśluchiwałem helikopterów wojskowych. Nikt mnie jednak nie szukał. Możliwe było, że jeszcze nie weszli na teren laboratorium albo przeoczyli brak mojej osoby. Z każdym metrem proporcjonalnie do liczby siniaków, poprawiał mi się wzrok. Teraz droga pięła się pod górę. Przyznaję, że się bałem, ale tylko ktoś bez wyobraźni nie odczuwałby lęku będąc sam w takiej scenerii. Zimno, ciemno i tylko wyznaczona bryłą czerni krawędź wąwozu. Niech jeszcze spadnie temperatura, a gorączka murowana. Obrazy z pamięci podsycaly niepokój. Co chwilę wydawało mi się, że to już, już. Ale nie, droga uporczywie wyłaniała swoje nowe szczegóły. Ile kilometrów od laboratorium mogę być? Dziesięć, dwadzieścia, gdzieś w tych granicach.

Wreszcie stanąłem na górze. Płaskowyż. Ruszyłem do przodu. Godzina, półtorej, ciągle twardy piasek i rzadka trawa pod stopami. Czasami schodziłem w dół, czasem pod górę. Łagodne wzgórki ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Chwilami zatrzymywałem się dla złapania oddechu, aby zapomnieć o dręczącym pragnieniu. Znajdowałem większy kamień i patrzyłem w niebo. Liczyłem spadające gwiazdy i przez moment byłem szczęśliwy. Szczęśliwy, że nie muszę iść, że nic mi nie grozi. Byłem sam, odcięty nocą od wszystkich ludzi. Myślałem. Myślałem tej nocy o rzeczach dawno nie wymawianych. Tych, które schowałem w pamięci bądź uznawałem za oczywiste. Całe moje życie. Może stąd pochodzi powiedzenie, że przed śmiercią człowiek widzi wszystkie zdarzenia, jakie przeżył. Nie, nie miałem zamiaru umierać. Po prostu byłem sam; zagrożony, ale jeszcze nie przytłoczony możliwością przegranej. Potem szedłem dalej.

To, że schodzę z płaskowyżu zrozumiałem po piętnastu minutach ciągłego marszu w dół. Wydawało mi się, że niżej dostrzegam długą, powykręcaną smugę o jednolitym zabarwieniu. Jeszcze paręset metrów i już byłem pewien – to szosa; nawet asfaltowa, pominąwszy bezlik zdobiących ją dziur. Nie pozostało mi nic innego jak podążyć nią dalej.

Było już bardzo zimno. Suche powietrze zachłannie zabierało ziemi ciepło. Szczękałem zębami, rozumiejąc, że chłód przenikający mnie nie tylko z powietrza pochodzi. Zgęstniała krew wolno sączyła się w żyłach. Starłem się nie myśleć o obrzydliwym smaku, jaki mam w ustach. Po wieczornym przyptywie sił, przychodził gwałtowny ich spadek.

Warkot! Nie dowierzając uszom, odwróciłem głowę. Jeszcze chciałem uciec, schować się, lecz ciało protestowało bezruchem. Światła zbliżały się coraz bardziej. Zmrużyłem oczy od blasku. Chyba machnąłem ręką. To tylko jeden wóz; zwykły, cywilny.

–Co się dzieje? – grubas wyszedł na zewnątrz i z ręką na dachu przyglądał mi się z zaciekawieniem.

–Proszę mnie zabrać – wyszeptałem tak cicho, że musiałem zaraz powtórzyć. – Miałem wypadek. Już od kilkunastu godzin staram się stąd wydostać.

Nie dziwiłem się, iż mi nie dowierza. Moje białe laboratoryjne spodnie i koszula prędkiej wyglądały na strój penitencjarny niż normalne, ubranie. W natchnieniu dodałem.

–Sprawiłem sobie niedawno helikopter. Za daleko poleciałem i wysiadł mi.

Widziałem, że to był gotów już kupić. Jeszcze chwilę gapił się na mnie. Potem spojrział w ciemność. Nie wiem czy wiele dostrzegł, ale najwyraźniej zadowolił się tym.

–W porządku. Wsiadaj.

Odblokował drzwi. Bez pytania owinąłem się w leżący na tylnym siedzeniu koc. Nic nie powiedział, tylko podał termos. Oczy wyszły mu na wierzch, kiedy ujrzał, z jakim tempem go opróżniam.

–Masz chłopie szczęście, że mnie spotkałeś. Szczękając zębami przytaknąłem. Ruszyliśmy.

–Jeszcze trochę, a byłbyś pierwszą ofiarą tych okolic od czasów kolonizacji – zarechotał, wyraźnie oswajając się z moją obecnością.

–Niech pan będzie taki uprzejmy i odstawi mnie do najbliższego miasta – powiedziałem. – Dalej już sobie poradzę.

–Dobra, dobra. Nie martw się, za sześć godzin będziemy w Malison – zawahał się moment.

–A jeśli to, co cię tak urządziło nie było helikopterem, to też się nie martw. Jak ktoś jest w porządku, ja się do jego spraw nie mieszam.

Gestem ręki uciął moje wyjaśnienia.

–Mówię ci, masz szczęście. Tą drogą mało kto jeździ, chociaż jest niezłym skrótem; ponad sto kilometrów się oszczędza. Tylko diabli wiedzą dlaczego nie jest oznaczona na mapach. Słyszysz? – spytał.

Ale ja już nie słyszałem.

IV

–Lubię takich facetów Jak ty – powiedział Mazzoni, gdy pożerałem trzecią porcję parówek.

Nie wiedziałem dokładnie o co mu chodzi, ale na wszelki wypadek uśmiechnąłem się porozumiewawczo. Od godziny jechaliśmy bardziej uczęszczaną drogą, mijając coraz więcej drzew i zieleni. Opuzczałem krainę „złych ziem”. Byłem z tego zadowolony. Jedynym kłopotem był fakt, że Mazzoni, wzorowy rolnik, dobry ojciec rodziny, jechał do domu i za nic nie dawał się uprosić o to, aby odwieźć mnie do miasta z lotniskiem, albo chociaż większym dworcem. Śpieszyło mu się i chyba trochę złośliwie pocieszał mnie, że raz na dwa dni z jego miasteczka odjeżdża autobus. Najwyraźniej uważał, że należy mu się towarzystwo do końca podróży.

W knajpie najwięcej ludzi stało przy barze, większość w drelichowych spodniach i identycznie skrojonych bluzach. Jedyna w tym gronie kobieta sprawiała wrażenie zawstydzonej. Dopiero później zrozumiałem, że jej wypieki pochodzą z ginu, którego szklaneczkę dzierżyła w dłoni. Właściciel stał spokojnie za ciżbą klientów i z nostalgią przecierał szkło. Wytarłem usta i odsunąłem talerz. Mazzoni zarechotał. Wyglądał na człowieka ceniącego dobre jedzenie. Wyszliśmy na zewnątrz. Byłem syty, w zasadzie wyspany, a letni wiatr rozpogodził mnie do reszty. Staliśmy pośrodku placu otoczonego paroma domami z czerwonej cegły. Były odrapane i aż prosiły o remont. Między nimi stał masywny budynek z wieżyczką, gdzie duży zegar miał albo kilkugodzinne opóźnienie, albo był zepsuty.

–Ty się spieszysz? – spytał niespodziewanie Mazzoni.

–Tak – odparłem z radosną nadzieją w głosie.

–Więc masz pecha – odparł i zaśmiał się, aż jego wielki brzuch zaczął podskakiwać na wszystkie strony.

Zauważyłem, że ma przepoconą koszulę nad sprzączką paska od spodni.

–Mam tutaj jedną sprawę do załatwienia – wyjaśnił, macając się po kieszeniach. – Zrób mi przysługę za przysługę i poczekaj na mnie. Dobrze?

Podeszliśmy do wozu. Otworzył drzwiczki.

–Włącz sobie radio i posłuchaj muzyki. Za godzinę powinienem wrócić – uśmiechnął się podejrzanie i zarechotał.

–O Boże! – pomyślałem.

Gdybym miał taki śmiech, to do końca życia chodziłbym ponury...

Włączyłem na pełny regulator pierwszą lepszą stację i z uwagą obserwowałem jego kroki. Szedł zdecydowanie ku sobie wiadomemu celowi. Czekałem z pozornym rozluźnieniem do chwili, gdy nie skręcił za jeden z murowanych domów. Wyskoczyłem z auta i pobiegłem za nim, opatrności zostawiając pilnowanie dobytku. Z myślą, iż ostatnio często mam okazję do biegów dopadłem ściany budynku. Spokojnie, aby nie zwrócić uwagi przechodniów, wychyliłem się z za rogu. Mazzoni wchodził właśnie do drzwi małego domku o białych ścianach i nic nie wskazywało, aby był to posterunek policji. Drzwi momentalnie zamknęły się. Stałem ważąc decyzję. Gdy Mazzoni wchodził do środka dostrzegłem jedną rzecz, co do której chciałem się upewnić. Zrobiłem krok, potem następny.

–Witaj kotku – powiedziała korpulentna pani, gdy zapukałem dwukrotnie do drzwi.

Nawiasem mówiąc, nie mam pojęcia dlaczego do drzwi tych instytucji puka się zawsze w ten sam sposób.

–Można? – spytałem z rozbrajającym uśmiechem.

–Naturalnie – odparła, lustrując mnie z góry do dołu. – Nie chcę być nachalną, ale sądzę, że kąpiel by ci się przydała.

Rozwiała moje ostatnie wątpliwości.

–Wedle pani uznania.

Roześmiała się i pociągnęła za policzek.

–Pierwszy raz u nas jesteś?

Kiwnąłem głową i westchnąłem z ulgą. W hallu, do którego weszliśmy nie było Mazzoniego, tylko dwie przeciętne dziewczyny. Zmrużyły oczy na mój widok. Posłałem im perlisty uśmiech.

–Tam są łazienki – pokazała ręką. – Odśwież się, a potem zapoznam cię z dziewczynami.

Goniony szmerem chichotów zamknąłem drzwi. Po prawej stronie były kabiny i momentalnie wiedziałem, w której znalazłbym Mazzoniego. Podśpiewywał i rechotał w sobie tylko właściwy sposób. Na palcach podszedłem do okna. Było starannie zamknięte, lecz nie okratowane. Kilka ruchów, podskok. i już byłem na zewnątrz. Zostawiłem je uchylone i po paru minutach byłem już w samochodzie. Z ręką na schowku przemyślałem parę faktów. Wyszło mi, iż Mazzoni nie wyjdzie stamtąd zbyt szybko i jest to dla mnie jedyna szansa na rychły powrót do stolicy. Wyciągnąłem

kable, postękałem, zadrapałem dłoń, ale już druty miałem spięte na krótko. Wytoczyłem wóz na drogę. Teraz już wiedziałem, że mam przed sobą kilkanaście godzin jazdy. Z boku, na siedzeniu, rozłożyłem mapę. Przyznaję, że uśmiechnąłem się od ucha do ucha, gdy uzmysłowiłem sobie, iż to Mazzoni będzie musiał korzystać z tego, kursującego co dwa dni autobusu. Jedyne w czym czułem się nie w porządku to świadomość, że on już chyba nigdy nie weźmie autostopowicza. Westchnąłem na tyle głośno, żebym usłyszał, iż mam wyrzuty. Opony z sykiem pożerały taśmę asfaltu.

Dwukrotnie po drodze musiałem nabierać benzyny, ale najwyraźniej posługiwanie się cudzą kartą kredytową miałem we krwi.

Wreszcie stolica. Nie miałem zamiaru jechać do domu, wydawało mi się to zbyt bezsensowne. Zaparkowałem z tyłu uniwersytetu, tak aby samochód z odległą rejestracją nikomu nie rzucał się w oczy. Tylnym wejściem, po schodach przeciwpożarowych wszedłem do środka. Był wczesny ranek i spodziewałem się zastać Rischa już u siebie w gabinecie. Zawsze przychodził najwcześniej z nas wszystkich. Zapukałem do sekretariatu i wszedłem. Paniienka miała refleks, gdyż zdążyła wrzucić do szuflady książkę zanim ukazałem się jej oczom.

–Jest profesor? – spytałem. Na twarzy dziewczyny mieszało się zdziwienie z uspokojeniem.

–A to pan? Nie, nie ma go.

–Jeszcze nie przyszedł.

–Dzisiaj go w ogóle nie będzie. Prosił, żeby zostawić mu wiadomość, jak będzie coś pilnego.

Odezwało się we mnie przecucie tak natrętne, że nie mogłem go powstrzymać.

–Pewnie ma pracę dla wojska? Panna Ruff kiwnęła odruchowo głową i aż się zaczerwieniła.

–Panie profesorze, on prosił, abym nikomu o tym nie mówiła.

Posłałem uśmiech, jakim podrywam dziewczyny.

–Sam mi o tym mówił parę dni temu, tylko wyleciało mi to z głowy. Zrobiłem świadomie pauzę.

–Więc kiedy wiem co on robi, niech pani powie, gdzie mogę go teraz znaleźć. Bardzo mi na tym zależy.

Pokręciła główką.

–Ale powie mu pan, że wyjątkowo dałam adres?

–Oczywiście, przecież tak właśnie było.

–Departament Zdrowia, ulica Długa 5.

–Dziękuję – cmoknąłem ją w policzek i wyskoczyłem na korytarz.

Panna Ruff coś tam jeszcze szczebiotała.

Departament Zdrowia mieścił się w dzielnicy banków i przedstawicielstw handlowych. Ciągły hałas, spaliny i ruch przez okrągłą dobę stanowiły humorystyczne miejsce na umieszczenie tego typu instytucji, ale nie to miałem teraz w głowie.

Przez główne wejście bez trudu dostałem się do środka. Dopiero, gdy minąłem okienko z napisem „Informacja” i ruszyłem ku schodom, zaczął się mały rozgardiasz. Zza biurka sprytnie schowanego za palmami wyszedł smutny mężczyzna. Głowę bym dał, że poza nim ożywiło się w okolicy jeszcze parę osób.

–Proszę o przepustkę!

–Przepustkę? – jęknąłem w duchu – ja nawet dowodu nie mam.

–Przepraszam – udawałem głupiego. – Chcę się widzieć z profesorem Rischem z Uniwersytetu.

–Przykro mi, ale taki pan u nas nie pracuje.

–Ja wiem, że on tu nie pracuje, ale sądzę, że znajduje się teraz na terenie gmachu. Pokręcił przecząco głową.

–To niemożliwe, musiałbym o tym wiedzieć.

Zerknąłem na schody. Myśl, aby umknąć dyżurnemu i samemu poszukać Rischa wydała mi się nedorzeczną. Przyszło mi do głowy, że mam jednak pewien atut.

–Proszę mnie wysłuchać – zaryzykowałem. – Niech pan sprawdzi, czy przypadkiem nie poszukujecie człowieka o nazwisku Filip Stawic. Ja nim właśnie jestem.

Musiał sobie coś przypomnieć, bo tylko na pozór powolnym krokiem wrócił do biurka. Nachy-

lił się nad małym monitorem i pogmerał przy klawiszach. Nawet specjalnie długo nie

wpatrywał się w wydruk.

–Więc twierdzi pan, że jest pan profesorem Stawicem – spytał z miną świadcząca, iż nie jest zbyt dobrym psychologiem.

Kiwnąłem radośnie głową.

–Niech pan słucha... – zaczął, ale jak się okazało, było to czyste pro forma.

Dwóch nie wiadomo kiedy zmaterializowanych mężczyzn chwyciło mnie pod ramiona i zrobiło coś takiego z rękoma, że chcąc nie chcąc musiałem prawie dotknąć czołem podłogi.

–Zaprowadzić do izolatki – usłyszałem z góry głos dyżurnego.

Ze świadomością, że zaraz połamią mi ręce, byłem niesiony do windy, potem prowadzony korytarzem, a następnie już chyba z nadgorliwością wepchnięty kopniakiem do małego pokoiku. Trzasnął zamek. Z twarzą na gumowym obiciu zacząłem odgadywać, gdzie mam ręce i nogi.

Pozwolono mi czekać nie więcej jak dziesięć minut. Jeślibym nawet wątpił czy to głos Rischa, to pierwsze słowa, jakie usłyszałem rozwiały wszelkie wątpliwości.

–Filip czy ty wiesz na jakie niebezpieczeństwo nas narażasz?

Stary, poczciwy Risch. Nie dziwi się, że żyję. Nie cieszy, iż nie zalano mnie azotem, a za to w imię obrony ogółu karcii mnie za inicjatywę.

–Słyszysz mnie?

Poszukałem wzrokiem oczka kamery, ale obite ściany były tak jednolite, że już miałem im pogratulować dobrej roboty.

–Słyszę. Posłuchaj mnie lepiej. Opowiem wszystko, co dotyczy ostatnich dni. Później, jeśli uznacie, że jestem chory, to możecie napuścić gazu i rozwiązać definitywnie sprawę.

Risch coś zabalgotał, ale ostro mu przerwałem.

–Proszę mnie posłuchać, to wam się przyda.

Opowiedziałem wszystko o laboratorium, o ucieczce z Pallisonem, ukrywaniu się na wzgórzach i tak dalej. Kiedy skończyłem poproszono, abym poczekał. Czas ciągnął się jak guma. Starłem się myśleć o czymś innym.

Siedziałem tyłem do drzwi i nawet nie zauważyłem, kiedy je otworzono. Ujrzałem, iż

umieszczono za nimi plastikową śluzę z wpustami manipulacyjnymi.

–Podejść do drzwi. Musimy pobrać krew. Podałem rękę anonimowym rękawicom. Podciśnieniowa strzykawka bezboleśnie wyssała mi parę centymetrów krwi. Poproszono, abym wrócił na miejsce i drzwi zamknięto z powrotem.

Przyszli po godzinie. Głośny hałas świadczył, iż tym razem obeszli się ze śluzą bez ceregieli. Pierwszy wszedł profesor, za nim dwóch wojskowych ze zmieszanyymi minami. Żeby nie było wątpliwości, Risch miał na sobie mundur w randze majora. Stałem niepewny, aż objął mnie ramionami i mocno uścisnął.

–Jesteś zdrow! Wybacz, że to tak długo trwało, lecz musieliśmy się upewnić.

–Znaleźliście go? To był mutant? Risch uśmiechnął się do dwóch facetów. Odpowiedzieli mu blado.

–Nie mówiłem, że to zdolny chłopak? – Pchnął mnie ku wyjściu. – Właśnie wczoraj uzyskaliśmy ostateczną pewność. Ta diabelska Elfemia przyjęła trudną do wykrycia formę, prawie niewykrywalną w cytoplazmie, ale mamy ją.

–Wiecie już co wywołało mutację? Zaprzeczył ruchem głowy.

–Jeszcze nie. Właśnie nad tym pracujemy. Zwrócił się do jednego z mężczyzn.

–Proszę o formalne dołączenie profesora Stawica do naszej grupy w charakterze eksperta. Wojskowy przymknął potakująco oczy.

–Dobrze, wyrażam zgodę. Byłem znów sobą.

V

Jeden z trzech osobników zapukał do mieszkania zajmującego pół piętra, co w tej dzielnicy świadczy o dużych możliwościach finansowych właściciela. Otworzył im chudzielec około trzydziestki. Ubrany był w wytarte levisy, nie dopiętą koszulę dżinsową i śnieżnobiałe adidas. Chyba żałował, że nie zdążył ich jeszcze wybrudzić. Jeden z przybyłych podsunął mu pod nos rękę z otwartą legitymacją. – Można? – spytał popychając drzwi.

Właściciel spokojnie przytrzymał je, z uwagą skonfrontował zdjęcie z twarzą i dopiero wtedy zdjął łańcuch. Weszli do pokoju.

–Proszę wybaczyć, ale wyjeżdżam z kraju na parę miesięcy i muszę skończyć pakowanie.

Spojrzeli na siebie, porozumiewawczo błyskając oczyma.

–Nie zajmujemy panu dużo czasu. Chcemy tylko dostać jedną informację.

Rzeczywiście wyjeżdżał. Otwarte szafy, meble zakryte pokrowcami i parę spakowanych walizek

było wystarczającym alibi. Gdy rozmawiał, do ostatniej torby pakował starannie owinięte w plastyk koszule i bieliznę.

–Jestem do panów dyspozycji.

–Pan zna Jorga Helgstroma?

–Tak, od kilku lat

–Czy pan wie czym on się zajmuje?

–Jest bakteriologiem, czy coś koło tego. Nigdy tym się dokładnie nie interesowałem. Czy coś mu się stało?

Ten z legitymacją zrobił nieokreślony ruch ręką.

–Miał wypadek i przez najbliższych parę dni będzie nieprzytomny. Niestety, posiada on bardzo ważną dla nauki informację. Mianowicie dostarczył swojemu laboratorium interesujący środek chemiczny, który, jak nas poinformowano, może być świetnym lekiem na zaburzenia układu krążenia. Wypadek spowodował, iż instytut dysponuje tylko minimalną ilością tego środka, co naturalnie przerywa tok badań. Z zapisków dowiedzieliśmy się, że od pana dostał on ów specyfik. Czy mógłby pan udzielić informacji na ten temat?

Tamten już od paru zdań słuchał z większą uwagą.

–Domyślam się o co może chodzić – odezwał się po chwili i wyszedł do drugiego pokoju.

Najwyższy z przybyłych zrobił parę kroków do przodu, tak aby móc zerknąć przez uchylone drzwi.

–To będzie ta sprawa – powiedział człowiek wchodząc z kartką w rękę.

–Kiedyś zajmowałem się hodowlą kwiatów, teraz od kilku lat nie pozwalają mi na to obowiązki, ale jeszcze od czasu do czasu dostaję przesyłki z tej dziedziny.

Podał kartkę.

–Przesyłkę dostałem od nieznanego mi hodowcy z okolic Karlbone. Z listu wynikało, iż na bazie jakiegoś endemitu wyhodował Heliozę: kwiat o niecodziennym zapachu. W celu rozreklamowania wysyłał po kraju próbki nektaru. Prawdą jest, że miał on niesamowity zapach. Kto wie, gdyby nie mój wyjazd, może poprosiłbym o bliższe szczegóły.

–Czy ten nektar dostał od pana Helgstrom?

–Tak, wziął prawie wszystko. Zaraz, moment! – zamachał rękoma i rzucił się ku stoliczkowi nocnemu.

Z szuflady wyjął plastikowe pudełko z brązową, już pomarszczoną kulką substancji na dnie.

–Zostawiłem sobie trochę.

Otworzyli i z wyraźną obawą powąchali.

–Przecież to w ogóle nie ma zapachu. Człowiek roześmiał się.

–Zgadza się. Hodowca zaznaczał, że nektar po kilku tygodniach traci swoje właściwości; jest już do niczego. Dlatego chciał tym zainteresować kogoś z większą gotówką. Rozumiał, iż musi mieć dużą plantację, jeśli chce na to zwrócić uwagę przemysłu kosmetycznego.

Mężczyzna stojący dotąd z tyłu chrząknął.

–Rozumiemy. To chyba będzie wszystko, jako że adres hodowcy, jeśli się nie mylę, jest na firmówce listu.

Ten z legitymacją potaknął.

–W takim razie dziękujemy za informację i przepraszamy, że zwróciliśmy się w tak urzędowej formie. Ale pracownicy służby zdrowia bali się, że tylko policji powierzy pan tajemnicę.

Roześmiali się wszyscy, łącznie ze znajomym Helgstroma.

–Przekażcie panowie Jorgowi pozdrowienia ode mnie, jeśli będziecie mieli okazję.

Przytaknęli. W drzwiach minęli się z dwoma bagażowymi z napisem „Linco” na czapkach. Była to nazwa portu lotniczego, skąd odlatywały odrzutowce transkontynentalne.

VI

Na jednym wolnym od wykresów i zdjęć kawałku biurka kończyłem pisać sprawozdanie, gdy do pokoju wszedł Risch. Gestem ręki poprosiłem, aby mi nie przerywał. Parę uwag i wątpliwości, które należy wyjaśnić i już mogłem pod spodem złożyć podpis.

–Gotowe – powiedziałem na głos, zadowolony z efektu kilkugodzinnej pracy. Wziął papiery w rękę.

–Nie da się odwołać wybuchu? – spytałem, ale on zajęty czytaniem, tylko pokręcił głową.

Trzy osoby miały decydujący głos w całej sprawie. Risch, jako inspektor Departamentu Zdrowia, nieznany mi szef sztabu na Okręg Północny Kowers i znany mi z telewizji sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego Steve Keler. Oni to podjęli decyzję, że po zebraniu wszystkich danych przez automaty, cały ośrodek ma zostać unicestwiony ładunkiem nuklearnym. Motywowano to nieodwracalnym skażeniem laboratorium i chęcią posiadania całkowitej pewności, że przez jakiś głupi przypadek wirusy nie wydostaną się na zewnątrz. Niestety testy wykazały, że po ogrzaniu odzyskują normalne cechy.

–Dobrze – powiedział Risch, odkładając na stół sprawozdanie. – Widzę, że doszliśmy do identycznych wniosków.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

–Ten cholerny mutant ma tak niecodzienną budowę, że nic dziwnego, iż Pallison i jego współpracownicy nie mogli wpaść na ślad. Zresztą mieli na to za mało czasu.

–I nie mieli aparatu autodyfuzyjnego – dodał Risch – powinniśmy dziękować Japończykom, że bez wahania przysłali nam swój prototyp.

–Nie zapominaj, że obiecałem opisać im za to moją metodę krystaliczną.

Roześmialiśmy się, wiedząc, że w interesach nie ma uczuć.

–Mimo to sytuacja jest niejasna. Ciągłe nie wiemy, co było przyczyną mutacji.

–Ludzie z departamentu szukają źródła, skąd pochodziła owa Helioza.

–W porządku, ale czy ona była przyczyną?

–Widziałeś zdjęcia dziennika Helgstroma. Ostatni zapis mówi, że zaczyna dawkowanie roztworu z Heliozy. Dalej kartki są puste.

–To wszystko prawda, ale wciąż wydaje mi się, że zapomnieliśmy o jednej rzeczy.

Zamilkłem i wstając zza biurka zacząłem się przechadzać po gabinecie tam i z powrotem.

–Powiedz mi, czy to możliwe, aby rzadki, lecz w zasadzie dawno poznany wirus mógł w zastraszającym tempie przeistoczyć się w coś aż tak odmiennego. Mam przeczucie, że grał tu rolę jeszcze jakiś czynnik, który przeoczyliśmy.

Risch był zmęczony i akceptował moje wywody, nie mając zamiaru wtrącać swoich trzech groszy. Swoją drogą, jakież walki wewnętrzne musiałem toczyć, aby się przekonać do tego człowieka. Na studiach, kiedy był jeszcze docentem, nazywaliśmy go Kalafior i przyznam szczerze, nie pamiętam dlaczego. Ludzie, gdy się przyzwyczają do złośliwości, nie mogą z niej zrezygnować, chociażby powód konfliktu dawno był nieaktualny.

–Moment! – krzyknąłem tak głośno, że aż Risch wzdrygnął się w fotelu.

–Chyba wiem, co mi się nie podoba. Trzeba to sprawdzić.

Stanąłem przy drzwiach.

–Chodźmy. Muszę przejrzeć zapisy.

Risch poddał się memu zapałowi z chęcią wskazującą, iż sam potrzebuje czegoś nowego.

Nigdy bym nie przypuszczał, że baza wojskowa może być tak wygodna. Tego typu obiekty zawsze kojarzyły mi się z surowymi bunkrami, wysokim, posypanym tłuczonym szkłem murem i każdym pomieszczeniem wypełnionym pod sufit bronią. Tej ostatniej, jak mi powiedziano, rzeczywiście nie brakuje, lecz to nie powód, aby nie panowały tutaj znośne warunki. W końcu mieszkali tu ludzie. Kilka gabinetów, urządzone ze smakiem sypialnie, na korytarzach normalne dywany, i gdyby nie mundury, w których chodzono, nigdy bym nie pomyślał, że jestem w ośrodku wojskowym.

Kiedy schodziliśmy po schodach, ktoś zawołał za nami. Obróciłem się.

–Przepraszam, czy pan jest tym Stawicem, któremu udało się uciec z laboratorium?

Zerknąłem na Rischa, ale ten tylko wzruszył ramionami. Mężczyzna, który zadał to pytanie, był średniego wzrostu, silnej budowy, gruby w karku, o poczciwej twarzy. Nie znałem go.

–Tak, a dlaczego pan pyta? Pociągnął nosem.

–Ma pan niesamowite szczęście – odparł.

–Ja zaś za to, że nie dość czujnie sprawdzałem kontrolki, dostałem naganę.

–Przykro mi.

–Ależ nie! Dlaczego ma być panu przykro?!

–zawołał. – Analiza pańskiej ucieczki pozwoli na uniknięcie takich przypadków w przyszłości. Podrapał się w głowę.

–Ma pan szczęście – dodał i bez słowa oddalił się korytarzem.

–Słyszałeś? – zwróciłem się do Rischa, ale ten nie podjął tematu.

Weszliśmy do sali kontroli. Stąd kierowano automatami, które zjechały do laboratorium. Miały tam zostać na zawsze, gdyż śluzę zalano zaraz po tym betonem i plastykiem. Rząd siedzących wzdłuż ściany ludzi patrzył ze skupieniem w monitory śledząc ruchy robotów. Na najbliższym ekranie widać było fragment korytarza z leżącą na jego dnie cienką warstwą azotu. Był błękitny jak niebo i tylko leżący w nim powykręcany człowiek psuł cały efekt. Operator za pośrednictwem wysięgników automatu, sprawnie dobrał się do puszki mózgowej i wycinał właśnie kawałki tkanki do analizy. Nauczyłem się, że w bazie o całej historii w laboratorium mówi się jak o nieszczęśliwym wypadku. Martwy człowiek, ofiara nieszczęśliwego wypadku, polegającego na tym, iż inni ludzie z obawy o własną skórę, otruli go, a potem zamrozili, stał się z podmiotu zwykłym przedmiotem.

–Ciekawi, czy w przypadku zdrady tajemnicy, cały personel bazy też się rozstrzeluje? – pomyślałem w duchu i na tym poprzestałem. Wszedłem do kabiny razem z Rischem. Dzięki temu żądany materiał dostałem po minucie. Po raz czwarty miałem oglądać zgon Helgstroma. To obrzydliwe, ale nawet teraz nie wydawał mi się bliższym człowiekiem. Mimo kopiowania, taśma odtwarzała wszelkie szczegóły tak samo dobrze jak w pokoju Pallisona,

–... obróciłem się i to już się stało... – Helgstrom charczał wyraźnie tracąc oddech. – Zauważyłem, że Margaritt, Melza i Metody zataczają się jak pijane... – powietrze, ze świstem przechodziło mu między zębami. – Myślałem, że to jakaś reakcja powstrząsowa...

Kamera nie obejmowała całej twarzy. Zasłaniał ją blat stołu.

–Inne małpy chowały się po katach... potem nagle się zaczęło... – w tle nagrania słyhać było odgłosy szamotaniny i zwierzęce wrzaski.

Wyłączyłem taśmę. Wiedziałem co znajdę dalej. Pytanie Pallisona, coraz

beładniejsze odpowiedzi, majaczenia i tak aż do końca. Zapaliłem światło w kabinie i wyjąłem zabrany z góry odpis.

–Posłuchaj, coś ci przeczytam – zwróciłem się do Rischa. – Jest to opis dotyczący przyczyn zgonu małp w wiwarium.

Risch milczał. Widać było, że jeszcze nie rozumie o co mi chodzi.

–Zauważ, iż raport posługuje się imionami małp. Było to możliwe, gdyż posiadają one tabliczki na szyi. Czytałem: w wiwarium znajdowało się sześć osobników... tak... trzy z nich: Margaritt, Metody i Melza zdechły w wyniku ekspansji wirusa, u trzech następnych: Olgi, Olstera i Ora zgon był kwestią minut, ale został przyspieszony przez użycie gazu kselonowego, świadczą o tym ślady w płucach, wybroczyny... i tak dalej. Rozumiesz?

Risch myślał jak diabli.

–Może nie wiesz, lecz w laboratoriach jest taki zwyczaj, że małpy z kolejnych transportów nazywa się imionami na tę samą literę alfabetu. Ułatwia to potem orientację. Ze słów Helgstroma i raportu wynika, że tylko u małp na literę „M” nastąpiła mutacja. Małpy na literę „O” uległy już wtórnemu zakażeniu. One to przecież miały w komórkach Ciałka Boriewa.

Mówiłem szybko, jakbym się bał, że mogę zapomnieć.

–Pallison mi mówił, że małpy były szczepione w dwóch grupach, w odstępie trzydniowym. Wniosek jest jeden. W ciągu tych trzech dni laboratorium, bądź sama sekcja zostały poddane jakiemuś wpływowi, który uczynił wirus Elfemii gotowym na mutację. Szturchnąłem go palcem.

–Rozumiesz! Ten cholerny środek mógł być tylko katalizatorem, mutacja mogła nastąpić wcześniej.

Risch nigdy nie wydawał mi się tak rześki jak wtedy, po moich słowach. Zerwał się z fotela.

–Poczekaj tu. Muszę sprawdzić jedna rzecz – powiedział i wyszedł.

Zagłębiłem się w fotel i jeszcze raz prześledziłem moje rozumowanie.

Risch wrócił wściekły jak diabli.

–Miałeś rację. Ci głupcy nic mi nie powiedzieli – klapnął na fotel. – Wyobraź sobie, że spytałem oficera z nadzoru, jakie były warunki fizyczne w dniach 12-15 kwietnia, bo jak sprawdziłem, te dni miałeś na myśli.

Potwierdziłem.

–Ten dureń zaczął coś oględnie mówić, że wszystko było w normie, ale wyczułem, że kręci i jak wsiałem na niego z mordą, to skierował mnie do Kowersa. Ten niechętnie wyjaśnił o co chodzi. Wyobraź sobie, że ni mniej ni więcej, ale około stu pięćdziesięciu kilometrów stąd, dwunastego kwietnia miał miejsce nieudany podziemny wybuch jądrowy. Żeby było beznadziejniej, sama sprawa nie była zbyt czysta. Ktoś tam komuś podpłacił i w efekcie niejaki koncern „Oilex” dostał zgodę na detonowanie dwóch ładunków. Chcieli w ten sposób zwiększyć filtrowność skał.

Uderzył pięścią w otwartą dłoń.

–Wybuch okazał się dwudziestokrotnie silniejszy niż oczekiwano. Kowers twierdzi, że trudno ustalić przyczynę z powodu olbrzymich zniszczeń, podobno wszyscy tam zginęli. Najprawdopodobniej pod ziemią znajdowały się złoża pierwiastków naduranowych i bomba atomowa zadziałała jak zapalnik; ale to zmartwienie dla geologów.

–Jak można zatuszowywać taką sprawę?! – nie wytrzymałem.

–Zgadza się. Kowers chyba jest idiotą, bo powiedział mi, iż nie sądził, aby wzmożone promieniowanie jonizujące, jakiemu było poddane laboratorium kilka tygodni wcześniej, miało znaczenie. Przecież to było ponad pięć jednostek Galia.

–Rany boskie, aż dziw, że personel się nie rozchorował, ani ci żołnierze.

–Łamigłówa rozwiązana – Risch aż kipiał. – Należą ci się wielkie brawa, że nie dałeś się zamęcić.

Puściłem to mimo uszu.

–Więc tak, dwunastego szczepiona jest seria na „M”, tego samego dnia, pod wpływem promieniowania wirus ulega mutacji i najprawdopodobniej przechodzi do postaci utajonej, druga seria małą szczepiona piętnastego ma zwyczajną Elfemię. Potem Helgstrom dawkuje środek, pobudza on zmutowany wirus i lawina toczy się.

Zamilkłem, gdyż przyszła mi do głowy pewna myśl. Sprawiała, iż poczułem się tak jakby ktoś mi położył na karku lodowatą dłoń.

–Trzeba się dowiedzieć, jaki zasięg miało promieniowanie i czy przypadkiem nie objęło jeszcze kogoś chorego na Elfemię.

Risch zrozumiał. Ujrzałem to w jego oczach.

–O zasięg się pytałem, nie wyszedł poza nasz kraj. Chyba nie wyobrażasz sobie, że

w naszym klimacie ktokolwiek mógłby chorować na klasyczną dla tropików chorobę.

Mówił za dużo. Znaczyło to, że próbuje przekonać samego siebie.

–Przecież nigdzie indziej nie prowadzi się badań nad Elfemią, sprawdzałem to.

–A sprawdziłeś w raportach medycznych, czy przypadkiem nie przywłókł ktoś tej choroby z zagranicy?

–Nie, ale przecież od tylu lat...

Nie dokończył. Wiedziałem, że tak zrobi. Może tylko sądziłem, że wyjdzie normalnie, ale on po prostu wybiegł. Przyjrzałem się odbiciu w szkle monitora i zacząłem obgryzać paznokcie.

Po ponad pół godzinie czekania poszedłem na górę. Znalazłem go siedzącego w swoim gabinecie ze świeżym teleksem w ręku. Uczynił ruch jakby chciał mi go podać, ale ręka opadła na blat...

–Miałeś rację – powiedział cicho. – Zanotowano jeden przypadek Elfemii. Jedenastego kwietnia, na campingu w Nel Grando. Po tygodniowej kwarantannie, kiedy objawy ustąpiły, uznano orzeczenie za pomyłkę i zwolniono wszystkich do domu. Na tym campingu było sto piętnaście osób.

Usiadłem w fotelu.

VII

Kiedy Risch odłożył raport, Kowers, szef sztabu na okręg północny, jeden z trzech wiceministrów broni, chyba po raz pierwszy w swojej karierze był blady.

–Panie generale – zwrócił się do niego Keler – domyśla się pan co prezydent powiedział po zapoznaniu się z tym raportem.

Kowers opuścił głowę.

–To mój zastępca, generał Sleyton podpisał zgodę na detonowanie ładunków.

–Pana były zastępca – odparł oschle Keler. Kowers najwyraźniej potrzebował kogoś, kogo mógłby trzasnąć w gębę.

–Tak – wydusił. – Po otrzymaniu telefonu z kancelarii prezydenckiej, udzieliłem mu natychmiastowej dymisji. Wiem, że będzie miał o to pretensje cały sztab.

–To mnie nie interesuje. Prezydent pamiętał, że oddał pan dla kraju nieocenione usługi i tylko dlatego zgodził się nie zauważyć, iż faktycznie akceptował pan nieobliczalne posunięcia generała Sleytona.

Kowers milczał.

–Ładunki nuklearne to nie marchewka, którą można handlować. Jak poza tym można było nie przeprowadzić dokładnych badań geologicznych, opierając się na tendencyjnych raportach koncernu „Oilex”? Prezydent życzy sobie również, aby pan osobiście wyjaśnił metody, jakimi generał Sleyton starał się ukryć całą sprawę – spojrział wyczekująco.

–Zapewnię pana prezydenta, iż sprawę wyjaśnię do końca.

–Mam nadzieję – odwrócił głowę. – Proszę panie profesora o przedstawienie sytuacji w Nel Grando. Risch objął wzrokiem pozostałych mężczyzn.

–W dniu jedenastego kwietnia na campingu w Nel Grando zachorował człowiek o nazwisku Roland Cobb, będący pracownikiem centrali handlu zagranicznego. Tuż przed chorobą wrócił on z jednego z państw środkowoafrykańskich, gdzie został wysłany w misji handlowej. Zaraz po powrocie wziął miesięczny urlop i przyjechał bezpośrednio do Nel Grando. Lekarz, który go badał, stwierdził jako przyczynę choroby wirusowe zakażenie Elfemią. Temu człowiekowi, jego zdecydowaniu, możemy dziękować, że nie doszło do większej tragedii. Przekonał on komendanta tamtejszej policji o konieczności zamknięcia campingu i niewypuszczania nikogo do czasu przyjazdu komisji lekarskiej. Na czwarty dzień przybyła ona z Maxo i

stwierdziła, że żadna z osób nie przejawia objawów Elfemii. Chorobę Rolanda Cobba uznano za nietypową gripę. Nasz lekarz musiał nasłuchać się z pewnością wielu nieprzyjemnych słów. Naturalnie kwarantanna została zniesiona.

Odłożył kartkę i wziął do ręki zapiski.

–Teraz pozwolą panowie, że przedstawię interpretację zgodnie z obecnym stanem naszej wiedzy. Jedenastego kwietnia u Rolanda Cobba wystąpiły pierwsze objawy Elfemii. Jako że okres zakaźny dla tej choroby zaczyna się również w tym czasie, możemy być pewni, że jedynymi osobami, które Cobb mógł zakazić, byli ludzie z campingu i służba lekarska w Nel Grando. Następnego dnia w wyniku promieniowania wirus uległ najprawdopodobniej mutacji i wszyscy zakażeni, łącznie z Cobbem, przestali odczuwać jego skutki. Mutant przeszedł w stan ukryty. Zaznaczam, nie mamy pewności, że to się stało, ale wiele na to wskazuje.

Steve Keler, sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego, zawsze z krystaliczną precyzją zadawał najkonkretniejsze pytania.

–Przyjmijmy to. Co i w jaki sposób może spowodować aktywizację choroby?

–Z tego co wiemy, zaszczepienie roztworu Heliozy daje stuprocentową pewność. Ale jest możliwe, że wystarczy sam kontakt węchowy.

–Czyli powąchanie tego kwiatu może wywołać reakcję?

–Nie możemy tego wykluczyć,

–Rozumiem – chwilę milczał. – Mogę teraz panom przekazać resztę informacji. Niestety, są one złe.

Ciężkie powieki Kowersa uniosły się w górę. Już obydwaj z Rischem czekali na słowa tego człowieka.

–Jak mi doniesiono przed samą konferencją, w domu ogrodnika, który wyhodował Heliozę miała miejsce kradzież. Według zeznań właściciela, jakie złożył wtedy policji, ukradziono mu dwie paczki po sto sztuk nasion każda. Dzisiaj w nocy próbowano kradzieży po raz drugi, tym razem sprawca został ujęty

Chwila ciszy, gdy oswajali się z tą wiadomością.

–Panie sekretarzu, to niemożliwe, aby sprawca wiedział jakie potencjalne niebezpieczeństwo kryje w sobie ta roślina. Albo jest to przypadek, albo ingerencja konkurencji.

–Zgadzam się z panem, profesorze. Dlatego poleciłem majorowi Zoltke, jednemu z

najinteligentniejszych ludzi mego departamentu, aby za wszelką cenę wyjaśnił wszystkie okoliczności. Rekapitulując, w całej sprawie są dwa nurty. Pierwszy to ludzie z campingu, którzy w tej chwili mogą nosić uśpioną chorobę, a drugi to Helioza. Za wszelką cenę nie możemy dopuścić do ich połączenia się. Gdy tak się stanie, nie opanujemy sytuacji.

Risch uśmiechnął się blado.

–My będziemy robić wszystko, aby znaleźć antidotum.

Chyba każdemu zabrakło pewności w jego słowach.

VIII

Pokój był czarno-biały. Gdyby miano tu kręcić film kolorowy, byłoby to czystym marnotrawstwem taśmy. Teraz może by było z równym powodzeniem ograniczyć się do filmu niemego. Siedzący po jednej stronie biurka major Zoltke sennie palił papierosa. Na krześle po drugiej stronie tkwił mały przykurcz o twarzy recydywisty i uśmiechał się z wyższością. Pilnujący drzwi dwaj policjanci byli kamiennie obojętni. Zoltke zgasił papierosa, tak aby aresztant widział, że została ponad połowa. Przełknięcie śliny było jedynym dowodem na to, że lubi palić.

–Więc twierdzisz, że włamałeś się do szklarni Froma po raz pierwszy tej nocy?

–Nie włamałem, ale wszedłem. Chciałem przenocować.

–Jasne! Masz tak rozwinięty instynkt, że przeszedłeś przez płot dokładnie w tym samym miejscu co włamywacz sprzed tygodnia, tak samo jak on zarzuciłeś na mur koc, aby się nie pociąć i dokładnie wiedziałeś, które kraty są podpiłowane.

Facet wzruszył ramionami i ze spokojem patrzył, jak Zoltke rusza ku niemu.

–Ty głupi, śmierdzący knocie, jeśli myślisz, że mi zależy na tym, abys siedział, to się mylisz – mówił jakby od niechcienia. – Chcę tylko się upewnić czy to ty przed tygodniem ukradłeś nasiona ze szklarni, a jeśli tak, to dla kogo?

–Powiedz mi to, rozumiesz?! – syknął Zoltke facetowi w samą twarz. – Powiesz mi kto cię przysłał. Ja to po prostu muszę wiedzieć.

Tamten zaczynał się bać, ale szedł na zaparte.

–Proszę tu podejść – zwrócił się Zoltke do siedzących przy drzwiach. Podeszli.

–Podwińcie mu lewy rękaw i mocno trzymajcie.

Zrobili co kazał i ze zdumieniem patrzyli na jego czynności. Prowincjonalny posterunek w

Karlbone nie był przyzwyczajony do takich metod. Facet zresztą też. Zaczął się już denerwować, gdy Zoltke wyjął z torby strzykawkę i parę ampulek.

–Mam prawo do adwokata – coś sobie przypomniał.

–Nie żartuj – odparł major i ostentacyjnie powoli nappełnił strzykawkę.

–Mam nadzieję, że nie dostaniesz zakażenia – dodał wbijając igłę w przedramię. Mimo iż facet wygiął się w uścisku policjantów, trafiła go prosto w żyłę.

–Będziesz za to siedzieć – czekał facet. – I tak wam nic nie powiem.

–Chłoptysiu – Zoltke ujął go pod brodę. – Jeśli myślisz, że był to środek na mówienie prawdy, to grubo się mylisz,

Ręką odesłał policjantów na miejsce. Facet siedział sztywno jakby połknął kij i z niepokojem wsłuchiwał się w organizm.

–Jest to pewien specyfik, który sprawi, że za chwilę dostaniesz zawału serca. Naturalnie nie prawdziwego, ale zapewniam cię, że będziesz się czuł, jakbyś miał ich dwanaście naraz. Czyżby? – spytał dobrodusznie, gdyż tamten ze skurczem bólu na twarzy chwycił się za serce.

–Będzie cię to boleć tak długo, jak ja zechcę. A jeśli uważasz, że przetrzymasz każdy ból, to zapewniam cię, że po paru godzinach tak sobie rozpierdolisz serce, że długo nie pociągniesz. Rozumiesz?

Facet krzyknął przeraźliwie i spadł na podłogę. Cierpiał,, gdyż nogi rytmicznie waliły o biurko. Zoltke spokojnie napełniał w tym czasie strzykawkę zawartością drugiej ampułki. Jeden z policjantów, chyba bardziej nerwowy, wyszedł z pokoju. Zoltke nachylił się nad leżącym.

–Słyszysz mnie, prawda?

Naprężona szyja nieomal że tryskała krwią, a palce jakby chciały wyrwać źródło bólu z piersi. Charczał i skomlał jednocześnie.

–Jeśli mi powiesz teraz wszystko, to dam ci środek – podsunął mu strzykawkę przed oczy. – Zaraz ci przejdzie.

Głowa faceta podskakiwała nierytmicznie, jakby podrzucana na niewidocznych wybojach.

–Zrozum – Zoltke zbliżył usta do ucha leżącego. – Ja muszę się tego dowiedzieć. Jeśli mi nie powiesz, to będziesz kaleką do końca życia. Będziesz już do niczego. No... powiedz czy to ty włamałeś się tydzień temu?

Ślina tocząca się z ust przeszkadzała tamtemu w mówieniu.

–Tak... – powiedział wraz z wielkim bąblem plwociny.

–Dobrze – łagodnie odpowiedział Zoltke. – A teraz gadaj kto cię wysłał. Zaraz ci wstrzyknę odtrutkę.

–Firma „Kipso”, wicedyrektor Zayfel, chcieli sami hodować ten kwiat – dyszał. – Oni

siedzą w kosmetykach.

Zoltke skinął głową.

–Po co włamałeś się po raz drugi? Twarz miał idealnie siną i grubymi na palec żyłami.

–Chcieli więcej nasion... miałem przywieźć im dwie paczki... jedną zgubiłem na lotnisku.

–Zgubiłeś? Na pewno?

–Jezu! Przecież bym nie kłamał, wszystko ci mówię. Daj zastrzyk ty pieprzony kapusiu! – wyglądało na to, że traci oddech.

Po zastrzyku prawie momentalnie jego ciało rozluźniło się i opadło na podłogę. Dało się wyczuć w powietrzu ostry zapach potu. Zoltke stał przy oknie, kiedy do pokoju wrócił policjant z komendantem posterunku.

–Panie majorze! Niech pan nie stosuje takich metod u mnie. Tak nie wolno.

Patrzył to na Zoltkego, to na leżącego człowieka.

–Jakie metody panie komendancie? Już po wszystkim. Przesłuchanie skończone. Można go zabrać do celi. Pana zmartwieniem niech będzie pilnowanie, a nie ocena mojej działalności. Dobrze?

Leżący ciężko oddychał przez usta. Komendant spojrzał na niego, na leżącą na stole strzykawkę i pokiwał głową.

–Rozumiem. Niech pan się nie martwi, będziemy go pilnować.

Przed wyjściem majora podali sobie ręce.

Wyspa Ormoz znajduje się dwanaście kilometrów od lądu stałego i już na pierwszy rzut oka nie można się spodziewać po niej zbyt wiele. Wysokie grzywacze biją tu zaciekle o skały prawie przez cały rok, a czarny i skalisty brzeg nie pokryty żadną roślinnością, powinien zniechęcić każdego nowo przybyłego. Tylko ktoś o dobrym wzroku i wyjątkowym szczęściu do pogody, może dojrzeć stąd ląd, jeśli wybierze się na brzeg, nie bojąc się wiatru, czy często padających deszczy. Jedyne osłonięte miejsce jest płytką zatoczką, gdzie po bokach na błocie leży zawsze gęsta piana. Wiedzie tutaj umocniony przez beton kilkunastometrowy kanał. W basenie zatoczki mogą się pomieścić dwa, może trzy kutry motorowe. Na samą połączyć wyspy trzeba się wdrapać ścieżką, biegnącą wydmuchanym przez wiatr żlebem, wciętym w stromy brzeg wyspy. Tam zaś znajdują się budynki postawione prawie sto lat temu przez nie

istniejący już zakon Molezów, który jak się okazało, bardziej interesował się przemysłem niż medytacjami. Wszystkie ich dobra, jak i samą wyspę przejął przed kilkunastu laty Departament Bezpieczeństwa Narodowego i używał w wiadomym tylko sobie celu. Główny gmach zakończony był wysokim na parę metrów masztem telewizyjnym, oplecionym pajęczyną dodatkowych anten.

Taki mniej więcej widok ukazał się moim oczom, kiedy przywieziono mnie tutaj helikopterem, abym mógł zgodnie z życzeniem Rischa zająć się ludźmi podejrzanymi o chorobę, których postanowiono ściągnąć z całego kraju. W pierwszej chwili wahałem się nad decyzją, ale wieść, że wernisaż Marii był wielką plajtą i świadomość, że szuka ona teraz pocieszenia, stanowiły dla mnie ostateczny argument. Zdołem się tylko na jedną rozmowę telefoniczną i sądzę, że stanowiąc ona będzie dla niej wystarczający pretekst, aby znaleźć sobie nowego adoratora.

Osobą, która rządziła na wyspie był komendant Fligerty, człowiek wyraźnie lubujący się w porządku i mający tendencję do zamordyzmu. Podejrzałem go o to, że śpi z regulaminem pod poduszką. Już pierwszego dnia po przylocie przyszło mi przeprowadzić pierwszą z nim rozmowę.

–Panie Fligerty, proszę powiedzieć, ile osób może pomieścić ten budynek, przy zapewnieniu znośnych warunków?

Komendant myślał dobre kilkanaście sekund zanim się odezwał.

–Z pewnością trzysta osób tu się zmieści.

–Pańska załoga i personel medyczny liczą w sumie nie więcej niż czterdzieści osób. Skinął głową.

–Pan inspektor Risch przekazał mi listę osób, które mają być przywiezione tutaj na kwarantannę. Jest ich sto osiemnaście. Do tej pory przybyło osiemdziesiąt sześć. Prawda?

Mówiłem tak ładnie, że nie sądziłem, iż wyczerpię jego cierpliwość. Był jednak człowiekiem konkretnym.

–W porządku. Sądzę, że wiem o co chodzi. Chce się pan spytać, dlaczego w jednym z pawilonów trzymamy ponad dwadzieścia osób, nie pozwalając wychodzić im na zewnątrz.

–Zgadza się.

–Niech pan posłucha. Moim osobistym przełożonym jest sekretarz Keler i jego decyzje muszę wykonywać. Osoby, o których mówimy, przy próbie dostarczenia ich tutaj, stawiały opór i nie chciały zgodzić się na izolację. Nie znam szczegółów, ale

wiem, że ich obecność u nas jest konieczna. Mam rację?

Potaknąłem, czując niesmak do całej tej sprawy.

–Dlatego kazano mi trzymać ich w zamknięciu. Poza tym opiekują się nimi lekarze.

–Opiekują?! – wydałem wargi. – Przecież oni trzymają ich na środkach oszalamiających. Równie dobrze mogliby ich związać.

Fligerty głośno wytarł nos i uśmiechając się do siebie, schował chusteczkę.

–Panie profesorze, powiedzmy sobie szczerze, przysłano pana tutaj nie do opieki nad pacjentami, ale do robienia jakichś tam badań. Niech pan to robi, a resztę zostawi nam, bo my jesteśmy odpowiedzialni za tych ludzi.

Pożegnałem się oschle i wyszedłem na korytarz. Nowo przybyłych łatwo dawało się rozróżnić po niepewnych minach i zagubionym spojrzeniu. Oficjalnie powiedziano im, że choroba, na którą zapadł Cobb na campingu przed dwoma miesiącami, była rzadko spotykaną odmianą, tu wymieniano łacińsko brzmiącą nazwę, i ze względu na to, że okres inkubacyjny może przeciągnąć się do pół roku, taki czas muszą zostać pod opieką lekarską. Żadne wizyty ani kontakty telefoniczne nie wchodziły w rachubę. Zgodzono się jedynie na listy. Zapewniono ich, że nie będą mieli najmniejszych kłopotów z pracą, gdyż opiekę nad nimi miał przejąć minister tego resortu. Również przydzielono człowieka, który miał dbać o ich interesy bankowe i urzędowe. Tego, że wszystkie pisma i listy były starannie cenzurowane, nie mówiąc o tych, które przychodziły z zewnątrz, już nikt nie musiał wiedzieć. Co bardziej ciekawskich straszono przepisami zdrowia, mamiono obficie zaopatrzoną biblioteką bądź salą gier. Tych najbardziej zadziornych i dociekliwych odizolowywano od ogółu i umieszczano w bocznym pawilonie, gdzie całymi dniami leżeli naszpikowani środkami psychotropowymi. Ale nie zdarzało to się zbyt często. Chociażby dlatego, że wszystkich ludzi już zawczasu podzielono na cztery grupy nie mające praktycznie kontaktu z sobą.

Ja mogłem się poruszać po całym terenie, ale sugerowano mi niedwuznacznie, że moje miejsce jest w pracowni. Tam też i większość czasu spędzałem. Mając do pomocy asystenta i dwóch analityków, sporządzałem zestawy i próbowałem jeszcze coś wyssać z materiałów zebranych w laboratorium. Ono samo już nie istniało. Podobno poza niewielkim uszkodzeniem pobliskiej bazy, wybuch przebiegł bez zarzutu. Niestety, wszelkie analizy porównawcze, dodatkowe odczyty nie przynosiły nic nowego. Naturalnie, wiedziałem coraz więcej o budowie mutanta, o zmianach chorobowych, ale nie mogłem wpaść na trop jakiegokolwiek przeciwśrodku. Swoją drogą, od momentu, kiedy uznano, że nie będzie się przeprowadzać doświadczeń na aktywnym wirusie domyślałem się bezowocności dalszych działań. Ale sam przyznawałem, że ryzyko było zbyt wielkie.

Zostały mi jeszcze badania pacjentów. Pobierałem im krew i wycinki tkanki, ale zgodnie z oczekiwaniami wirus nie ujawnił się. Nie było to rzeczą zaskakującą, jako że miał się znajdować w stanie latacyjnym.

Najbardziej byłem ciekaw wyników u Rolanda Cobba, który z całą pewnością był zarażony i wedle wszelkich znaków na niebie i Ziemi powinien być nosicielem mutanta. Przez trzy dni męczyłem go na wszelkie możliwe sposoby i nic. Gdybym nie znał sytuacji, mógłbym mu przypiąć tabliczkę z napisem „okaz zdrowia”. Ale trzeba przyznać, że ten człowiek zainteresował mnie również z innych powodów.

Krępy, lekko siwiejący na skroniach, nosił grube okulary. W chwilach zdenerwowania jego twarz przypuszczalnie nabierała żywych kolorów. Mówię przypuszczalnie, gdyż nigdy nie zdarzyło mi się go widzieć zdenerwowanym. Zawsze spokojny, sumiennie zgadzał się na wszystko, co z nim wyrabiałem. Ostatniego dnia badań, kiedy wiedziałem już, że jego osoba nie przyniesie nic nowego medycynie, popatrzył na mnie znad opuszczonych okularów i najspokojniej w świecie powiedział:

–Jestem pewien, że nie powiedzieliście nam wszystkiego o całej sprawie.

Gdyby był w tej chwili w pokoju ktoś poza nami, musiałbym wystąpić z całą serią okrzyków oburzenia i zdziwienia, ale w tej sytuacji mogłem milczeć. Patrzył na mnie, a potem pokiwał głową.

–Rozumiem, dyskrecja przede wszystkim. Pan jest w porządku, ale ludzie Fligerty'ego nie podobają mi się.

–To są lekarze służb wewnętrznych, mają wysokie kwalifikacje.

–Medyczne może, nie znam się na tym, ale moralności w nich nie ma za grosz.

–Dlaczego pan tak sądzi?

–Przecież to się rzuca w oczy. Ich największym zmartwieniem jest to, aby nikt stąd nie uciekł. Poza tym, domyślam się na czym polega ten rozstrój psychiczny, któremu tak nagle ulega część z nas.

–Na Boga – pomyślałem. – On mówi o tych z pawilonu.

–Dlatego też siedzę cicho i nawet nie chcę wiedzieć, co tu jest grane. Nie chcę wiedzieć w każdym razie do chwili, gdy nie wymyślę jak stąd można uciec. Gdy już będę wiedzieć, wtedy się zastanowię. To mi polepszy punkt widzenia.

–Dlaczego pan mi to wszystko mówi?

–Dlaczego? – rozszerzyły mu się oczy. – Jedziemy na tym samym wózku. Pan

przecież pracuje na uniwersytecie.

Skinąłem głową.

–Tacy ludzie nie mieszają się do podobnych spraw, chyba że przypadek ich zmusi. Wstał, widząc moje zaskoczenie.

–Umiem dużo wypić, a gadane też mam, dlatego ochrona pozwala mi na trochę więcej niż innym. Może wymyślę jak można opuścić ten uroczy zakątek.

Był już u drzwi, kiedy zawołałem za nim.

–Proszę się nie martwić!

–O co?

–To, co pan mówił wstanie między nami.

–Sądzi pan, że gdybym tego nie wiedział, mówiłbym cokolwiek?

Zostawił mnie z chaosem w głowie. Przypomniał mi też, że od czasu, gdy przestałem widywać Rischę straciłem rozeznanie, co się dzieje na zewnątrz. Jak to Risch powiedział?

–Pamiętaj, tutaj pilnujemy tylko jednej sprawy. Jest jeszcze druga, z tą może być o wiele gorzej.

Przez kratownicę pól, w stronę jedynej ocalałej kępy drzew, jechały transportery wojskowe i gazik. W nim to na rozkraczonych nogach, trzymając się rękoma ramy, jechał generał Kowers. Wręcz czuł w ustach smak goryczy, tej, którą były zaprawione jego myśli.

–Dlaczego akurat mnie musiało to spotkać? – przeżuwał z wściekłością. – Zawsze takie sprawy załatwiano się po cichu, a tu taki cholerny zbieg okoliczności.

Wiedział, że musi teraz uważać na każdy swój krok, gdyż nawet najmniejsze potknięcie może definitywnie pogrzebać jego dalszą karierę. Poczucie bezradności utrzymywało się z każdym przejechanym metrem. Bezmyślnie patrzył na mur otaczający posiadłość Eskina Froma, człowieka, który wyhodował Heliozę. Przez niskie zarośla można było dostrzec błyski dachów szklarni ustawionych równymi rzędami, prostopadle do drogi. Jeszcze parędziesiąt metrów i zatrzymali się przed zamkniętą bramą. Chłopcy najwyraźniej wzięli sobie do serca jego słowa o zdecydowanym zachowaniu, gdyż już dwóch przeskoczyło bramę. Dwa cięcia i droga stała otworem. Niszcząc gazon przed wejściem, zatrzymali się przy ścianie niewielkiego, ale pamiętającego z pewnością ubiegły wiek dworku. Przez duże drzwi wyszedł na ganek

Eskin From.

Był chudym i drobnym człowieczkiem, około pięćdziesiątki, zadbanym, eleganckim i obrzydliwie cynicznym. Wystarczyło raz zobaczyć jego twarz, aby zrozumieć, że poglądy i czyny tego człowieka zależą wyłącznie od ich opłacalności. Wąskie, bezkrwiste wargi potrafiły się uśmiechać do wszystkiego, co mogło przynieść pieniądze. Teraz ich jeszcze nie czuł i dlatego, mimo wczesnej pory, stał na stopniach z gładko ulizanymi na tył włosami i naciągniętym na twarz grymasem oburzenia.

–Czy mogę wiedzieć, jakim prawem wjechali panowie na mój teren i zniszczyli mi kwiaty?

Z gazika stojącego akurat pośrodku połamanych tulipanów, wysiadł Kowers, Jego leniwe i pozornie nieruchome oczy wycelowały w twarz Froma.

–Pan jest właścicielem? – spytał, jakby mogły być co do tego wątpliwości.

–A... – From aż się jękał – pan myślał, że kim?

Kowers sapnął.

–Wolę nie mówić, gdyż nie chcę mieć sprawy o zniesławienie.

From wybałuszył oczy.

–Jak pan powiedział? Kowers machnął ręką.

–Uspokój się pan, dobrze?

Wyskakujący z wozów żołnierze w biegu otoczyli półkolem rozmawiających mężczyzn. Trzeba przyznać, że From dostrzegł to i już nie powiedział paru wyrazów, które przyszły mu na myśl.

–Jestem generał Kowers, wiceminister broni – przedstawił się jego antagonistą. – Powiem krótko, bo nie mamy czasu. Dzisiaj nad ranem przelatujący nad tą posiadłością samolot, w wyniku awarii komory zrzutowej, zgubił kilka pojemników, z – nazwijmy to – czynnymi biologicznie substancjami. Jest sprawą najwyższej konieczności, aby nastąpiło ich jak najszybsze unieszkodliwienie. W każdej chwili może nastąpić skażenie gleby i powietrza. Skutki będą nieobliczalne.

From zawinął poły szlafroka i usiadł na stopniu.

–Ale ja mam pecha – jęczał. – Najpierw włamanie, teraz wy. Szybko znajdźcie te pojemniki, żeby mi tylko terenu nie zniszczyły.

–My musimy je natychmiast zniszczyć, panie From.

–A kto zapłaci za szkody?

–Pan mnie nie zrozumiał. My nie mamy czasu na ich szukanie. Dla pewności spalimy całą pańską posiadłość, łącznie z domem i to w ciągu najbliższych godzin.

From uniósł głowę ku górze tak powoli, jakby miał tam kilkukilogramowy odważnik.

–Czy pan zwariował?! Cały mój dobytek, ja tu mieszkam od trzydziestu lat... cały mój dobytek – głos rwał mu się z przejęcia.

Twarz Kowersa nie wyrażała ani zdumienia, ani przestachu z tej prostej przyczyny, że nie wyrażała żadnych uczuć.

–Ma pan piętnaście minut na zebranie dokumentów, pieniędzy, biżuterii, czy diabli wiedzą czego jeszcze. Naturalnie to wszystko będzie poddane profilaktycznemu odkażeniu. Ile osób znajduje się w tym domu poza panem?

Hodowca był tak oszołomiony, że zanim zaczął ponownie wrzeszczeć, odpowiedział:

–Moja narzeczona, pomocnik i trzy osoby służby. Czyście...

Kowers po prostu zamknął mu usta dłonią. From coś bulgotał, lecz wielka mięsista łapa dusiła słowa.

–Niech pan wysłucha do końca. Sprawdziliśmy wartość całej pańskiej nieruchomości i urząd podatkowy podał wartość sześciuset tysięcy. Zakładając, że jak każdy uczciwy podatnik, zaniżył pan oszacowanie, czynniki odpowiedzialne za zgubienie pojemników zgodziły się wypłacić odszkodowanie na półtora miliona.

Uwolnił usta Froma.

–Jakie mam gwarancje?

–Moje słowo – warknął Kowers – A także świadomość, że dyskutuję z tobą, kiedy w każdej chwili może nas szlag trafić.

Odwrócił głowę.

–Niech pan, kapitanie, weźmie sześciu ludzi i pomoże temu człowiekowi zabrać rzeczy, tak samo zróbcie z resztą domowników.

–Wyście oszaleli, albo to ja zwariowałem – stękał From – człapiąc pod górę i tylko sprawne ucho wychwyciłoby subtelną zmianę w jego głosie, jaka nastąpiła od chwili, gdy padła suma półtora miliona.

Pół godziny później sześć osób w asyście żołnierzy odjechało wozem sanitarnym do punktu, gdzie miano się przekonać, czy przypadkiem w zabranych rzeczach nie znajdują się jakieś nasiona. Setka żołnierzy przeszukiwała teren posiadłości. Kowers nie chciał mieć na sumieniu czyjegoś życia.

Dwie godziny później pięć Kobr, przystosowanych do zrzucania ładunków powietrznych, przyleciało znad pól. Ułożyły się w koło i zawisły wysoko nad posiadłością Froma. Kiedy oddalony od nich o parę kilometrów Kowers uznał, że nadeszła pora, wysłał rozkaz rozpoczęcia akcji. Od helikopterów momentalnie oddzieliły się duże, podobne do cystern pojemniki. Z furkotem otworzyły się nad nimi czasy spadochronów. W miarę jak helikoptery na pełnej prędkości uciekały za widnokrąg, z pojemników począł się wydobywać gęsty aerozol zawiesiny. Tryskając pod dużym ciśnieniem pokrywała całą przestrzeń nad parkiem, opadając na drzewa, dom, szklarnie. Z daleka wyglądało to jakby ktoś zrzucił wielką górę waty cukrowej. Kiedy pojemniki opadły na wysokość kilkunastu metrów, rozpoczął się ostatni akord całego przedsięwzięcia. Z ustawionego w bezpiecznej odległości wozu pancernego trysnął cienką smugą promień lasera i pomknął ku chmurze zawiesiny. Igła energii wbiła się w mgłę, która w mgnieniu oka, bez żadnych płomieni, czy kłębow dymu, przybrała barwę przerażającej bieli.

W ogniu, dorównującym temperaturze żaru atomowego wyparowywały drzewa, dom, metal, ziemia i szkło. Gdyby ktoś spojrział w stronę tego piekła, mógłby nieodwracalnie uszkodzić wzrok. Z rykiem dobiegającego gromu snop bieli podniósł się w górę i zalewając blaskiem całą okolicę znikł w chmurach. Fala podmuchu przygniotła ich do ziemi. Kiedy podnieśli głowy, z chmur zaczynał opadać ciężkimi i tłustymi kroplami deszcz. Spadał na wielki szklisty placek, parując i z sykiem uciekając z powrotem ku niebu. Deszcz wiedział co robi. Był tu bezużyteczny. Na tym obszarze, stopionym na wiele centymetrów w głąb gruntu, już nic nie miało rosnąć. Plantacja Eskina Froma przestała istnieć.

IX

Jeśli wyjedzie się ze stolicy szosą oceaniczną, to około dwóch kilometrów za ostatnimi budynkami można zauważyć wysoki biały parkan, otaczający kompleks parterowych budynków. Gdyby komuś przyszło do głowy zatrzymać się przy nich, to niewątpliwie zwróciłby jego uwagę dziwny zapach snujący się po okolicy. Kiedy wciągnie się go do nosa, człowieka ogarnia zaskoczenie gdyż zbyt wiele źródeł mu się z nim kojarzy. Tutaj to właśnie ma swoją wytwórnię firma „Kipso”, mająca apetyt na zajęcie czołowego miejsca wśród wytwórców kosmetyków i perfum. Aby tego dopiąć, utrzymuje ona sześć plantacji dostarczających całkiem pokaźną ilość materiału do przeróbki. Dwie z nich były efektem udanej fuzji z mniejszym, ale szczyjącym się paroma rewelacjami zakładem. Naturalnie – słowo udana – odnosi się tylko do firmy „Kipso”. Jasne jest, że każda progresywna instytucja musi dysponować reprezentacyjnym lokalem mieszczącym biura i salony, gdzie można olśnić klienta i przeprowadzić z nim rozmowę w miłym otoczeniu. Warunki te spełnia czteropiętrowy budynek, leżący w luksusowej dzielnicy miasta stołecznego. Cały biały, ze świecącym nocami dyskretnym neonem, korzystnie prezentuje się na tle otaczających go banków.

Pewnego letniego dnia szklane drzwi przekroczył mężczyzna z czarną teczką i zwiniętym rulonem gazety giełdowej w ręce. Dziewczyna z informacji uśmiechnęła się serdeczniej niż to było jej obowiązkiem. Pracowała tu już od paru miesięcy, a poza mechanikiem z garażu jeszcze nikt nie zainteresował się nią poważniej. Ten zaś mężczyzna pasowałby w sam raz.

–Chciałbym znaleźć wicedyrektora Zayfela.

–Musi pan wjechać na drugie piętro – poprawiła pozornie niedbałym gestem włosy.
– To będzie pokój 213.

–Dziękuję bardzo – odparł i odwrócił się ku windzie.

Dziewczyna kwaśno uśmiechnęła się do jego pleców.

Mężczyzna szybko odnalazł odpowiedni pokój i zapukał.

–Proszę – odpowiedział kobiecy głos.

W środku, przy biurku, za pokaźnych rozmiarów maszyną do pisania, siedziała młoda i ładna kobieta.

–Czy zastałem pana Zayfela? Załamała ręce w rozpacz.

–Och... niestety pan dyrektor jest bardzo zajęty i obecnie nie dysponuje czasem.

Proszę podać swoje nazwisko...

–Momencik – przerwał jej mężczyzna. – Jestem major Zoltke z Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego. Proszę zanieść panu Zayfelowi tę kopertę. Sądzę, że to go przekona.

Już przy słowie „departament” dziewczyna zerwała się na równe nogi. Na stojąco była jeszcze piękniejsza, wysoka, proporcjonalnie zbudowana. Bez słowa popatrzyła na Zoltkego i uruchomiła interkom.

–Panie dyrektorze – zawołała głośno. – Musi pan natychmiast przyjąć jedną osobę.

W głośniku coś szemrało, słychać było kobiecy chichot i szuranie.

–Kto to jest? – warknęło.

–Major Zoltke z Departamentu Bezpieczeństwa.

–Aha – powiedział Zayfel i umilkł.

Minęło parę minut, w ciągu których Zoltke zdążył zapoznać się dokładnie z wystrojem sekretariatu. Przez uchylone drzwi wyszła z gabinetu chuda jak śledź wywłoka. zrobiła do niego oko i ignorując sekretarkę wyszła na korytarz. Zdążył jeszcze raz się przyjrzeć obrazom na ścianie, gdy sekretarka poprosiła go do środka.

Dyrektor Zayfel, gruby jak hipopotam, siedział rozlany w fotelu i miętosił papiery wyjęte z koperty. Oddychał przez usta, przewracając przy tym przekrwionymi oczyma. Policzki pulchne jak zjełczały bekon miały mniej więcej taką samą co i on barwę.

**–Nie rozumiem, dlaczego ten człowiek oskarża mnie w swoich zeznaniach – wydusił.
– Sądzę, że ktoś chce mnie skompromitować.**

Zoltke pogardliwie wyszczerzył zęby i zapalił Camela. Z papierosem w ustach studiował twarz Zayfela.

–Pracuję nad firmą od kilkunastu lat i nigdy nie zhańbiłem się jakąkolwiek nieprawością. Chyba sam pan nie wierzy, abym mógł się parać szpiegostwem przemysłowym, jak wy to nazywacie. Zapewniam pana, że nigdy nie widziałem tego człowieka na oczy i nie pozwolę, aby czyjaś prowokacja zrujnowała mi firmę. Zbyt wiele pracy w nią włożyłem.

–Tym więcej pan straci, jeśli nie powie pan prawdy.

Zayfel gwałtownie wstrzymany w swej elokwencji, nie mógł wydusić ani słowa i

ciężko dyszał. Zoltke zgasił na wpół wypalonego papierosa w popielniczce i powiedział:

–Mamy zeznania tego człowieka – co było prawdą – i posiadamy świadka, który zaręczy, że widział was razem – co już nie było prawdą.

Zayfel milczał.

–Niech pan zauważy, że jestem z departamentu, a nie policji. Zapewniam pana, że zrobię wszystko, aby odzyskać całą partię nasion dostarczonych tutaj. Jeżeli pan mi je odda, gotowi jesteśmy zapomnieć o całej sprawie.

Przechylił się do przodu.

–W przeciwnym razie zgnoimy całą tę firmę, a pana postawimy w stan oskarżenia o zdradę stanu. Ekipa specjalna tylko czeka na mój sygnał, aby przeszukać ten budynek, fabrykę, pański dom i parę innych miejsc. Przypadkiem o całej aferze dowiedzą się dziennikarze i z pewnością zepsują wam opinię, na którą pan tak ciężko pracował.

Zayfel nie był pewien czy zrozumiał.

–Panu chodzi tylko o te nasiona?

–Tak – potwierdził Zoltke tonem zmęczonej cierpliwości – z powodów, których nie muszę ujawniać, są one dla nas niezbędne – uniósł palec w górę. – Wszystkie. Wiemy ile było w jednym pudełku.

–Ależ – hipopotam rozplywał się. – To przecież nie jest dla nas tak ważne. Uniósł się i podszedł do okna.

–Powiedzmy, że rzeczywiście dostały się w moje ręce – bełkotał odsuwając kotary.

Zabawne było to, że zamiast okna, stała tam duża szafa pancerna. Zayfel niemal rozpląszczył się na niej, aby zasłonić wykręcany kod. Zoltke już po chwili trzymał w ręku tekturowe pudełko. Wyjął z teczki kuwetę i małą szufelkę. Nie zwracając większej uwagi na Zayfela, począł przeliczać nasiona. Były wielkości słonecznikowych pestek o brązowej i spękanej powierzchni.

–Zgadza się – powiedział Zoltke, gdy skończył. – To jest połowa, proszę mi teraz dać drugie pudełko.

Zayfel zamachał rękoma.

–To nieprawda! To jest wszystko.

–Nieprawda? Przecież w zeznaniach jest wyraźnie napisane, że za pierwszym razem dostarczono panu dwie paczki nasion.

–Ależ to kłamstwo! – skomlał z czerwonymi plamami na twarzy. – Ten człowiek miał przywieźć dwie paczki, ale jedną zgubił na lotnisku. Kretyn, dla ostrożności, jak sam to nazwał, trzymał jeden pakunek w kieszeni marynarki, a drugi w plastikowej torbie. Poszedł się napić do baru i zapomniał ją zabrać. Gdy wrócił po paru minutach, torby nie było na półce.

–Ja mam w to wierzyć? – Zoltke spytał sceptycznie.

–Ależ tak było. Gdybym wiedział jakiemu patałachowi płacę, to nigdy bym go nie zatrudniał. Przecież dlatego kazałem mu iść tam po raz drugi. Myśli pan, że trzymałbym nasiona w szafie, gdyby ich ilość była wystarczająca?

Zoltke ostrożnie uniósł telefon z biurka i położył go sobie na kolanach.

–Ja w ogóle mało myślę panie Zayfel – odparł unosząc słuchawkę. – Wolę działać, gdyż widzę, że z panem dogadać się nie można.

Zayfel krzyknął i potykając się dopadł jego ręki.

–Niech pan nie robi rewizji! To nie ma sensu – krzyczał opryskując śliną Zoltkego. – Ja naprawdę nie kłamię, proszę mi wierzyć.

Major strząsnął go z ręki i chustką przetarł twarz.

–W porządku, chciałem się tylko upewnić. Hipopotam sapnął i z ręką na sercu doczłapał do fotela.

–Panie majorze – stękał – proszę mi wierzyć.

Zoltke starannie zebrał rozrzucone fotokopie i położył na trzęsącym się brzuchu Zayfela.

Gdy przechodził przez sekretariat odwrócić głowę ku dziewczynie.

–Niech pani da mu coś na serce, chyba się zdenerwował.

Sekretarka odprowadziła go spojrzeniem do drzwi.

X

Z każdym dniem pobytu na wyspie moja samotność pogłębiała się, wyzerając wszelkie chęci i siły do pracy. Brak jakiegokolwiek informacji od Marii świadczył, iż próba rozstania się z nią udała się i to aż za dobrze. Kto wie, może gdyby było inaczej, poprosiłbym Rischa o zwolnienie z tutejszych zajęć. Już od dawna wiedziałem, że osiągnąłem maksymalny pułap wiedzy przy, dostępnym mi materiale. Jedyne wybuch epidemii mógł zmienić stan rzeczy. Swoiste było to, iż już dawno przestałem się obawiać tej możliwości. Nie wiedząc co począć, byłem bliski stanu, kiedy człowiek jest przekonany, że to wszystko co robi i co go otacza, jest bez sensu. Zmiana w mojej degrengoladzie moralnej nastąpiła w parę dni po ściągnięciu na wyspę wszystkich osób, które przebywały na campingu w Nel Grando.

Wyszedłem po południu na spacer poza obręb budynków i mimo zacinającego deszczu wytrzymałem tam ponad godzinę. Ogłuszony szumem fal, zmarznięty, w przemoczonym ubraniu wróciłem do środka z zamiarem wykonania natychmiastowej kąpieli w gorącej wodzie z dodatkiem szklaneczki whisky. Dlatego w pierwszej chwili nie zrozumiałem sceny, jaka rozegrała się na korytarzu przed jednym z pokoi. Dwóch sanitariuszy próbowało wejść do środka, czemu uporczywie przeszkadzał człowiek za drzwiami.

–Przyślijcie komendanta! – krzyczał. – Powiedzcie mu, że muszę wrócić do mojej żony. Won chamy!

Wokół szamoczących się mężczyzn zdążył zgromadzić się mały tłum. Stali i patrzyli, nie mówiąc ani słowa. Tylko jedna z kobiet zaczęła cicho płakać. Gruchnęły wyłamane zawiasy i dwaj sanitariusze wpadając do środka pochwycili umykającego mężczyznę.

–Zbrodniarze! Zabijecie moją żonę! – wrzeszczał, ale słowa przestały być zrozumiałe, gdy pociągnięto go w głąb pokoju.

Tłum nie poruszył się i chyba stałby tak długo, gdyby nie posiłki ludzi z ochrony. Stanowczo, nie starając się specjalnie zachować pozorów, rozproszono pacjentów po korytarzu. Na mnie, dzięki znaczkowi w klapie, nikt nie zwracał uwagi. Po kilku minutach już tylko nieliczne osoby mogły dostrzec nosze niesione przez sanitariuszy w kierunku pawilonu. Obsługa naprawiała drzwi i porządkowała pokój.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu, był to Cobb.

–Widziałeś? Pokiwałem głową.

–Wczoraj z nim rozmawiałem – opowiadał nie przejmując się moim milczeniem. – Pojechał z żoną do Paryża. Jest tam klinika onkologiczna. Mówił, że tylko tam

potrafią operować raka piersi, a w każdym razie dają nadzieję. To kosztuje, dużo. Zadłużył się, spekulował, ale osiągnął swój cel. Ludzie z departamentu wywlekli go z hotelu i w tajemnicy przed policją francuską przywieźli do kraju. Prosił ich, aby poczekał choć parę dni, gdyż żona jego właśnie miała tego dnia operację. Chciał być przy niej. Mówił, że będzie go potrzebować, lecz nic z tego. Przywieźli go tutaj i chyba dzisiaj nie wytrzymał.

Patrzyliśmy z Cobbem na siebie w milczeniu. Lekko drgał mu lewy policzek. Znowu położył rękę na moim ramieniu.

–Jesteś przemoczony, idź odpocznij. Wpadnę do ciebie po kolacji i z kimś zapoznam – pchnął mnie dłonią.

Otumaniony obróciłem się w nadanym mi kierunku.

–Filip! – zawołał jeszcze. Gdy odwróciłem głowę, uśmiechnął się satanicznie i teatralnym szeptem powiedział:

–Wiem już, jak stąd można uciec. Zapamiętaj to – przymrużył oko i poszedł w głąb korytarza.

Dopiero w pokoju przypomniałem sobie, że jestem przemoczony.

Zgodnie z obietnicą przyszedł koło ósmej. Miał na sobie koszulę nie pierwszej świeżości, o zbyt małych guzikach najrozmaitszych kolorów. Niewiele mówiąc, poprowadził mnie korytarzem, a potem schodami na niższe piętro. Zanim zapukał do drzwi, powiedział parę słów szeptem:

–Nie pozuj! Bądź sobą, to cię polubi.

Pewności nie mam, ale jestem święcie przekonany, że już wtedy zdawał sobie sprawę czym możemy się stać dla siebie, ja z Jolą. Gdy ujrzałem ją pierwszy raz, siedziała sama w pokoju, robiła na drutach, zerkając od czasu do czasu na telewizor. Miała ciemnoniebieskie, wpadające w zieleń oczy, figurę, którą wyraźnie uwydatniał obcisły fason wełnianej sukni, giętką i pełną. Drobnie stopy i nogi o łydkach rasowej klaczy. Spodobała mi się, mało, zachwyciła od pierwszego spojrzenia. Nie pamiętam już gdzie Cobb ją poznał i jak mnie przedstawił. Wiem tylko, że świadomie wyszedł po niecałej godzinie, zostawiając nas samych sobie. Mówiliśmy o wszystkim, badając i rozgryzając się nawzajem. Ona, w przeciwieństwie do mnie, nie unikała tematu naszego pobytu na wyspie. Wiedziała sporo, a domyślała się jeszcze więcej. Nie powiedziałem jej wszystkiego, nie wtedy. Śmiała się w cudowny sposób, spontanicznie, wkładając całą duszę w swoją radość. Potrafiła momentalnie przejść z nastroju na pozór ponurego do gwałtownej, szczerej wesołości.

Kilkakrotnie złapałem się na tym, że staram się położyć dłoń na jej ręce czy

ramieniu, ale za każdym razem trafiałem na pustkę bądź oparcie kanapy. Figlarne ogniki w oczach świadczyły, że nie był to przypadek.

Była inteligentna, nie w sensie zarozumiałej, komputerowej maszynki, wprost przeciwnie. Wielu rzeczy, o których opowiadałem nie знаła i z cichym zachwytem słuchała nowości. Ale wystarczył moment, abym przybrał trochę zarozumiały, bądź pewny siebie ton, a już jednym celnym zdaniem obalała mnie na ziemię. Później nazwałem to mądrością życiową i zabójczą intuicją. Miała ją.

Dlatego też tego pierwszego wieczoru wyrzuciła mnie od siebie właśnie w chwili, gdy zaczęło mi się wydawać, iż jestem w jej typie. Na pożegnanie zburzyła moje włosy i śmiejąc się zamknęła drzwi.

Oszołomiony i rozpierany dawno zapomnianą radością, wróciłem do pokoju. Leżałem długo w nocy nie mogąc zasnąć. Zapomniałem, że mogą istnieć takie dziewczyny. Otraskany przelotnością uczuć, powszedniością gestów zrozumiałem, że napotkałem fenomen, coś jedyne w swym rodzaju; w każdym razie dla mnie.

Następnego dnia do południa praca, mimo bezcelowości, szła jak po maśle. W czasie obiadu nastąpił przełom. Wyszedłem wcześniej od innych i zacząłem przechadzać się po budynku, mając nadzieję, że napotkam ją wcześniej, czy później. Do jej pokoju nie odważyłem się pójść. Niestety, mimo wydeptania kilku kilometrów podłogi, nie napotkałem szukanej twarzy. Cobb też gdzieś zniknął. Podejrzewałem go, iż wykorzystując znajomości u ochrony wyszedł na zewnątrz. Przez okno widać było, iż deszcz pada bez przerwy cały dzień. Parszywy klimat.

Po kolacji czując się tak, jakbym połknął garść błota, poszedłem do baru. Wszyscy pili tu na umór. Nic dziwnego, przy tak niskich cenach, aż się o to prosiło. Kilku najbardziej ponurych facetów wyglądało na rekonwalescentów z pawilonu. Alkohol robił równie dobrą robotę jak brom, widać to było na pierwszy rzut oka. Najstraszniejsza była cisza, w jakiej wszyscy doprowadzali się do stanu nieprzytomności. Żadnych rozmów, śmiechów, bądź przekomarzeń, tylko twarde i tępe zdecydowanie aby się urznąć. Nic dziwnego, że z biblioteki nikt tu nie korzystał.

Nie pijąc ani kropli wyszedłem na korytarz i po chwili dotarłem do pokoju na parterze. Radość, z jaką mnie powitała nasuwała przypuszczenie, że nie była całkowicie pewna wizyty. Skórę na delikatnych kościach policzkowych pokrył blady rumieniec. Otwarta książka świadczyła, że czytała. Znów siedliśmy naprzeciwko siebie i mówiliśmy. Mogło mi się zdawać, ale dzisiaj w jej oczach, w głosie było coś innego, bardziej osobistego. Coś, co z reguły trzyma się głęboko schowane w zakamarkach duszy i tylko czasami okazuje komuś, jednemu. Zdawała się nie dostrzegać, iż już od paru minut trzymam rękę na jej dłoni. Nie ruszałem palcami. Wydawało mi się to zbędne, burzące przyjemność, jaką czerpałem z ciepła ręki.

Tego wieczoru Jola mówiła o sobie, wylewając olbrzymi zapas słów nagromadzony w czasie tygodni odosobnienia. Nie starałem się być partnerem w dyskusji, wolałem słuchać i uśmiechać się od czasu do czasu. Mój Boże! Nigdy bym nie przypuszczał, że pewne rzeczy mogą mnie jeszcze bawić. Było już dobrze po północy, kiedy to się stało. Ostatnim błyskiem intelektu pojąłem, że przestaję rozumieć co do mnie mówi. Krew dudniła w uszach.

–Jola – powiedziałem – nie masz pojęcia, jak się cieszę, że się spotkaliśmy – zachichotałem. – Temu draniowi Rolandowi powinienem postawić dużą wódkę.

–Tylko uważaj, on ma wszelkie cechy na przyszłego alkoholika – odparła, patrząc z uwagą na moje manewry.

Aby być bliżej przyklęknąłem na jedno kolano.

–Lubisz mnie trochę?

–Tak, tylko nie chcę, abyś mówił przez zęby.

Na moment powstrzymałem moje wędrujące ręce.

–Wcale nie mówię przez zęby – powiedziałem z takim skurczeni szczęk, że aż się obydwójce roześmieliśmy.

Ręce drżały mi jak nowicjuszowi.

–Podobam ci się? – spytałem, czując przez sweter sprężystość jej ciała.

–Tak – chwyciła moje dłonie – ale nie psuj wszystkiego.

Poczułem zapach, jej zapach. Nie używała perfum, nie musiała.

–Kocham cię – szepnąłem i zanurzyłem się głową tam, gdzie sweter krył unoszące się w rytm oddechu pełne piersi.

Moje dłonie szukały, pieściły i obejmowały w zafascynowaniu nowością. Szarpnięcie i dostałem w twarz dwa razy. Mocno.

–Wyjdź natychmiast! – krzyknęła zrywając się z kanapy.

Stałem nic nie rozumiejąc. Wypchnęła mnie za drzwi i głośno trzasnęła zasuwką.

Po pół godzinie siedzenia na ławce w korytarzu poszedłem do baru i kupiłem pół litra. Siedząc u siebie w pokoju, patrząc na własne nogi, ze świadomą premedytacją urzynałem się w sztok.

Następny dzień przesiedziałem w pracowni. Mój pogląd na świat ulegał tak kolosalnym zmianom, że zapomniałem o wyspie, chorobie i całym tym cholernym bałaganie.

Wieczorem, na korytarzu, ona zaczepiła mnie pierwsza. Ani słowem nie wspomniała o tym, co się zdarzyło. Ponownie znalazłem się u niej w pokoju i tak jak pierwszego dnia wyleciałem w chwili, gdy zaczynało mi się coś tam wydawać. Tym razem przy pożegnaniu zapięła mi guzik przy koszuli.

Kilka następnych dni minęło podobnie. Mniej więcej po tygodniu, kiedy zaczynałem się przyzwyczajać do sytuacji, zaraz po przyjściu pchnęła mnie na fotel i demonstracyjnie zamknęła zasuwkę. Następnie opierając ręce na moich ramionach powiedziała parę rzeczy na mój temat. Potem zgasiła światło i tej właśnie nocy zrozumiałem, iż spotkałem dziewczynę życia.

XI

Keler, Kowen i Risch siedzieli razem od paru godzin. Sekretarz był szczególnie zrównoważony. Risch przez ostatnie dni miał okazję pojąć, że nie przypadkiem ten człowiek piastuje swoją funkcję.

–Podsumowując – mówił powoli, dobitnie akcentując poszczególne słowa – przesłuchania i rekonstrukcja wypadków jednoznacznie ustaliły, że sto nasion Heliozy rzeczywiście zostało zgubionych na lotnisku „Betley'a”. Mimo ogłoszeń i innych form kontaktów z przypadkowym znalazcą, ten się nie zgłosił. Racje stanu nie pozwalają na otwarte ogłoszenie całej sprawy, przede wszystkim dlatego, iż nie ma pewności, że odniesie to skutek. Groziłoby to nieobliczalną paniką. Tak więc, mimo znalezienia i odosobnienia wszystkich potencjalnych chorych, celu nie udało się osiągnąć. Mówiąc alegoriami, jeden z naszych potoków umknął nam z rąk. W takiej sytuacji nie wolno podejmować ryzyka.

Umilkł, gdyż Kowers przechylił się do przodu, jakby chciał coś powiedzieć. Ale on sięgał tylko po butelkę wody mineralnej.

–Właśnie – Keler jak zahipnotyzowany patrzył na pijącego. – Pan, profesorze Risch, czytał nam przed chwilą prognozę biegu wypadków, jakie by nastąpiły, gdyby chociaż jedna osoba uległa chorobie. Liczba czterech milionów zgonów w pierwszym tygodniu, z dalszym ich wzrostem w dniach następnych jest możliwością, jakiej za wszelką cenę musimy uniknąć. Powtarzam, za wszelką cenę!

Risch był blady i wyglądało na to, że zaraz zwymiotuje.

–Powtarzam raz jeszcze. Prezydent zrzucił ciężar podjęcia decyzji na nasze głowy. Mówił dużo na temat wszechstronnego przeanalizowania sytuacji, ale wiadome jest, że zaakcentuje każdą decyzję. Więc jaka ona będzie?

Kowers westchnął.

–Jestem za unieszkodliwieniem tych ludzi.

–To będzie morderstwo – powiedział cicho Risch.

–Pan, lekarz, specjalista tak mówi? – Keler chciał mieć jednomyślną decyzję, albo posługiwał się maksymą: zbiorowa odpowiedzialność to żadna odpowiedzialność.

–Dobrze – Risch schował twarz w dłoniach – zgadzam się. Niech tak będzie.

–A więc zadecydowaliśmy – odparł Keler ocierając czoło. – Ja zajmę się opinią publiczną, rodzinami. To trzeba delikatnie rozegrać. Niestety, będzie to nas trochę

kosztować.

Nikt się nie odezwał.

–Czy pan, panie Risch zajmie się szczegółami?

Risch rozpaczliwie ruszał powiekami, zanim zrozumiał co Keler ma na myśli. Skinął głową.

**–Sądzę, że należy zakończyć tę przykrą sprawę w ciągu pięciu dni, dla dobra ogółu
– dodał sekretarz, nie mogąc się nie podeprzeć czynnikiem nadrzędnym.**

Wydawało się, że padną jeszcze jakieś słowa, ale na szczęście był to już w zasadzie koniec narady.

XII

Wróciliśmy z Jolą ze spaceru, gdzie znaleźliśmy cudowne miejsce. Osłonięte od wiatru, z falami walącymi w skały pod stopami, akurat pasowało do naszych nastrojów. Owinięci płaszczem opowiadaliśmy tam tylko dla siebie stworzone historie, czekając na decyzje co do naszego przyszłego losu. Byliśmy optymistami i było to normalne, gdyż zakochani zawsze są tacy.

Rischa zastałem w pokoju. By! tak przejęty, że nawet nic pozwolił mi zdjąć płaszcza.

–Pojutrze wieczorem likwidujemy wyspę – zaczął. – Taka zapadła decyzja.

–To znaczy, że wracamy do domu?! – było to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Risch spojrzał na mnie błagalnie.

–Nie, Filipie – pokręcił głową. – Uznano, że należy ich wszystkich... zabić – głos mu drżał.

Usiadłem, mając idiotyczne przeświadczenie, że taką scenę już kiedyś w życiu widziałem.

–Zwariowaliście?!

Patrzył na mnie swoimi oczami krótkowidza i wyglądał jakby się miał za chwilę rozpłakać.

–Zaginęła część nasion Heliozy. Nie można pozwolić na najmniejsze ryzyko, że ktokolwiek z tych ludzi zetknie się z nimi. A trzymać ich tutaj w nieskończoność nie można. Lepiej zrobić to wcześniej.

Chyba tylko instynkt podszeptał mi, że należy siedzieć spokojnie. Ależ z jaką rozkoszą chwyciłbym go wtedy za gardło, zrzucił na podłogę i walił tą żalostną mordą o ścianę, aż by cały obryzgał się krwią i mózgiem. Robiło mi się niedobrze. Nie słyszałem nawet co mówi.

–Słyszysz Filip? Leć ze mną. Nie ma powodu abyś asystował przy tym do końca, a to już jest koniec, rozumiesz?

Potrząsnąłem głową.

–Nigdzie nie jadę. Zostaję tutaj.

–Na co ci to. Obydwaj wiemy, że starałeś się, ale badania, które robiłeś niczego nie wniosły. Przez te parę dni nic się nie zmieni.

Zarzuciłem płaszcz i z całym spokojem stanąłem przy drzwiach.

–Zostaję. Zobaczymy się po wszystkim. Wzruszył ramionami.

–Może masz rację. Nie wiem.

Gdy wychodził, zadałem jedno pytanie.

–Kiedy to będzie i jak?

**–Pojutrze wieczorem. Do kolacji domiesza się pewien środek – westchnął. –
Przynajmniej będzie bezbolesne.**

Zamknąłem starannie drzwi i stanąłem przy oknie. Dojrzałem jego sylwetkę, gdy wsiadał do helikoptera. Milknący łoskot był świadectwem, iż pozbyłem się go na jakiś czas.

Siedzieliśmy w trójkę: ja, Jola i Cobb. Do zmierzchu brakowało niewielu minut. Obecnie wiedzieli już tyle samo co ja.

–Nie ma sensu ujawnianie przed ludźmi ich sytuacji – mówiłem. – Po pierwsze jest nas za

mało, a obsługa zbyt mocna. Po drugie nie są oni zdolni do żadnej zorganizowanej akcji, a tylko taka może przynieść skutek. Pamiętajmy, że pilnują nas pracownicy departamentu. Kwestią minut byłoby przybycie posiłków. Cobb chrząknął.

–Nie mamy technicznej możliwości dostarczenia ich na brzeg. Przy tej pogodzie dla większości byłaby to pewna śmierć.

Silny wiatr wiejący od rana zapowiadał zmianę pogody.

–Trzeba uciec tak, aby możliwie najpóźniej to spostrzegli. – Jola zawsze była konkretna.– Trzeba się dostać do którejś z redakcji stołecznych gazet.

Zgodziliśmy się z nią.

–A więc uciekamy w trójkę – skwitowałem. – Tylko w jaki sposób? Cobb uważnie przecierał szkła okularów.

–Mówiłem wam, że trochę zaznajomiłem się z ochroną – mówił. – Oni lubią wypić. Szczególnie ci, co pilnują przystani. Wiem, że dzisiaj jeden z nich ma imieniny i jestem pewien, że będzie moment, w którym bez kłopotu da się zejść do przystani.

–Ale tam też pilnują.

–Tej nocy nie będą, ręczę wam. Popatrzcie na niebo, zbliża się sztorm.

Miał rację. Było za ciemno jak na tę porę dnia. Pierwsze bicze deszczu chlasnęły w okno.

–Alkohol i sztorm to za dużo, aby chciało im się uważać.

–Sądysz, że uda się nam dopłynąć? Głos Joli był troszkę za spokojny.

–Sądzę.

Trzęsącymi się dłońmi wygładziłem serwetę na stole.

–Czym będziemy uciekać, chyba nie ścigaczem?

–Nie. Dzisiaj jest wtorek, a we wtorki, nie wiem czy wiecie, przyływa tutaj kuter rybacki dowożący zaopatrzenie. Wraca zawsze w środy. Jest to solidne bydłatko, swojego czasu zdążyłem mu się przyjrzeć.

–Poradzisz sobie z nim? Kiwnął głową.

–Musimy się spieszyć – dodał. – Przygotujcie się do drogi i nie zabierajcie niczego, poza tym, co można włożyć na siebie. Rzeczy ubierzcie ciepłe, ale nie krępujące ruchów. Idę do nich i gdy stwierdzę, że są gotowi, przyjdę tutaj, do pokoju.

Kiedy wyszedł, Jola spojrzała na mnie takim wzrokiem, że bez słowa przytuliłem ją do siebie. Rozplakała mi się w ramionach.

Wiatr wył jak wariat. Żelazny uścisk jego porywów dusił za gardło i tamował oddech. Tnący zakosami deszcz oślepił, odbierając ciepło. Cobb zbliżył się do nas aby lepiej go było słychać.

–Dziesięć minut temu siedzieli wszyscy w środku. Idę się upewnić. Czekaście.

Oddalił się w ciemność ku jasnym plamom domku strażniczego. Obok niego przebiegała ścieżka, jedyna droga, którą przy tej pogodzie można zejść do przystani. Oślizgłe kamienie zbocza były gwarantowanym samobójstwem dla każdego kto chciałby wybrać inną trasę. Jola drżała w moich ramionach.

–To nie ze strachu – szeptała – tak mi jest lepiej.

Mnie też było lepiej. Deszcz ustał na moment, kiedy Cobb szarpnął mnie za rękaw. Jak duch wynurzył się z ciemności.

–Szybko – powiedział.

Starając się nie poślizgnąć zbiegaliśmy w dół. Mijając domek słyszeliśmy odgłosy pijackiej awantury, chyba się tłukli. Miałem nadzieję, że nie za mocno i że nie ściągną na nas uwagi. Podziwiałem Cobba. Był już po czterdziestce, na pozór dystyngowany pracownik handlu, a ruchy miał jak komandos, bądź traper. Sądziłem, że wiele ciekawych rzeczy znalazłbym w życiorysie tego człowieka.

Wreszcie przystań. Tu wiatr prawie nie dochodził. W słabym świetle jedynej latarni dostrzegłem fale na wodzie. Wyglądała jak misa z gęstą oliwą niesiona w drżących rękach olbrzyma.

Łódź była nieduża, ze sporym pokładem i kabiną na końcu rufy. Poza trójką ludzi i kołem sterowym praktycznie nic więcej nie mogło się tam pomieścić. Na pokładzie stało parę skrzynek. Wyglądały na nie rozładowaną część transportu. Nie przywiązaliśmy do nich większej uwagi. Kuter nie był w ogóle zabezpieczony, tak że po zrzuconiu dwóch cum byliśmy wolni. Kabina po zamknięciu była nawet przytulna. Cobb trzymał rękę na rozruszniku, kiedy go powstrzymałem pokazując na domek strażniczy. Pokręcił głową.

–Nie usłyszą. Wiatr.

Zrozumiałem jak wiele będę zawdzięczał temu człowiekowi. Motor zaskoczył za pierwszym

razem. Wpłynęliśmy między dwie boje znaczące początek kanału. Lekki zakręt Pełna szybkość i myślałem, że zemdleję widząc to, co ujrzałem.

W blasku rozpalającej niebo błyskawicy zobaczyłem obsypane pianą wodne góry sunące ku nam z zadziwiającym impetem. Nigdy nie sądziłem, że morze jest czarne jak smoła. Wbiliśmy się w wodę, która zalała nas całych. Skrzynki stojące na pokładzie zdmuchnęło jak piórka. Jedna tylko o centymetry minęła kabinę. Palce Joli z zapalem robiły mi siniaki na ramionach. Kazałem jej usiąść na podłodze. Cobb, aby utrzymać równowagę, oparł się o ścianę, kurczowo trzymając koło sterowe.

Kolejna błyskawica i dalsze miazdzące ciosy wiatru. Rufa raz po raz tonęła w pianie, a dziób wyskakiwał ku niebu jak oszalały. Potem następował huk i kuter, nieomal rozłaząc się w szwach, zapadał się w kolejny odstęp między górami wodnymi.

Cobb coś wrzeszczał, chyba dokładnie nie wiedział, z której strony jest ląd. Nic dziwnego. Kuter tańczył na falach schodząc z kursu w najmniej spodziewanych momentach. Pod nami wciąż charczał, dławił się bijąc chwilami śrubą w powietrze silnik. Domyślałem się, że tylko jego praca utrzymuje nas jeszcze przy życia. Chciałem pomóc Cobbowi, ale pokręcił przecząco głową. Woda bez przerwy tłukła w okna i już nie wiedziałem czy to fale, czy deszcz.

Potem niebotyczny wał wodny rozbił wszystkie szyby. Nie czując bólu osłaniałem

Jolę. Ciężkie, bijące z kilku stron fale z uporem dobijały kuter, ale nie Cobba. Odwrócił się ku mnie i błysnął zębami. Z rozcięcia na czole skapywała krew, zmywana kolejnymi potokami wody. Jeśli tak nie wygląda koniec świata, to znaczy, że nie mam wyobraźni. Fale stawały się jakby mniejsze i bardziej kąśliwe. Rozpaczliwie, co chwilę wywracając się szukałem w kabinie jałdejkoľwiek kamizelki ratunkowej. Niestety.

Kolejna błyskawica uświadomiła nam źródło zmian, jakie zachodziły w wyglądzie morza. Brzeg. Ogromna, gęsta masa ciemności z wąską piaszczystą plażą. Fala odrzucała nas z powrotem. Cobb przechylił się na kole starając się dojrzeć obecność skał. Coś krzyczał. Jednak nie dojrzał. Ostry koniec wyskoczył przed samym dziobem, nie dając nam żadnych szans. Jeden trzask i kadłub pękł jak skorupa orzecha. Wyleciałem do przodu, łamiąc swym ciężarem resztki ramy okiennej. Upadku już nie czułem.

XIII

–Odzyskuje przytomność – usłyszałem i otworzyłem oczy.

Byłem rozebrany do kąpielówek i owinięty w suchy, ciepły koc. Leżałem na tylnym siedzeniu jakiegoś samochodu wsparty o Jolę. Jechaliśmy szosą między drzewami. Prowadził Cobb. Poznałem go po głosie.

–Jak się czujesz?

Chciałem powiedzieć, że nieźle, gdy poczułem ból nogi. Dopiero teraz zrozumiałem, że mam ją owiniętą i usztywnioną. Jola wstrzymała moją rękę.

–Masz złamaną nogę i trochę się potłukłeś – wyjaśniła.

–Aha – odparłem. – Boli.

–To normalne – powiedział z przodu człowiek o chyba nieograniczonych możliwościach.

–Która godzina? – spytałem.

–Niedługo będzie świtać – odparł. – Opowiedz mu Jolka, jak tu się znalazł, bo pewnie umiera z ciekawości.

Pogładziła mnie po głowie.

–To on nas wyciągnął, kiedy morze wyrzuciło kuter na skały – mówiła cichym głosem. – Kiedy wciągnęliśmy cię na górę, okazało się, że po drugiej stronie cypla leży mała wioska. Poszedł tam i po godzinie wrócił z samochodem. Nie masz pojęcia jak się bałam. Było tak ciemno, a ty się nie ruszałeś.

–Ukradł samochód?! – spytałem z podziwem.

Z przodu dobiegł tylko cichy śmiech.

–Potem zdjął z ciebie mokre ubranie i założył łupki. W bagażniku były koce i swetry. Właściciel tego wozu chyba prowadzi sklep.

–Gdzie jedziemy?

Tym razem Cobb pośpieszył z odpowiedzią.

–Według mapy za parę kilometrów będzie miasteczko, przez które biegnie linia kolejowa do portu Dawind. Możliwe, że się rozdzielimy.

–Dlaczego?

–Może jeszcze nie wiedzą o naszym zniknięciu, ale to kwestia najbliższych godzin. Będą szukać dwóch mężczyzn i kobiety. Jeśli będziemy podróżować osobno, utrudnimy im zadanie. Poza tym łatwiej będzie się przedrzeć przez obławę.

–Nie pomyślałem o tym. Jechaliśmy w milczeniu.

–Sądziś, że znajdą resztki kutra?

–Z pewnością. Wystarczy, że się rozjaśni.

Mają przecież ciężkie helikoptery transportowe na każdą pogodę.

Po bokach wyskoczyły domy miasteczka. Puste ściany z zasuniętymi żaluzjami sklepów. W takich miejscach bez kłopotu znajduje się dworzec kolejowy. Już po paru minutach zatrzymaliśmy się na opustoszałym parkingu.

Zostałem sam w wozie, a oni poszli sprawdzić rozkład. Starając się nie urazić nogi wyjrzałem przez szybę. Był już świt. Właśnie gaszono neon nad wejściem. Obok muru szedł ktoś w mundurze. Wcisnąłem się głębiej w siedzenie, ale człowiek stanął na tle nieba i dojrzałem, że to kolejarz. Odetchnąłem z ulgą.

–Jola ma pociąg za godzinę – powiedział Cobb, wracając sam z dworca.

–To ona jedzie?

–Tak będzie najlepiej. Prosiłem ją, aby została już na dworcu.

–Coś ty, Roland?! Uspokoił mnie gestem ręki.

–Uwierz mi, tak będzie lepiej. Ty nie możesz jechać, a ona sama nie poradziłaby z tobą. Miał rację.

–Powiedziałem jej, aby starała się dostać do redakcji „Obserwatora”. Jeśli tam departament ma wtyki, to ma je wszędzie.

Ruszyliśmy...

Piętnaście kilometrów za miasteczkiem skręciliśmy w boczną drogę. Cobb twierdził na podstawie mapy, że odległość jest taka sama, a mniej będziemy się rzucać w oczy z naszym kradzionym wozem. Po dziesięciu kilometrach samochód zakrztusił się, przejechał rozpędem paręnaście metrów i stanął.

–Gówno – powiedział Cobb, gdy uniósł się znad maski. – Ten grat ma do niczego paliwomierz. Bak jest suchy jak pieprz.

Znów musiałem włożyć zimne i ciężkie teraz jak ołów spodnie. Deszcz już nie padał, ale trawa, na której Cobb mnie posadził była wciąż mokra. Sapiąc wepchnął samochód w gęstsze zarośla. Odszedł parę metrów i najwyraźniej zadowolony z dzieła chwycił mnie za ramię.

–Widać dym – pokazywał na odległe o paręset metrów drzewa. – Chyba ktoś tam mieszka.

–Hopla, mój intelektualisto! – zawołał unosząc mnie w górę.

Trzymając się jego szyi pomyślałem, że głupio wygląda facet niosący drugiego na rękach.

W niewielkim domu o brudnych ścianach zastaliśmy chudego, o szczurowatej twarzy człowieka i jego żonę, korpulentną blondynkę.

–Dzień dobry – przywitał ich grzecznie Cobb, sadzając mnie na ławce. – Mieliliśmy wypadek kilka kilometrów wcześniej. Za szybko jechaliśmy, czy jest u państwa telefon?

Człowiek pokręcił głową i chyba tylko ja dostrzegłem przelotny wyraz zadowolenia na twarzy Cobba.

–Po południu mój mąż wybiera się do miasta. Mógłby tam panów odwiedzić – kobieta uśmiechnęła się odsłaniając żółte zęby.

Cobb zawahał się i spojrzał na mnie.

–Dobrze, z chęcią odpoczniemy u państwa.

Zaprowadzili nas do pokoiku na strychu. Panował tu, o dziwo, przyjemny zapach siarego domu. Niewyspany, z bolącą nogą aż jęknąłem widząc wygodne łóżko. Poza nim w pokoju stały tylko rzędy jakichś doniczek i jedno krzesło. Na nim to usiadł Cobb.

–Spij – powiedział. – Ja tu będę siedział.

Kiedy potrząsnął mnie za ramię wydawało mi się, że nawet nie usnąłem. Myliłem się.

–Mają nas – szepnął mi do ucha. – Usnąłem na krześle.

Za oknem słyhać było syrenę policyjną.

–Niech to diabli. Miałem przeczucie, że te sukinsyny mają telefon. Kłamali.

Za oknem ktoś zaczął krzyczeć przez megafon. Podobno w chwilach zagrożenia,

niektórzy ludzie histeryzują, inni wpadają w apatię, a jeszcze inni wykazują zadziwiającą odwagę. Ja wykazałem w tym momencie straszliwą spostrzegawczość.

–Roland – spytałem – jak się czujesz? Popatrzył zdumiony.

–Normalnie, ale uciec nie zdołamy.

–Nie o to chodzi – odparłem skręcając w bok głowę.

Spojrzał w to samo miejsce.

–Ty tego możesz nie wiedzieć, lecz ja wiem – kiwnąłem na doniczki z kwiatami. – Zgadnij, co to za roślina?

Oczy rozszerzyły mu się.

–To jest Helioza – odparłem. – Ta cholerna Helioza, która nie wiadomo jakim cudem trafiła do tego domu.

Policjant za oknem wrzeszczał jak opętany.

Nasze pozycje nie zmieniły się od paru minut. Ja wciąż leżałem, a on stał. Jedynie nasze spojrzenia ogniskowały się w tym samym miejscu.

–Jesteś pewny?

W moim wzroku było coś takiego, że już nie ponowił pytania. – Przecież jestem zdrow, a chyba z godzinę temu wachałem te kwiaty. Zaraz jak tylko tu weszliśmy.

Przy megafonie policjanta zastąpiła kobieta. Była to gruba żona właściciela.

–Panowie, miejcie litość – łkała – oni grożą, że spalą cały dom, jeśli nie wyjdziecie. Było mi to całkowicie obojętne.

–No i co powiesz? – spytałem Cobba, lecz zdumienie zamknęło mi usta.

Nie wiem skąd on wziął ten nóż. Był to długi, oprawiony w czarny plastik sprężynowiec.

–Sam mówiłeś kiedyś, że aktywizacja nie musi następować drogą oddechową – wyjaśnił jakby od niechcenia. – Muszę się upewnić.

Podszedł do kwiatów i wybrał najbardziej rozwinięty, wręcz ociekający nektarem. Przeciął kielich tak, aby na nożu zostało wystarczająco dużo lepkiej substancji

–Raz kozie śmierć – powiedział i wbił o-strze w ramię.

Zatrzymało się na centymetr w ciele. Krew zaczęła kapać między palcami, nóż spadł na podłogę.

–Uciekaj natychmiast – powiedział.

Nie musiał mi tłumaczyć. Na szczęście już wcześniej zauważyłem stojącą w kącie szcnotkę. Opierając się o nią zszedłem na parter. Cobb zatarasowywał drzwi czymś ciężkim. Mogło to być tylko łóżko.

Nie zważając na rozpaczliwie wycelowaną we mnie broń, kuśtykałem w kierunku dowodzącego akcją. Można go było rozpoznać po mikrofonie w rękę. Nie takiego obrotu sprawy się spodziewał, gdyż ze zbaraniałą miną patrzył na moje wysiłki. Jeszcze próbował ratować twarz.

–Unieść rękę do jasnej cholery! – wrzasnął bez sensu zważywszy na stan mojej nogi

–Gdzie jest drugi?!

–Proszę mnie natychmiast połączyć z wyższym dowódcą. Nie możecie nas stąd zabrać.

Stojący za nim szczirowaty właściciel robił do mnie żalodne miny.

–Spróbujcie tylko stawiać opór!

–Mój kolega jest przypuszczalnie zakaźnie chory – jeżeli ktoś go ruszy, to gwarantuję, że za godzinę skona we własnych rzygowinach.

Policjant najwyraźniej nie lubił naturalistycznych opisów, gdyż skrzywił się z niesmakiem.

–Mam rozkaz dostarczyć was na wyspę Ormoz – prawie się tłumaczył.

–Ci, co wydali ten rozkaz nie wiedzieli tego, co ja wiem w tej chwili. Zapewniam pana, że jeśli nie dostanę połączenia, to w niedalekiej przyszłości zostanie pan zdegradowany. Zapewniam, że nie są to pogrożki, tylko stwierdzenie faktu. Wahał się.

–Przecież nie ucieknę panu, ani tym bardziej on.

Obrócił się do wozu i nachylił nad radiostacją, ja w tym czasie usilnie starałem się dojrzeć, co dzieje się w pokoju. Ale z tej odległości mogłem równie dobrze oglądać znaczki. Za szybą pokoju nic się nie ruszało.

Risch musiał odczuwać wyrzuty sumienia, gdyż to jego głos powitał mnie w sztabie akcji.

–Czy to ty Filipie? Na litość...

–Zamknij się!

Powiedziałem mu to po raz pierwszy w życiu i przyznaję, że było mi to potrzebne.

–Zamknij się i słuchaj!

Słuchał. Gdy skończyłem długa cisza świadczyła, że ma się z kim podzielić rewelacjami. Niemniej, kiedy wywołał mnie po chwili, sam przyznałem, że ma pecha.

–Zamknij się – powiedziałem mu ponownie i odłożyłem mikrofon.

Miałem ku temu powody. Z tego małego, odrapanego, cholernego domku wyszedł Cobb. Zdrowszy i cały. Taki sam, jakiego opuściłem przed godziną. Tylko czerwoną plamę na koszuli miał trochę większą.

–Może by mi wreszcie ktoś opatrzył rękę – powiedział stając przed nami.

Patrzyły na mnie zawadiackie i kpiące oczy. Przycisnąłem go do siebie i parę razy mocno walnąłem po plecach. Zasyczeliśmy z bólu obydwaj. Policjant trzymający radiotelefon, z którego wciąż wydierał się Risch, miał minę świadcząca o zastraszająco niskim poziomie inteligencji.

Epilog

Tego dnia morze było spokojne. Jedyne mgła wisiała w powietrzu zakrywając przed naszym wzrokiem niedaleki ląd. Staliśmy z Rischem w tym samym miejscu, które odkryliśmy z Jolą. W dole sine fale z cierpliwością Syzyfa wpełzały na skały.

–Po wszystkim – westchnął Risch, kończąc kilkuminutowe milczenie. – Wiesz? Prezydent dziękował nam za to, że obyło się bez ofiar. Mówił, iż ciągle wierzył, że nie dojdzie do ostateczności.

Nic nie mówiłem. Kłęby mgły ponaglane wiatrem przelewały się przez szczyt skarpy.

–Mówiłem ci, że dostałeś trzydzieści tysięcy?

–Milczenie kosztuje. – odparłem.

–Gdzie tam! – oburzył się. – Przecież pracowałeś dla nas.

Mleko uniosło się w górę odsłaniając szeroki tunel przestrzeni nad morzem. Tam dalej fale były większe, ale brzegu nie udało mi się dostrzec.

–Dlaczego nie chcesz wrócić na uniwersytet?

–Przecież wziąłem tylko urlop.

–Po trzyletnim urlopie mało kto wraca do pracy.

Wzruszyłem ramionami i spytałem:

–Nie masz wyrzutów sumienia? Tym razem on zamilkł. Chyba zrobiło się zimniej, gdyż dreszcz przeszedł mi po całym ciele.

–Przepraszam!

–Nie szkodzi – odparł. – Masz prawo. Odwróciliśmy się ku budynkom. Czas było wracać. Podał ramię.

–Chyba nigdy się nie dowiemy jak to było naprawdę. Musimy zadowolić się tym, że Cobb nie uległ Heliozie – odczuwał potrzebę mówienia. – Może rzeczywiście miał on tylko nietypową gripę, a może organizm sam zwalczył wirusa. Mogliśmy też popełnić gdzieś błąd w rozumowaniu. Sam nie wiem.

Zauważyłem, że ostatnio on w ogóle mało wie.

–Wiesz czego się nauczyłem? – spytałem, gdy weszliśmy na plac między

budynkami.

–Ludzie, ich rozwój, przekroczył próg, do którego wolno popełniać pomyłki. Kiedyś taki błąd mógł kosztować życie jednego, może paru ludzi. A teraz? Wrzucamy kamień do stawu, a fala nie rozplywa się na wodzie, ale wprost przeciwnie. Toczy się i przelewa niszcząc wszystko do końca, rozumiesz? Możemy stawać na głowie, ale błędu nie naprawimy.

–Chyba że pomoże nam przypadek lub szczęście.

–Tak, ale przypadki nie powtarzają się, bo przestałyby być przypadkami.

Na płycie lądowiska, przed nami stał duży helikopter.

–Wiesz z czego się najbardziej cieszę? – spytałem. – Co uważam w tym wszystkim za najważniejsze?

Pokręcił przecząco głową. Uniosłem rękę z wyciągniętym palcem. W kabinie już gotowa i spakowana, siedziała Jola. Przez zamglone szyby widać było jak ze śmiechem opowiada Cobbowi swoją historię. Pewnie opisuje chwilę strachu i rozgoryczenia, kiedy zatrzymali ją w redakcji. Ale to minęło. Przywitani śmiechem wsiedliśmy do środka. Rotor helikoptera zakręcił się szybko, coraz szybciej. I poleciliśmy, bogatsi o parę spraw, z których nie wszystkie zostały przemyślane do końca.

Wyspa została sama. Targany wiatrem kawałek skały z zamkniętym w czworobok kompleksem budynków.

Chmurzyło się, a słony wiatr od morza rozwiewał trawę. Nic ale zakłócało już rytmicznego oddechu przygody.

ICH DWUDZIESTU

Kontakt nastąpił kwadrans po północy. Od razu otrzeźwiał ze snu. Informacja była prosta: siedemnastu z nich odczuło emisję biologiczną świadcząca o agresywnych zamiarach nadawcy. Po zlaniu się w jeden układ wykryli miejsce, do którego zbliżała się obca forma. Było to sto kilometrów na północny wschód od miasta, w którym mieszkał. Zadanie zostało mu powierzone wraz z częścią energii pola, jakim każdy z nich dysponował. W ten sposób starali się go wzmocnić. Nic dziwnego, innym razem on postąpi podobnie.

Przez chwilę jeszcze przysłuchiwał się organizmowi, ale wszystko było w porządku. Następnie wstał z łóżka i zasznurował na nogach tenisówki. Krysia spała zwinięta w kłębek, cicho oddychając. Na wszelki wypadek dokonał intensyfikacji jej snu, będąc pewnym, że po tym przez najbliższe sześć godzin nie obudzi się. Potem podszedł do drzwi balkonowych i z przyzwyczajenia cicho je otworzył. Na dworze było ciepło, jak to w czerwcu. Oparł ręce o barierkę i rozejrzał się po ciemnych i pustych oknach sąsiadów. Nie było nikogo. Uspokojony popatrzył na niebo, a gdy znalazł kierunek, uniósł się w powietrze. Poleciał na północny wschód, powoli nabierając prędkości.

Światła ulic szybko zniknęły z tyłu. Zmysł orientacji informował o braku innych obiektów latających w promieniu jednego kilometra, co było do przewidzenia, gdyż lotnisko mieściło się po drugiej stronie miasta. Nie czuł siły wiatru. Całe ciało otaczała centymetrowa warstwa pola siłowego, chroniąca również od zimna. Gdy mijał pasmo wzgórz otaczających miasto, dla próby wzbił się na wysokość pięciu kilometrów. Z radością stwierdził, że nie odczuwa przez to żadnych przykrych sensacji. Zadowolony, obniżył lot do stu metrów. Niebo zaścieliły niskie i ciemne chmury, które zakryły Księżyc. Przesuwał się na wysokości jednego kilometra, tak że z trudnością rozpoznawał szczegóły terenu.

Kilkanaście kilometrów za miastem wdzierał się we wzgórze język pustyni. Obserwując Ziemię w podczerwieni, dostrzegł skok jasności. Był to, ostygły już teraz, pustynny piasek. Widząc, że leci we właściwą stronę, skoncentrował się i jeszcze bardziej zwiększył prędkość. Wiedział, że informacja, jaką odebrali o miejscu i czasie lądowania, zawierała pewien margines tolerancji. W szczególności odnosiło się to do czasu, gdyż dla niego liczba czynników ubocznych, które zakłócały proces przewidywania, była bardzo duża. Również pamiętał o tym, że jako układ byli w stanie przewidzieć zdarzenie z co najwyżej półgodzinnym wyprzedzeniem. Odebrany czas lądowania obcej formy był na granicy tego okresu. Ale na szczęście zbliżał się do celu.

Chociaż wokół było ciemno, na wszelki wypadek postanowił zmniejszyć szybkość. Gdy to zrobił, dostrzegł przed sobą w dole jakieś światelko. Nie zdołał się jednak dokładniej przyjrzeć, gdyż poczuł falę olbrzymiego przeciążenia. Jego osobiste pole

siłowe zostało wręcz zmiecione, ale mimo to osłabiło impet uderzenia. Wiedział dokładnie co się stało; zaatakowano go z broni grawitacyjnej. Napastnika nie zdołał dostrzec, ale był w pełni przekonany, że jego obawy co do czasu lądowania obcych okazały się uzasadnione. Koziółkując w powietrzu czuł, jakby ścisnęły go żelazne kleszcze, a serce biło oszalałe, nie mogąc pompować ciężkiej jak rtęć krwi.

Miał jednak szczęście, gdyż gwałtowne zmiany przeciążenia wytrąciły go z toru lotu i dzięki temu, spadając, wydostał się z zasięgu fali uderzeniowej. Widząc zbliżającą się Ziemię wyhamował prędkość, ale nie na tyle, żeby nie poczuć upadku. Nawet nie podnosząc głowy z piasku, momentalnie dokonał dziesięciometrowej teleportacji. Kiedy uniósł wzrok, miał okazję dostrzec, że w miejscu, gdzie przed chwilą spadł, stoi kula ognia, w której rozpuszcza się piasek. „A więc chciał mnie dobić” – pomyślał. Lecz gdy spojrzał w górę, stwierdził, że to nie koniec polowania. Po niebie, przesuwał się jak chmura, ciemny kształt. Ale jak na chmurę jego zarys był zbyt regularny. Mimo olbrzymiego wyczerpania i ogarniających go mdłości, Adam musiał się skupić. Całą swoją energię poświęcił na ekranizację ciała, połączoną z emisją promieniowania, jakie wysyłał otaczający piasek, Gdyby tego nie zrobił, wróg łatwo by zrozumiał, czym jest ta jasna plama na tle zimnego gruntu. Pojazd jednak przesunął się powoli, zatrzymując się tylko na chwilę ponad rubinowo żarzącą się teraz bryłą szkliva, aby później, równie cicho i bezszelestnie, odlecieć. Wniosek był jeden: ekranowanie zdało egzamin.

Adam leżał ciężko dysząc i mimo że czas naglił, regenerował siły. Już dawno nic go tak nie wyczerpało. Najgorsze, że był to dopiero początek wyprawy. Instynkt mówił mu, że spotkał obiekt patrolujący i oczyszczający strefę wokół lądownika. Sądząc po tym, czym ten obiekt dysponował, mógł się teraz spodziewać wszystkiego. Jednego był pewien: obca forma, która przybyła na Ziemię jest istotą, a prawdopodobniej istotami rozumnymi, których zamiary względem ludzi są jednoznaczne. Przecież zaatakowali go pierwsi bez uprzedzenia, nie dając nawet najmniejszej szansy. Wiedział, że takiemu przeciwnikowi czoła może stawiać tylko i wyłącznie ktoś z dwudziestki. Inni ludzie są bezradni. Sam nie wiedział, czy to świadomość odpowiedzialności, czy fakt, że odpoczął, sprawił, że poczuł przyływ sił. Wstał, nie starając się nawet otrzepać z piasku. Zastanawiał się przez kilka pierwszych metrów drogi, czy włączyć pole osobiste, ale zrezygnował, gdyż zabierało mu ono, na dłuższą metę, zbyt dużo sił. Uczulił jednak zmysł lokacji, czego zaniedbał przedtem, z jakże fatalnymi skutkami. Lecieć nie odważył się, gdyż w powietrzu był widoczny o wiele wyraźniej niż na Ziemi. Posuwał się w kierunku, w którym odleciał obiekt, gdyż tam spodziewał się znaleźć lądownik. Przypomniał sobie, że właśnie w tej okolicy dostrzegł na moment przed atakiem małe światełko. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, z czym ono mu się kojarzy. Było to coś znajomego, ale nie potrafił tego określić. Dopiero kiedy minął kolejną kępę kaktusów, zrozumiał co to musiało być. Zrozumiał, gdyż przed nim ciągnęła się pustynna droga, zaś to światełko było światłem samochodowych reflektorów.

Wszedł na drogę, była tylko utwardzona; nawet nie asfaltowa. Wokół było cicho, o wiele za

cicho. Z reguły słyhać tu nocą odgłosy życia, czy to wycie kojota, czy to szelest biegnących lisków, a teraz nic. Brak pola osobistego powodował, że zrobiło mu się zimno. Przecież był tylko w kąpielówkach, które stanowiły dość oryginalny strój na nocny spacer po pustyni. Niestety, nic na to nie mógł poradzić. Co jakiś czas przystawał, podnosił głowę i uważnie lustrował niebo. Księżyc wyjrzał zza chmur i kaktusy wzdłuż drogi rzuciły długie cienie. Mimo że pojaśniało tylko przez chwilę, zdołał dojrzeć przed sobą na szosie jakiś kształt. Zmysł lokacji nie informował o żadnym ruchu. Na wszelki wypadek zszedł z drogi i począł zataczać duży łuk. Po dwustu metrach znalazł się na wysokości kształtu. Postanowił na razie posługiwać się konwencjonalnymi środkami, gdyż inne zużywały zbyt dużo cennej energii. Ostrożnie wczołgał się na wzgórek, po którego drugiej stronie biegła droga. Sunąc przeniósł na bok kilka kawałków zeschniętego kaktusa, gdyż bał się, że mogą pęknąć pod nim z trzaskiem. Telekinezja zaś była pewniejsza niż ręka. Kiedy był na szczycie spojrzął w dół. Kształt okazał się starym modelem ciężarówki „Forda”. A właściwie to nim kiedyś był, gdyż teraz przedstawiał sobą kupę złomu.

Adam podniósł się i zszedł na dół zapadając się po kostki w piasku. Od razu domyślił się co się stało. Zapadnięta skrzynia, zerwane zawieszenie, urwane i powyginane burty jednoznacznie wskazywały na przyczynę. Tylko broń grawitacyjna mogła sprawić, że szoferka nagle zaczęła ważyć zamiast jednej, dwadzieścia ton, a drzwi co najmniej pięć. Nic więc dziwnego, że zaczepy i śruby nie wytrzymały tego, załamując się i deformując. Najlepszym dowodem była urwana wycieraczka, która do połowy wbiła się w maskę wozu. Cóż, spadając musiała ważyć z pięćdziesiąt kilogramów. Cały zaś samochód był wciśnięty w grunt na dobrych kilkanaście centymetrów. Rozkraczone koła wystawały z podłoża pokrytego dużymi plamami smaru i oleju, wyciśniętego chyba ze wszystkich możliwych miejsc. Co do tego, co się stało z kierowcą, nie miał nawet najmniejszej wątpliwości, ale z obowiązku stanął na urwanym błotniku i zajrzał przez wciśniętą do środka szybę.

Kierowca był starszym człowiekiem i wyglądał na typowego farmera. Chociaż w obecnym stanie mało przypominał kogokolwiek. Jego twarz, wgnieciona w deskę rozdzielczą, była kredowo biała. Policzek przebijał kluczyk od stacyjki. Pozycja tułowia wskazywała, że kręgosłup jest złamany co najmniej w kilku miejscach. Nie chciał zaglądać niżej, ale był pewien, że nogi tworzą jeden krwiał, gdyż musiały w nich popękać naczynia krwionośne, kiedy pięć litrów krwi pod wpływem olbrzymiego przeciążenia wtoczyło się w uda. Wystarczył zresztą jeden rzut oka na zwisającą bezwładnie rękę. Kończyła się ona opuchniętą i czarną od skrzepów dłonią.

Adam puścił ramę i opadł na ziemię. Był wstrząśnięty bezsensownością tej zbrodni. Prawdą jest, że człowiek silniej reaguje widząc na własne oczy czyjąś śmierć, niż gdyby miał się dowiedzieć o śmierci milionów. Adam wiedział już, że obiekt udał się w

stronę tego światelka. Musiał natrafić na jadącego drogą Bogu ducha winnego farmera i jego także zaatakował bez pardonu. Tym razem jednak użył fali skierowanej zgodnie z natężeniem pola grawitacji ziemskiej. Dlatego samochód był wgnieciony w ziemię, a nie rozszarpany na kawałki. Tamten człowiek chyba nawet nie zrozumiał, co się stało. Cóż, po prostu miał pecha, że akurat wybrał tę opustoszałą pustynną drogę. Otrząsnął się z rozmyślań i ruszył dalej, gdyż do świtu pozostały tylko cztery godziny.

Dwa kilometry dalej znalazł się przed zaporą. Co prawda trudno było ją tak nazwać z racji tego, że nie była w stanie nikogo zatrzymać. Jej zadaniem było informować o tym, że ktoś ją naruszył. Informować naturalnie tego, kto ją założył i kontrolował. Adam musiał przyznać, że szczęście znów uśmiechnęło się do niego. Zapora była rodzajem nieaktywnego pola siłowego o malutkim potencjale. Gdyby nie to, że uczulił zmysł lokacji, z pewnością by jej nie zauważył. Zaś naruszenie pola wywołałoby ingerencję przybyszów, co było mu nie na rękę. Wolał sam dyktować warunki i ciągle liczył na element zaskoczenia.

Z miejsca, w którym obecnie stał, dostrzegał za wzgórkami, już po drugiej stronie bariery, lekki poblask. Przeczucie mówiło, że tam stoi ładownik. Spojrzał w górę, lecz próbę dostania się do środka z powietrza szybko uznał za bezsensowną. Pozostało jedno wyjście. Musiał sprawdzić, czy bariera ciągnie się również pod powierzchnią gruntu. Odetchnął kilka razy głębiej, jakby dla nabrania sił. Następnie uważnie obrócił kierunek, gdyż pod ziemią było to niemożliwe, a potem wyprostowany, powoli zagłębił się w piasku. Naturalnie, pod ziemią było zupełnie ciemno. Opuszczał się na głębokość dziesięciu metrów, wychodząc z założenia, że jeśli tam jeszcze natknie się na barierę, to głębiej nie będzie po co szukać. Na trzech metrach zaczynała się skała i było mu trudniej się poruszać. Aby to robić, musiał dostosowywać budowę molekularną swojego ciała do struktury ośrodka. Skała zaś była nieprzyjemna, gdyż ze względu na spoistość, musiał się przeciskać między jej cząsteczkami.

W miarę upływu czasu zaczynał odczuwać wręcz fizycznie ciężar gruntu nad sobą. Czuł, że jest w dobrej formie, ale myślał, że wystarczy aby zasłabł, a jego ciało momentalnie wtopi się w skałę, nie-dawala spokoju. Jakby nie było, nigdy jeszcze nie przesunął się w stałych ośrodkach tak długo jak teraz. Z ulgą dotarł do dziesiątego metra. Tu musiał się skupić. Ostrożnie przesunął się kilka centymetrów w stronę, gdzie jak zapamiętał, znajdowała się bariera. Nic nie czuł. Znów mały ruch i znowu nic. Zmysł lokacji pod ziemią pracował gorzej, ale na pewno na tyle dobrze, aby wyczuć potencjał. Jeszcze parę drobnych przesunięć i mógł stwierdzić, że obcy nie rozciągnęli swojej bariery sferycznie. Miał wolną drogę. Dla pewności posunął się jeszcze z metr do przodu i począł się wynurzać. Gdy jego głowa wychyliła się nad powierzchnię piasku, zatrzymał się. Miał rację, pole pozostało za nim. Zdając sobie sprawę jakże makabrycznie musi wyglądać sama głowa wystająca z piasku, uśmiechnął się do siebie. Gdy stanął na nogach i przestał dostosowywać ciało do ośrodka, owiało go chłodne powietrze pustyni.

–Ciekawe – pomyślał – że świat, w nawet najbardziej, wydawałoby się, emocjonujących dla człowieka chwilach, jest normalny i powszedni. Wiatr pozostaje wiatrem, a piasek tak samo chrzęści pod nogami.

Myślał tak, podchodząc pod szczyt wzgórza. Tam położył się ponownie dostosowując budowę molekularną ciała. Jednak tym razem zagłębił się, tylko na kilka centymetrów, gdyż oczy musiał mieć na powierzchni. Następnie lekko stopiony w grunt dotarł na szczyt i spojrzał w dół, na drugą stronę. Tam między pagórkami stał pojazd obcych. Miał on kształt dysku z trzema symetrycznie rozłożonymi u góry wybrzuszeniami. Jego średnicę szacował na jakieś dwadzieścia metrów. Każde z trzech wybrzuszeń wydzielalo na końcu dość jasne niebieskie światło. W jego promieniach uwijały się wokół dysku trzy kształty. Były to czarne półkule zaopatrzone w szereg wysięgników. Krzątały się wokół jakiegoś aparatu przypominającego obecnie dużą wannę. Adam wiedział, że porównanie jest głupie, lecz nie to go martwiło. Problem był w tym, że owa „wanna” wyglądała na broń i o ile się nie mylił, była to broń biologiczna. Najwyraźniej Obcy po wylądowaniu starają się zmontować uzbrojenie, którym skutecznie będą mogli zaatakować ludzi. Później mogliby szantażować Ziemię i ściągać haracz z jej mieszkańców. Nie mógł na to pozwolić. Aby lepiej widzieć, na moment uniósł się do góry. Krąg światła rzucanego przez dysk kończył się dziesięć metrów przed nim, na stercie kamieni. Sunąc kilka centymetrów nad piaskiem, ukrył się za nimi. Tu już mógł przestać dostosowywać ciało. Musiał chwilę odpocząć, gdyż lot na tak śmiesznie małej wysokości był wyczerpujący, a poza tym czekała go najcięższa próba.

Swoją uwagę skupił na robocie, który, Jak mógł dostrzec, posługiwał się emiterem ciepłym. Była to najbliższa półkula i jak sądził, tu miał największe szansę. Próbował wejść w kontakt z ośrodkiem programowania automatu, Łączność telepatyczna z urządzeniem wyprodukowanym nie przez ludzi, okazała się trudna. W pierwszej fazie kontaktu szukał analogii z ziemskimi urządzeniami. Gdyby ich nie znalazł, byłby bezradny, gdyż nie potrafiłby wydawać poleceń. A konkretniej, mógłby je wydawać, nie mając jednak najmniejszego pojęcia, jaki wywrą skutek. To tak, jakby ktoś nie znający języka, a znający tylko alfabet, próbował coś napisać, licząc, że litery akurat ułożą się w potrzebne słowo. Na szczęście analogie znalazł w funkcjach podstawowych. Potem, poziom za poziomem, doszedł do ośrodka sterowania i wydał rozkaz zatrzymania się. Na widok nieruchomiejącego automatu westchnął z ulgą. Wydał następne polecenie i z satysfakcją obserwował jak jego robot przystawia emiter spawarki drugiemu. Pod jej działaniem pancierz tamtego zaczerwienił się, a potem zbiegał, tocząc grube krople roztopionego metalu. Chwilę później w miejscu, gdzie stały obydwa roboty, uderzył w niebo snop ognia i iskier, zamieniając się po chwili w kłęb smolistego dymu, który walił z dwóch szerniałych szkieletów.

Teraz wypadki potoczyły się lawinowo. Trzy kopuły zaświeciły jaśniej, kierując światło w jego stronę. Najwyraźniej Obcy odebrali kontakt telepatyczny, a w każdym razie zrozumieli co się stało. Jednocześnie pod dyskiem pojawiła się jakaś sylwetka.

Adam myślał „sylwetka” nie

dlatego, że rozróżniał szczegóły, ale dlatego, iż był pewien, że ma przed sobą Obcego. Kształt nie dość że był w cieniu, to jeszcze światło kopulek przeszkadzało w jego obserwacji. Adam spostrzegł, że ostatni robot kieruje się w jego stronę. Próbował przez moment nad nim zapanować, ale było to bezcelowe. Obcy zabezpieczył się przed taką możliwością, przejmując zdalne sterowanie. Kiedy robota dzieliło od kryjówki Adama już tylko kilka metrów, zatrzymał się. Widząc to Adam teleportował się dwa metry w bok. W samą porę, gdyż sekundę później robot ciął kamienie promieniem lasera. Urządzenie to było prawdopodobnie przystosowane do prac górniczych, bo choć miało stosunkowo mały zasięg. Kamienie parowały wręcz w oczach.

Obcy jednak spostrzegł swoją pomyłkę, gdyż robot wyłączył emisję. Potem zaś obrócił się, a właściwie chciał się obrócić, kiedy Adam przeciął go wpół polem siłowym. Skwiercząc robot zarył w piasku. Wykorzystując zaskoczenie, chciał teraz teleportować w bezpośrednie sąsiedztwo Obcego i jego również unieszkodliwić, lecz nie zdążył. Poczuł, że się pali. Odruchowo teleportował się metr do tyłu, ale na próżno, gdyż momentalnie trafiła go następna kula ognia. Jego pole z trudem opierało się tak wysokiej temperaturze. Sprawcą był czarny pojazd, który teraz krążył nad nim pilnując, aby nie mógł uciec. Był to ten sam pojazd, który zaatakował go w powietrzu, a później zabił farmera. Adam miał nadzieję, że przed jego powrotem zdąży rozstrzygnąć walkę na swoją korzyść. Niestety – przeliczył się. Teraz musiał działać błyskawicznie. Wiedział, że teleportacja nic nie da, gdyż jej ograniczony zasięg nie pozwoli mu uciec spod kontroli pojazdu. Jeśli nawet ucieknie z jednego miejsca, to w drugim spotka go to samo. Zresztą jeśli będzie tak kluczyć, to prędzej czy później tamten wpadnie na pomysł użycia fal grawitacyjnych; a to byłby koniec.

Miał jedno wyjście. Aby osłabić uwagę przeciwnika zaprzestał skoków i udał, że się pali. Miał nadzieję, że jego pole osobiste to wytrzyma. Sądził, że Obcy w ten sposób nie będzie zwracał większej uwagi na komputer swojego pojazdu. Starał się skupić, nie zwracając uwagi na rosnące płomienie, gdyż Obcy dla pewności obrzucił go kolejnymi ładunkami plazmy. Próbował nawiązać łączność z komputerem, ale po kilku próbach zrozumiał, że nie da rady. Zbyt dużo energii pochłaniało mu pole siłowe. Niestety, jeśli je zmniejszy, to się spali. Był w kropce. Uczynił jeszcze jedną rozpaczliwą próbę, ale nadaremnie.

–Żebym miał choć trochę więcej energii – pomyślał rozgoryczony własną bezradnością.

W tej samej chwili poczuł jej ogromny przyływ. Miał wrażenie jakby zerwały się tamy i teraz olbrzymią strugą łąduje jego organizm. Zrozumiał. Jak mógł zapomnieć, że jest jednym z dwudziestu! Teraz układ całą swoją moc skierował na niego, a on był jakby zwornikiem pola całej dwudziestki. Mógł działać. Kontakt nawiązał w

oparciu o te same punkty zaczepienia co poprzednio. Komputer miał własny program, co Jeszcze bardziej ułatwiało zadanie. Skumulował energię i wysłał ją w postaci potężnego impulsu „staranuj statek”. Moment niepewności, ale Już poczuł, jak pojazd nabiera szybkości, lecąc w kierunku dysku. Poczuł też, Jak Obcy, który dopiero teraz trozumiął co się dzieje, stara mu się odebrać kontakt. Było to jednak niemożliwe, Adam prowadził pojazd jak po sznurku. Jeszcze sekunda, czy dwie, a powietrzem targnęła potężna eksplozja, a gwałtowny podmuch zdmuchnął z Adama ogień. Mogąc już widzieć sycił wzrok obrazem triumfu. W miejscu, gdzie stał statek, teraz wypiętrzył się grzyb dymu i ognia. U podstawy grzyba powoli topił się przełamany na pół dysk z wbitym w niego pojazdem. Ale po chwili i te szczegóły stały się niewidoczne, gdyż oba pojazdy Obcych zamieniły się w kupę płonącego żużlu.

Adam ocknął się tuż przed świtem, gdyż zmysł lokacji informował go, że zbliża się kilka pojazdów. Leżał na piasku i mówiąc szczerze, nie chciało mu się wstawać. Przyleciał tu trzy godziny temu, kiedy uciekał z miejsca lądowania Obcych. Uczynił to z dwóch powodów. Po pierwsze wiedział, że tak jasna eksplozja będzie zarejestrowana przez któregoś z satelitów wojskowych i można się spodziewać wizyty sił rządowych, na co nie miał najmniejszej ochoty. Nawiasem mówiąc sądził, że pojazdy, które wyczuł, są właśnie wojskowym patrolem. Po drugie, bał się zbyt dużego napromieniowania, o czym sygnalizował mu zmysł radiacji. Wiedział, że z tym co pochłonął jego organizm sobie poradzi. Wstał i wsłuchał się w jego rytm. Już po chwili mógł stwierdzić, że wszystko jest w porządku. Organizm usunął już prawie trzy czwarte napromieniowanych komórek i przypuszczalnie za jakieś dwie godziny będzie zupełnie czysty. Jediną konsekwencją będzie wzmożony apetyt w najbliższych dniach, kiedy nowe komórki będą się regenerować, bo napromieniowane odda wraz z moczem, kiedy tylko skończy się ich usuwanie.

Kiedy już się upewnił co do swojego stanu, nabrał głęboko powietrza i uniósł się w górę. Wiedział, że musi się spieszyć, aby przez nikogo niezauważony dostać się do domu. Zadanie wykonał. Ocalił Ziemię przed jednym z wielu niebezpieczeństw, jakie przynosi kosmos. Jeszczt nieraz on, czy któryś z pozostałej dziewiętnastki, będzie miał okazję potykać się z siłami rozumnymi czy z żywiołami, którym nikt z ludzi nie będzie w stanie się przeciwstawić. Zresztą i z samymi ludźmi jeszcze nieraz będą mieli kłopoty. A Jeśli któryś zginie, bo i tak bywa, to pozostali go zastąpią. Jego zaś miejsce zajmie ktoś inny. Ktoś, kto uzupełni układ do pełnej dwudziestki. Nie wiadomo kto to będzie, gdyż on sam tego nie wie, do momentu, kiedy zrozumie, że istnieje dwudziestka, a on jest jej jedną dwudziestą. A wtedy już będzie kimś innym niż przedtem i na pewno nikomu z ludzi niczego nie powie. Gdyż ludzie nigdy się nie dowiedzieli i na razie nie dowiedzą o dwudziestce. Są jeszcze na to zbyt młodzi i zbyt impulsywni.

Tak myśląc Adam wracał do domu. Do domu, w którym dzisiaj, kwadrans po północy, został wybrany do dwudziestki...

W PRÓŻNI NIE SŁYCHAĆ TWEGO

KRZYKU

Wstęp jest taki

Lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte i osiemdziesiąte dwudziestego wieku były erą paliw chemicznych. Te ostatnie odegrały w kosmonautyce olbrzymią rolę, pokazując, że człowiek może polecieć w kosmos, osiągnąć Księżyc i innych planet naszego Układu Słonecznego. Jednak tym samym ujawniły swoją największą słabość: dysproporcję między masą a uzyskaną energią.

Istnieje w kosmonautyce parametr zwany impulsem jednostkowym, będący wartością siły ciągu przypadającej na zużywaną w jednostce czasu masę paliwa. Już Ciołkowski wykazał, że ma on zasadnicze znaczenie przy lotach kosmicznych. Aby silnik był w stanie nadać ciału prędkość podświetlną, a tylko taka może zapewnić ludzkości dalszą ekspansję, powinien on mieć impuls rzędu 10^7 . Niestety – nawet najbardziej wypieszczone silniki chemiczne, pracujące na wolnych rodnikach, nie były w stanie wyciągnąć ponad 1400. Korzystając z nich człowiek nie mógłby się nigdy oderwać od Słońca i ruszyć ku gwiazdom.

Połowa lat pięćdziesiątych przyniosła dawno oczekiwane silniki jonowe, plazmowe i fotonowe. Dwa pierwsze nie dawały jednak impulsu większego niż 10^4 , a na dokładkę silnik jonowy miał śmiesznie małą siłę ciągu, rzędu jednego Newtona. Co do silnika fotonowego, osiagającego wymagane $3 \cdot 10^7$, zdyskredytowały go dwie wielkie katastrofy. Pierwsza w 1998 roku nad Wielkim Kanionem Marsa i następna rok później, która całkowicie zniszczyła wokół-ziemską stację orbitalną „Tos”. Kiedy wydawało się, że nic nie uratuje kosmonautyki przed stagnacją i długimi latami dreptania w miejscu, wybuchła przysłowiowa bomba. Silnik grawitacyjny i nadchodząca wraz z nim mechanika grawitacyjna. Zafascynowany świat z dnia na dzień dowiadywał się o jej coraz to nowych osiągnięciach. Badania prowadzone dotąd w najgłębszej tajemnicy ujrzały światło dzienne, intrygując swoimi możliwościami. W 2003 roku japoński fizyk Yamo i węgierski matematyk Hol wspólnym wysiłkiem stworzyli teorię skoku. Jej owocem miała być możliwość podróży w naszym wszechświecie na dowolną odległość. Obiekt wykonujący skok, na dobrą sprawę nie naruszałby granicznej prędkości światła, gdyż swojego przemieszczenia dokonywałby momentalnie i nie było jakiegokolwiek chwili, o której można by było powiedzieć, że znajduje się on pomiędzy miejscem startu i celem. Mógł się znajdować tylko tam, bądź tu, nigdy gdzie indziej.

W 2008 roku dokonano pierwszego udanego eksperymentu, a dwadzieścia lat później Ziemia posiadała już trzydzieści takich jednostek. Trzeba wam wiedzieć o

jednym: do każdego skoku potrzebna jest olbrzymia ilość energii. Taka, że początkowo wydawało się, iż nie znajdzie się żadne źródło, które jej dostarczy. Ale wtedy ponownie pomogła grawitacja. Posługując się techniką pól krępujących, skonstruowano w 2015 roku coś w rodzaju „czarnej dziury”. Był to niewielki obszar czasoprzestrzeni wielkości piłki plażowej. Mając prawie idealnie nieprzepuszczalny horyzont zdarzeń, pochłaniał wszystkie rodzaje promieniowania, ze stratami poniżej jednego promila. Nie posiadający masy własnej był łatwy do zainstalowania w statkach i miał niesamowite zdolności akumulowania energii. Okres ładowania tego akumulatora był uzależniony od natężenia promieniowania elektromagnetycznego w miejscu, gdzie się znajdował. Niestety – prawa przyrody powodowały, iż przy każdym skoku rozładowywał się całkowicie, bez względu na to ile energii posiadał. To sprawiało, że przed powrotem należało jej zapas uzupełnić, co nie będzie bez znaczenia dla tej opowieści.

Początek jej jest taki

W 2038 roku wysłano XXXII wyprawę rekonesansową do gromady kulistej M3, leżącej w gwiazdozbiorze Psów Gończych. W skład załogi wchodził: dowódca w funkcji nawigatora Tom Skatton, dwadzieścia siedem lat lotów, odznaczenie za uratowanie piątej stacji wenusjańskiej i dwie złote gwiazdy; technik-łącznościowiec Jan Stasiak, były członek załogi „Spirali”. W czasie katastrofy nad Arktyką jako jeden z pięciu uratował się z ponad dwustuosobowej załogi. Odznaczony złotą gwiazdą. Drugi pilot Karl Homes, dwanaście lat służby w „Kosmonii” i geofizyk Roger Bose, piąty rok służby w kosmosie.

Załoga była ceniona przez Zarząd i wiele się spodziewano po jej badaniach. Mieli na nie, zgodnie z programem, miesiąc czasu. Ale już piętnaście godzin od wejścia w skok dyżurny kosmodromu Tycho ze zdziwieniem stwierdził obecność jakiegoś statku w sektorze powrotów; dziesięć tysięcy kilometrów od powierzchni Księżyca, Była to „Noc”, statek XXXII wyprawy rekonesansowej. Jednostki holownicze podprowadziły go do trzeciej stacji księżycowej. Z Ziemi przybyło dwóch wiceprezesów Stowarzyszenia, aby osobiście nadzorować procedurę awaryjną. Próby kontaktu radiowego nie przyniosły efektu, mimo iż wizualnie statek był nienaruszony. Po zaciśnięciu kołnierza hermetycznego, specjalny oddział szperaczy otworzył luk i rozciął właz wewnętrzny za pomocą mikroanihilatora.

Wewnątrz wszystkie urządzenia pracowały normalnie. Zapis komputera wskazywał, że statek dokonał skoku i jest obecnie na pozycji wyczekującej. Jednym co mąciło spokój, były niesamowicie okaleczone zwłoki nawigatora i geofizyka, znalezione w komorze ciśnień; zaś za rozprutymi drzwiami sterówki znaleziono nieprzytomnego technika w stanie agonalnym. Czwartego członka załogi Karla Homesa nie odnaleziono mimo przeszukania całego statku. Później, przy dokładniejszym zbadaniu komputera, okazało się, że ma on zmienioną procedurę skoku. W efekcie tego statek zamiast znaleźć się w Psach Gończych, był w zupełnie innej części wszechświata. W mgławicy NGC 6992, znajdującej się w gwiazdozbiorze Łabędzie.

Przypomniano sobie wówczas, że zaginęła tam dwa lata wcześniej XXVIII wyprawa rekonesansowa. Dość szybko skojarzono, że główny programista „Nocy” miał w niej brata i ktoś inny jak nie on, mógł zamienić programy. Niestety, w chwili aresztowania siły porządkowe, nie spodziewające się oporu, zaniedbały środków ostrożności i podejrzany Ross Splinter popełnił samobójstwo skacząc z okna swojego mieszkania. W takiej sytuacji ostatnią nadzieją pozostał Jan Stasiak. Mimo wielu starań nie udało się przywrócić mu świadomości, ale w trakcie badań znaleziono w żołądku technika płytkę chryzotową. Jest to drobiazg wielkości paznokcia, na którym można zarejestrować wielogodzinne przemówienie. Zgodnie z przypuszczeniami była nagrana i po odtworzeniu otrzymano ponad półgodzinną relację, która, co tu dużo mówić, jeszcze bardziej zagmatwała sprawę.

Na jej podstawie została sporządzona poniższa wersja wypadków.

Światelka kontrolne mrugały w sennym rytmie procedury skoku. Tom przechylił głowę, sprawdzając pole rozwijające, które dostarcza energii. Wszystkie odczyty były prawidłowe. Jan, jak zwykle, gdy się denerwował czuł drapanie w gardle. Przełknął ślinę zirytowany tym irracjonalnym lękiem. Dwaj pozostali leżeli spokojnie z założonymi rękoma. W zegarze przesuwiał się już tylko rząd sekund.

–... 10, 9...

–Do startu, gotowi... – usłyszeli cichy szept Rogera.

Zachichotali z uznaniem.

–... 1, 0! – błysnął monitor.

–Procedura skoku zakończona – rozległ się miękki głos.

Momentalnie wypełnili ciszę swoimi głosami. Podnosili leżanki, nadając im kształt foteli. Z trzaskiem chowały się pasy, unosiły podglówki.

–Uwaga! Wyjątek od procedury – spłynął na nich donośny tym razem głos komputera.

Jeszcze nie dowierzając obracali twarze do monitora. Nigdy im się nie zdarzyło słyszeć powyższych słów na własne uszy.

–Zostanie teraz podany komunikat.

Spoglądali na siebie nie mając pojęcia co się dzieje. Tom podszedł do głównego pulpitu, ale od zablokowania komputera powstrzymał go męski głos.

–„W momencie, kiedy komputer odtworzy ten zapis będziecie się znajdować w mgławicy gwiazdnej NGC 6992. Osobą, która to sprawiła jestem ja, Ross Splinter, główny programista waszego komputera. Dzięki swojej funkcji udało mi się zmienić procedurę skoku i przygotować niniejszy komunikat. Wszystko to zrobiłem dlatego, iż mój brat Ernest zginął razem z całą XXVIII wyprawą w tym miejscu, gdzie się obecnie znajdujecie. Oficjalnie władze uznały, że popełniono błąd przy wyborze koordynant punktu docelowego, w wyniku czego ich statek miał przenieść się do wnętrza gwiazdy i ulec zniszczeniu. Bzdura! Sprawdziłem procedurę XXVIII wyprawy i jestem pewien, że znaleźli się w otwartej próżni. Niestety, nikt mi nie uwierzył i nie zdecydowano się na wysłanie wyprawy ratunkowej. Ja zaś przejrzałem plany lotów Stowarzyszenia i stwierdziłem, że najbliższą wyprawę w tę część wszechświata planuje się dopiero za dwadzieścia lat – głos lekko zadrgał.

–Rozumiecie? Dlatego, was tu przeniosłem. Chcę, abyście sami się przekonali, co się stało z tamtą wyprawą i moim bratem. Może jeszcze zdążycie. Jeśli nie wrócicie w ciągu tygodnia, zawiadomię o swoim występku władze i wtedy z pewnością wyślą wyprawę ratunkową. Koniec zapisu. Dalej postępowanie zgodnie z procedurą” – ostatnie słowa należały już do automatu.

–Położenie przestrzenne, analiza wariant B – powiedział Tom podjeżdżając do pulpitu.

–Odszukaj dane skoku XXVIII wyprawy i porównaj z własnymi danymi. Ustal zgodność.

Zagłębił twarz w okularze. Chroniąc oczy od światła pomieszczenia, lepiej widział szczegóły. Kiedy pracował, pozostała trójka rozsiadła się w fotelach, rozgryzając sytuację. Sami nie zdawali sobie sprawy, że byli ludźmi lubiącymi w samotności rozważać postawione problemy. Takich w kosmosie było najwięcej; inteligentnych samotników.

Roger starał się sobie przypomnieć, jak wyglądał Splinter. Ale twarz programisty nie mogła się zestalić w konkretny portret. Pamiętał tylko, że miał katar i wszędzie wpychał swoje chusteczki higieniczne. Wydmuchiwał w nie nos, związał je w kulkę i wciskał w każdy kąt. To Roger pamiętał dobrze, ale nic więcej. Jan obserwował Karla, który nawet chyba o tym wiedział i z przekory kreślił coś obojętnie po kartce. Raptem znieruchomiał z oczyma utkwionymi w świstku,

–Cholera – zaklął i spojrzał na tamtych.

–Masz coś? – spytał zaintrygowany Roger.

–Patrzcie, co mi się napisało – pokazał im kartkę, gdy podeszli bliżej. – Naprawdę nigdy nie zdarzyło mi się coś podobnego.

–„Zginę pierwszy” – przeczytał Jan. Popatrzyli na Karla z wyrzutem, a Robert popukał się w czoło.

–Głupi dowcip – dodał i wrócił na swoje miejsce.

Karl pewnie by się buntował, gdyby nie usłyszeli dowódcy. Miał twarz śmiertelnie poważną.

–Facet mówił prawdę – pokazał monitor ścienny.

–Zgodność parametrów skoku wyprawy XXVIII i XXXII jest stuprocentowa. Jan aż zagwizdał z wrażenia.

–Co wy na to? – spytał Roger. Tom przeczesał dłonią włosy i przysiad na pulpicie.

–W odległości jednostki astronomicznej znajduje się gwiazda typu widmowego F1, posiada jedną planetę w odległości trzech czwartych jednostki astronomicznej. Jest to duży glob. głównie wodór, amoniak, ślady metanu i pary wodnej. Średnia gęstość trochę większa niż dla wody. Wokół planety krąży satelita. Średnica około 500 kilometrów. Ma zadziwiająco dużą gęstość i co jeszcze ciekawsze – rzadką atmosferę. Komputer! Zbliżenie panoramiczne satelity – rozkazał.

Automat służalczo szybko wypełnił rozkaz, zapełniając ekran tłem gwiazd, wśród których wisiała sylwetka satelity. Atmosfera, jaką posiadał, nadawała mu lekko zielonej poświaty; nieprzyjemnej, a w każdym razie obcej dla ludzkiego oka. Chwilę patrzyli na jego powierzchnię. jedynie Roger coś sprawdzał na odczytach. Czekać nie musiał długo, gdyż przystawka już wypluwała wydruk. Spojrzeli z ciekawością.

–Przy tym natężeniu pola możemy naładować akumulator w ciągu dziesięciu godzin. Naturalnie bliższe podejście do Słońca skróciłoby ten okres o kilkanaście minut.

Tom podłubał pisakiem w uchu, a potem wyjął go i z uwagą obejrzał końcówkę.

–Naturalnie wracamy jak tylko będzie można. Ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy spróbowali stwierdzić, co się stało z dwudziestą ósmą – zaproponował.

Karl wzruszył ramionami i wyłączył się z rozmowy, ponownie studiując swoją kartkę z wyrocznią.

–Jest jedno źródło pochodzenia sztucznego. Położenie: satelita – niespodziewanie odezwał się komputer.

Tom aż się poderwał.

–Komputer, w jakim celu podałeś tę informację? – spytał oblizując wargi.

–Była to odpowiedź na pytanie. Rozejrzeli się wokół, sprawdzając czy się nie pomylili.

–Co on, głupieje? – mruknął Jan. – Przecież nikt go o nic nie pytał.

–Komputer. Odtwórz pytanie – syknął Tom.

Moment zawieszenia i popłynął głos bez wątpienia należący do dowódcy.

–Komputer. Czy w pobliżu znajduje się jakieś źródło radiowe pochodzenia sztucznego?

Tomowi aż opadła szczęka. Inni mieli miny niewiele mądrzejsze.

–Ja nic takiego nie powiedziałem – wyszeptał.

Starając się ukryć zirytowanie, potrząsnął głową.

–Może zrobiłeś to bezwiednie – zasugerował cicho Jan. Roger machnął lekceważąco ręką.

–Przecież byśmy usłyszeli.

Dyskusja utknęła w miejscu, gdyż Tom podszedł do monitora i przyglądał się satelicie. Stał tak chwilę, twarz w twarz z jego powierzchnią.

–Dziwna okolica – powiedział. – Wolałbym już być na Ziemi.

Później włączyli pole na maksymalne pochłanianie energii i ruszyli ku obiektowi, na którym istniało źródło promieniowania radiowego, nadające bezustannie sygnał do złudzenia przypominający kod wywoławczy Stowarzyszenia Astronautycznego. Pięć godzin później weszli na parkingową, tuż nad miejscem, gdzie pracował nadajnik. Przekonani o jego ziemskim pochodzeniu, chcieli jak najszybciej zejść lądownikiem. Sądziли naiwnie, że każda minuta może być droga. Właśnie wtedy to się zaczęło.

Jan i Karlem wciągnęli już Skafandry i Roger sprawdzał uszczelniacze. Kiedy założyli hełmy, Jan szarpnął Rogera za rękaw.

–Co to jest, u licha? – spytał i mimo że głos był stłumiony, słyhać było w nim lęk.

Jan wskazywał na fotel stojący przy pulpicie. Wydawało się, że widzą blady i zwiewny zarys ludzkiej postaci, zarys tak niewyraźny, że nie byli pewni swego wrażenia. Podbiegli bliżej. Naturalnie fotel był pusty, Roger położył dłoń na siedzeniu.

–Ciepłe, cholera – stwierdził. Tom chwycił go za ramię i wręcz odepchnął do tyłu. Przesunął dłonią po plastyku.

–Bzdura! – warknął. – Jest chłodne! Słyszeliście chyba o sugestii. Prawda?! Był zły jak nigdy.

–Czy to ty? – spytał Karl Rogera. Ten zrobił wielkie oczy.

–Co ja? – odparł.

–O co chodzi? – Tom był wściekły. – Co kombinujecie?

–No... ktoś uderzył mnie w ramię. Wyraźnie poczułem!

Tom czerwieniał po czubki włosów i widać było, że z trudem hamuje w ustach jakieś słowo.

–Założyć hełmy i do lądownika. Wykonać!

Karl jeszcze chciał się tłumaczyć, ale Jan chwycił go za rękę kładąc palec na ustach. Karl wzruszył ramionami i coś zamruczał do siebie.

Jasny korytarz zaprowadził ich do wjazdu, za którym tkwił grawilot. Przez okolone lampkami wejście przemknęli do środka. Wcisnęli się w fotele, zatrząsk Karla chwycił dopiero za trzecim razem. Jan poczekał, aż się upora z opornym przedmiotem i wystukał na klawiszach procedurę startu. Zatańczyły światełka i po chwili kalkulator pokładowy zasygnalizował, iż przejął program lotu od komputera -matki. Sprawdzili łączność. Wszystko było w porządku, nawet głos Toma się uspokoił. Życzył im powodzenia. Podziękowali. Płynnie, bez przeciążeń wypłynęli z wnęki cumowniczej w ciemny kwadrat próżni. Słońce podobne było do ziemskiego, tylko trochę większe i jaśniejsze. Zastłaniała je, pozornie wielka tarcza globu, będącego tutejszym odpowiednikiem Jowisza. Wyraźnie było widać warstwową budowę atmosfery, przez którą snuły się długie warkoczce dymu wybiegające z niższych warstw gazu. Ku północy planeta ciemniała ukazując jakby przybrudzoną powierzchnię.

W szóstej minucie lotu grawilot przechylił się do przodu. Sylwetka satelity momentalnie wskoczyła na ekran. Karl chwycił manetki, gotów w każdej chwili przejąć prowadzenie. Ale na razie automat schodził równo, ku podnóżu niewielkich, obłych wzgórz.

–Ciężenie równe połowie ziemskiego – odczytał Jan. – Co ta bestia ma w sobie?

Sygnał dochodził z małej i płaskiej doliny, zamkniętej z północy kraterem o rozmytym brzegu: inne, mniejsze, zaścielały prawie całą nieckę z wyjątkiem zbocz, które szarymi tarasami spadały ku zagłębieniu. Pośrodku widzieli jaśniejszą plamę gruntu, której odgałęzienia, jak macki rozchodziły się na boki.

Karl ujął stery bardziej ufając sobie niż automatowi. Poza tym, nie miał zamiaru siadać na nadajniku, co niewątpliwie uczyniłby autopilot. Tam gdzie lądowali wstawał właśnie dzień. Nisko wiszące słońce wywoływało długie i gęste cienie, lekko, wręcz niedostrzegalnie rozmyte rzadką atmosferą. Schodzili do lądowania i horyzont, jak zawsze na małych obiektach, błyskawicznie skoczył w górę. Kompensator był bez zarzutu, gdyż delikatnie osiedli w pyle.

–Tom. Wszystko przebiega planowo – mówił Karl, połączony z radiem kablem skafandra. – Jesteśmy około dwustu metrów od nadajnika.

–Dobrze – zachrypiało w głośniku. – Niech jeden zostanie, a drugi się rozejrzy. Co widzicie?

–Jest tam coś, co wygląda na obelisk albo blok skalny o regularnym kształcie. Więcej nie widać, bo słońce świeci z jego strony.

–Rozumiem – odparł Tom. – Te paskudne zakłócenia wywoływane są przez planetę. Ma dużą radiację. Skończyłem.

Karl wyjął łącze z nadajnika i wstał tak szybko, że Jan zrozumiał, że to nie jemu przypadnie rekonesans. Aby to sobie odbić, zrobił oko do Karla.

–Uważaj aby cię tam nic nie obmacywało – powiedział ze zgryźliwym uśmiechem.

Karl, który już otworzył właz, zatrzymał się i obrócił matową szybkę hełmu w jego stronę. Jan zobaczył odbicie własnej sylwetki.

–Ja naprawdę poczułem dotknięcie – usłyszał jego głos.

Zanim pozbierał myśli, Karl odszedł już kilkanaście metrów. Sunął pewnym krokiem, podnosząc leciutko mgiełkę pyłu. Grunt był w zasadzie ziarnisty, ze smolistymi smugami cieni rzucanymi przez maleńkie niby-wydmy. Przyspieszył kroku, nie przyznając się, że robi to ze zwykłego strachu. Kartka, na której nabazgrał idiotyczną wróżbę, jak i późniejsze zdarzenia upewniały go, że coś jest nie w porządku. Krajobraz pogłębiał wrażenie swoją jednostajnością. Był czymś pośrednim między monotonią gładkich wydm Marsa a drapieżnością skał i kraterów Księżyca.

Już po kilkudziesięciu metrach miał pewność, że w rozmowie radiowej nie popełnił omyłki. Kształt, który dostrzegł z grawilotu faktycznie był skalnym obeliskiem w kształcie prostopadłościenną kolumny. Miała około dziesięciu metrów wysokości i widniał na niej jakiś napis.

–Jan słyszysz mnie?! – powiedział do mikrofonu, lecz radio odpowiedziało jedynie trzaskami.

–Jan, odbiór – powtórzył próbę, spoglądając za siebie na dobrze widoczną żółtą plamę grawilotu.

Niestety, zakłócenia, o których mówił Tom, były tak silne, że wygaszały fale. Oczywiście Karl nie mógł wiedzieć, że Jan słyszy jego głos i nie mogąc nawiązać kontaktu, siedzi w napięciu.

Ruszył dalej. Cień kolumny przesłonił słońce. Karl zmniejszył zabarwienie szybki hełmu, aby lepiej przyjrzeć się płycie. Litery były złote, wryte w kamieniu i wypełnione świecąca farbą. Przeczytał, przełknął ślinę i przeczytał po raz drugi, starannie i z uwagą.

–„Niebezpieczeństwo” – głosił napis w języku angielskim.

Zrobiło mu się gorąco i musiał obniżyć temperaturę w skafandrze. Postanowił obejść obelisk z tyłu w nadziei, że natrafi na coś jeszcze. Bryła skalna była tak obca temu otoczeniu, że czuł mrówki zimna biegające po plecach. Powierzchnia kamienia po drugiej stronie była czysta i już miał zawrócić, gdy dostrzegł czerwony kształt leżący kilka metrów dalej, w poprzek małego krateru. Był to bez wątpienia człowiek. Kierowany impulsem podbiegł do leżącej postaci i uklęknął zaglądając w szybkę hełmu. Twarz mężczyzny była nieruchoma, nie znał jej. Na rękawie widniał emblemat Stowarzyszenia. Raptem mężczyzna ruszył ręką i zaskoczony tym Karl spojrzął mu w twarz. Tamten oczy miał otwarte: chłodne i śliskie. Zaintrygowany pochylił głowę, aby lepiej się przyjrzeć i ujrzał, jak ów odchyła zęby w obrzydliwym, złym uśmiechu. Zmroziło to Karla i chciał cofnąć głowę, ale nie zdążył. Tamten jedną ręką odbezpieczył zamknięcie hełmu, a drugą zerwał mu go z głowy. Uwolnione powietrze trysnęło pióropuszem błyskawicznie zamarzającej pary. Karl krzyknął, ale strumień bluzgającej z ust purpury zdusił słowa. Pękające naczynia krwionośne zalały cały skafander i w chrzęście zamarzającej krwi upadł na to, co było jego twarzą. Nogi wierzgnęły tylko raz i znieruchomiały, a rozrzucone ręce wyglądały jakby obejmowały coś wielkiego i niewidocznego. Do jego zaciśniętej pięści począł mozolnie pelzać cień kolumny.

W grawilocie układ ochrony biologicznej począł cienko zawodzić. Informował o uszkodzeniu skafandra. Jan zgłupiał. Chciał zawiadomić Toma i biec na ratunek, a w efekcie miotał się dezorientowany. Trzaski w radiu zerwały łączność, ale minęła dobra minuta zanim to zrozumiał, zaciekle wywołując statek. Potem chwycił namiot powietrzny i butle. Nie zamykając wjazdu, pobiegł przed siebie ku kolumnie.

Ciężko się biegnie w słabej grawitacji z ciężarem, czując, jak co chwilę stopa grzęźnie w żwirze podłoża. Patrzył pod nogi przez kołujące kręgi omamów i tłukło mu się po głowie jedno, a może dwa słowa.

–Wróżba. Przeklęta wróżba!

Zobaczył Karla i upuścił zbędny teraz bagaż.

–Boże! Dlaczego on to zrobił? – myślał, patrząc na zamarzniętą krew, która leżała mniejszymi i większymi plamami wokół głowy Karla.

W największej kałuży tkwił on sam.

–Dlaczego zdjął hełm? Dlaczego?! Wydawało mu się, że zaczyna rozumieć.

–Chciał popełnić samobójstwo. Karta, którą napisał...

Lecz zaraz się zreflektował.

–Kto! On miałby to zrobić?!

Zaśmiał się chrapliwie. Klęcząc obok kolumny opierał się o kamień całym ciężarem i walił kulakami w ziemię. Sprowokowany jakąś myślą uniósł oczy, chcąc spojrzeć na zwłoki. Gdy to uczynił, poczuł jak włos jeży mu się na głowie. Na piasku obok porzuconego hehnu, gdzie niczego przedtem nie było, tkwił odcisnięty ślad stopy. Ale najgorsze było to, że drugi identyczny odcisnął się na jego oczach. Potem jeszcze jeden i następny. Ktoś, bądź coś niewidzialnego stąpało w jego stronę. Trzymając się kolumny, Jan uniósł się na nogach. Ślady były coraz bliżej, mimo iż z uporem starał się dostrzec nad nimi czyjąkolwiek sylwetkę. Gdy podeszły na dwa metry, nie wytrzymał i bełkocząc rzucił się do ucieczki. W panice zawadził o kant kolumny, runął w piach, ale wstał i nieledwie na czworakach pognął przed siebie. O mało nie oszalał, kiedy po kilkadziesiąciu metrach stwierdził, że ślady biegną trop w trop za nim. Dusił się w biegu, zapominając zwiększyć dopływ tlenu. To coś za nim było coraz bliżej.

Wręcz po omacku wskoczył do grawilotu, zatrzasnął klapę i przywarł do niej plecami, chcąc się bronić za wszelką cenę. Oszalałe serce dopominało się o swoje prawa. Na monitorze ukazującym bezpośrednio otoczenie pojazdu ujrzał, że ślady zatrzymały się przy włazie. Były zaraz za nim! Dzielili go od nich tylko warstwa metalu. Na myśl o tym rzucił się do pulpitu i wystrzelił w górę startem alarmowym. Tym razem przeciążenie cisnęło nim w fotel i najwyższym wysiłkiem, pokonując ciężar ciała, włączył autopilota.

Był dziesięć kilometrów od satelity i to było dla niego najważniejsze. Uciekał, cały czas uciekał.

Wywoływać „Noc” zaczął dopiero po kilku minutach. Zawsze trudniej jest wciskać klawisze w rękawiczkach, ale bał się je zdjąć, aby nie rozhermetyzować skafandra. Pocił się i nawet nawiew z hauby nie mógł ochłodzić czoła

–Tom, słyszysz mnie?! – krzyczał, wciskając na oślep łącze.

–Tom, Tom odbiór!

Czuł, że coś mu pęknie w środku, jeśli nie usłyszy odpowiedzi. Ale usłyszał.

–Jan, słyszę cię. Co się stało?

Jan wykrzyczał do mikrofonu swoją historię.

–Ja się boję, rozumiesz?! Boję się. Jeśli to są istoty rozumne, to przewyższają nas o niebo i nienawidzą nas, rozumiesz?... – wołał.

Tom starał się przerwać lawinę słów, ale dopiero po dobrej chwili mu się to udało.

–Uspokój się do jasnej cholery! Weź się w garść.

Twarde słowa przywracały rzeczywistość. Ściskając udami dłonie powoli się uspokajał, a w każdym razie odzyskiwał zdolność myślenia. Kanciasta bryła „Nocy” zapełniła ekran. Za minutę będzie mógł cumować. Już widział oświetlony otwór, skąd wyleciał godzinę temu.

–Janku? Czy już doszedłeś do siebie? – usłyszał głos Toma.

Opanował skurcz szczęki.

–Tak... sądzę, że tak.

–To dobrze! Chcę ci zadać jedno pytanie. Głos Toma był spokojny, za spokojny.

–Słuchaj, czy jesteś pewien, że to, co cię ścigało, a nie wątpię, że tak było czy to, nie dostało się do grawilotu?

Jan poczuł jak krew uderza do głowy nową falą ukropu. Pochylając się do przodu złapał się na tym, że nie ma odwagi popatrzeć za siebie.

Dopiero spojrzenie w zgaszony ekran monitora, gdzie odbijały się znajome kształty, dodało mu otuchy. Kabina grawilotu była tak mała, że z łatwością mógł całą objąć wzrokiem. Wszystko było jak zwykle.

–Janku? Co z tobą? – ponaglił Tom.

–W porządku, wszystko w porządku – mówił, omiatając wzrokiem ściany. – Wszystko w porządku – powtórzył bezwiednie.

Tom znów go wywołał.

–Wchodź do śluzy. Wysłałem Rogera, aby ci pomógł dojść do siebie.

–Dobrze, dziękuję – odparł. – Wchodzę do śluzy.

Wleciał w otwór. Kalkulator był bezbłędny, gdyż cumy zaskoczyły za pierwszym razem. Przełączył automatykę na bieg jałowy i przeszedł do drzwi ostrożnie stawiając stopy, aby przypadkiem czegoś nie potrącić. Stał przed srebrną taflą rozsuwanego wyjścia. Po dotknięciu klawisza umknęło na boki To, co zobaczył sprawiło, że całym ciałem przywarł do framugi. Po drugiej stronie przedsionka, nie większego niż kabina grawilotu, stał wciśnięty w kąt Roger. W jego wytrzeszczonych oczach majaczył strach, jakiego Jan nigdy nie widział. Nie zważając na kapiącą z ust ślinę, bezskutecznie wciskał klawisz uruchamiający zamknięte drzwi od korytarza. Nie otwierały się, chociaż powinny. Między nim a Janem tkwiła zwiewna i bezkształtna plama świetlna, przyprowadzająca ich obojgu o szaleńcze przerażenie. Wiało od niej czymś chłodnym i obcym. Gdy stała, wydawało się, że dotyka głową sufitu. Głową,

gdyż swym kształtem najbardziej przypominała ludzką sylwetkę. Jan uniósł wzrok i odniósł wrażenie, że z góry spogląda na niego para oczu. Wydawało mu się, że widzi je zupełnie dokładnie, ale już po chwili nic nie dostrzegał. Jedynie ręce i nogi miał zdrętwiałe nie mogąc uczynić ani kroku.

Nagle kształt skurczył się i dosłownie runął na Rogera. Ten zaskowyczał, zasłaniając się rękami. Zaraz potem Jan usłyszał nieludzki wrzask do szpiku kości świdrujący ciało. Wydał go Roger, z którego buchnęły żółte płomienie. Jego ciało paliło się tak jakby było przesączone czystym spirytusem. Czarne kłęby dymu uniosły się pod sufit. Sylwetka Rogera złamała się i upadła w kąt, już po chwili przestając przypominać człowieka. Zaskwierczało i płomień zniknął. Z czarnego tłumoka unosił się mdlący swąd i na tle okopconej ściany ponownie zawisł świetlisty kształt. Jan poczuł, że odzyskał władzę w rękach. Chwycił wiszący na ścianie miotacz i wyginając zaczepy, zerwał go ze ściany. Nie celując rąbnął cały ładunek w zjawę. Miotacze tego typu służą do awaryjnego przebijania drzwi i nic dziwnego, że od wystrzału zatrzęsł się przedsionek, a w ścianie pojawiła duża wyrwa z zastygającymi bąblami metalu. Widmo nawet nie zmieniło położenia. Potem poczęło się zmniejszać do wymiarów małej kulki, która zniknęła w uszkodzonej ścianie. Miotacz Jana stuknął o podłogę, a on sam zataczając się podszedł do dziury i delikatnie wysunął głowę na korytarz. Zjawy nie było.

Przez jasno oświetloną przestrzeń biegł w jego stronę Tom. Zanim dotarł do Jana ten zdążył prześlizgnąć się na korytarz. Tam, sunąc rękoma po ścianie przylgnął do framugi. Tom tylko zajrzał do przedsionka, a potem z pobladałą twarzą oparł się o ścianę i zwymiotował, krztusząc się śliną i powietrzem. Potem włócząc nogami poszedł w stronę sterówki. Jan odpiął hełm i podążył za nim. Wydawało mu się, że na ścianie zostawił ściekającą plamę krwi. Szarpnął głową, lecz biały plastik był czysty. Przeszorował skronie grubymi rękawicami, aż do bólu.

Dopiero po kilku następnych krokach zrozumiał, że Tom idzie do zbrojowni. Swoją nazwę zawdzięczało pomieszczenie ręcznym miotaczom, mikroanihilatorom i innym urządzeniom przechowywanym dla prac geologicznych, bądź metalurgicznych. Było wiadomo, mimo iż oficjalnie o tym nie mówiono, że mogą one pełnić rolę uzbrojenia w wypadku czyjegoś ataku.

Tom rozsunął drzwi i zdjął ze ściany dwa anihilatory. Jan chwycił podaną mu kolbę i zamocował w uchwycie na torsie. Zerwał bezpiecznik mocy, przesuwając suwak na maksimum. Wyszli. Tom niósł dużą, plastikową płachtę. Szeleściła, drażniąc ich uszy. Wentylacja, która usunęła odór, pozwoliła na wejście do przedsionka. Dopiero tam spostrzegli, że nie wzięli żadnej szufli, bądź zgarniarki, a Jan za nic nie wzięłby tych strzępów do rąk. W końcu napinając płachtę podsunęli ją pod zwłoki. Tom wyszedł pierwszy, dźwigając zadziwiająco lekkie resztki Rogera. Szli do komory ciśnień. Było to pomieszczenie mające kształt sześcianu o dwumetrowych ścianach, obitych spawanymi elektrycznie płytami. Wejście zamykały pancerne drzwi z dużym

kołem blokującym. Wślizgnęli się tam i złożyli tłumok w kącie. Jan odwrócił się i wyszedł pierwszy. Momentalnie z głuchym łoskotem zatrzasnęło się za nim wejście. Zdrętwiał.

Jeszcze nie wierząc w to co się stało, oparł dłonie na kole i pociągnął do siebie. Z równym powodzeniem mógł ciągnąć zabetonowany kołek, ani drgnęły. Przyłożył ucho do metalu. Tom musiał walić z całej siły, gdyż słyszał głuche uderzenia. Zlustrował drzwi upewniając się, że wszystkie zamknięcia są odblokowane. Przywarł plecami do ściany i rozglądając się po korytarzu uruchomił końcówkę komputera.

–Komputer. Odblokuj drzwi komory ciśnień.

Mówiąc, wodził talerzem anihilatora po korytarzu.

–Polecenie alogiczne. Drzwi są odblokowane. Zagryzł wargi.

–Komputer. Sprawdź to jeszcze raz. Odpowiedź przyszła momentalnie.

–Drzwi są odblokowane.

–By cię szlag trafił!

Wyłączył końcówkę i począł nadśluchiwać. Tom najwidoczniej zrozumiał jego intencje i odszedł od drzwi. W przeciwnym razie Jan nie mógłby użyć anihilatora, gdyż razem z drzwiami unicestwiłby dowódcę. Broń miała kilkucentymetrowy rozrzut. Stał kilka metrów z tyłu i wycelował talerz w koło blokujące. Wcisnął spust i nic się nie stało. Zdążył jedynie stwierdzić ten fakt, gdyż moment później wrzasnął. Jego broń poczęła się topić w rękach, wręcz ściekając po rękawicach. Odrzucił ją w kąt, lecz wrzące krople metalu poczęły wyżerać materiał. W panice zerwał dymiący skafander.

Światło korytarza było jasne i monotonne. Wyodrębniało każdy szczegół. Gładki metal zamkniętych drzwi, roztopioną kałużę anihilatora i jego rozrzucony skafander; trzy szczegóły na tle normalności statku.

Jan szarpnął drzwi jeszcze raz, ale nie ustąpiły. Odwrócił się i wrócił niebawem z miotaczem. Nie zostawiając sobie czasu do namysłu podniósł broń i wystrzelił. Tym razem miotacz został cały, lecz nie odpalił. Zdezorientowany Jan zajrzał do lufy i chyba tylko absurdalność tego gestu sprawiła, że wyczuł niebezpieczeństwo. W ostatniej chwili szarpnął lufę na bok. Ładunek z wizgotem przeleciał koło twarzy i wyrznął w drzwi od sterówki, demolując je doszczętnie. Fala nadciśnienia przycisnęła go do ściany. Słony smak krwi upewnił, że ma rozbite wargi.

Zrozpaczony kucnął na podłodze i zacisnął pięści aż do bólu. Pomieszczenie miało osiem metrów sześciennych i tyle samo mieściło powietrza. Nie ruszając się i nie

ulegając panice, Tom mógł tam wytrzymać co najwyżej godzinę. To coś, co było na statku i w niepojęty sposób miało władzę nad przedmiotami, skutecznie niweczyło wszystkie próby ratunku.

Jan jeszcze długo próbował uwolnić dowódcę. Niestety, każda z prób kończyła się tak jak poprzednio. To, że nie zginął zawdzięcza własnemu szczęściu i faktowi, że owo coś tylko bawiło się z nim, nie mając na razie zamiaru zabijać. Po dwóch godzinach ze świadomością, że został sam, podszedł do drzwi komory. Już chyba tylko z przyzwyczajenia pociągnął je do siebie. Bryła metalu poddała się jego woli. Nie spodziewając się tego, przytrzymał ją odruchowo. Cisza. Szczelina była niewielka, około dwóch centymetrów. Czuł na dłoni, jak wydobywa się przez nią ciepłe i zużyte powietrze. Nie myślał o niczym i dlatego dopiero po chwili poczuł, że ktoś napiera po drugiej stronie. Zimny pot przyszedł razem z myślą, że tym kimś nie może być Tom, a już z pewnością, nie Tom żywy. Nacisk rósł. – Tom! Słyszysz mnie?

Odpowiedzi nie było, tylko drzwi odchyliły się jeszcze o centymetr. Jan zaparł się nogami i pchnął je raz, a gdy strach dopełził do gardła, jeszcze raz z całej siły. Nie wystarczyło, gdyż pozostały uchylone. Spocone dłonie ślizgały się po metalu. Widząc, że przegrywa, zebrał siły i wrzeszcząc na całe gardło zetknął złącza. Przytrzymując drzwi plecami dokręcił koło. Potem wypuścił je z rąk i wodząc dłonią po ścianie osunął się na podłogę. Metal przyjemnie chłodził spocone plecy. W korytarzu było cicho. Spojrzał w górę spod współprzymkniętych powiek, szukając miejsca bądź rzeczy, skąd mogło przyjść niebezpieczeństwo. Dopiero później zjawiała się myśl, że powinien prezentować się godniej; godniej jako człowiek. Oparł dłonie o podłogę i wstał na drżących nogach. Nawet nie oglądając się za siebie poszedł do sali łączności.

Procedura startu była przygotowana. Mógł to sprawdzić z odczytów komputera. Z trudem uwierzył, że przebywa tu dopiero od dziewięciu godzin. Do momentu skoku brakowało jeszcze równej godziny. Usiadł w fotelu, nie starając się nawet zastawić rozbitego wejścia. Było mu to obojętne. Gdy to coś będzie chciało go zabić, nie będzie w stanie się przeciwstawić. Był bezbronny..

Dopiero teraz odczuwał, jak bardzo drażniący jest kolor ścian. Jednak człowiek, który go projektował nie mógł przewidzieć tego, co się stanie. Nikt nie mógł tego przewidzieć. Jan wręcz

fizycznie czuł bezwładność swego myślenia. Ból głowy ćmił, męcząc, lecz nie pobudzając do działania.

Uniósł powieki i potoczył wzrokiem po sali. Zbyt długo trwający spokój zwiastował niebezpieczeństwo. Żaden dźwięk, bądź ruch nie odchodziły od normy, a mimo to Jan się nie uspokajał. Rozejrzał się raz jeszcze i stwierdził, że siedzi obok schowka z elementami pomocniczymi. Przeczytał napisy i wysunął najniższą szufladę. Było tam

kilkaset płytek chryzotowych i kilkanaście dyktafonów. Każda z tych rzeczy bez trudu mieściła się w jego dłoni. Odchylił się w fotelu i przystąpił do notowania. Miało mu to zająć około pół godziny. Wykazał w tym czasie olbrzymią wytrzymałość psychiczną, gdyż mimo potężnego obciążenia potrafił prowadzić sprawną, zwartą relację. Tylko z zabarwienia głosu można było odebrać jego napięcie. Gdy skończył, milczał parę minut, jakby analizując sytuację. Potem westchnął spoglądając tęsknie na zegar i pochylił się, aby odłożyć dyktafon na pulpit. Nie zrobił jednak tego, gdyż uderzył boleśnie ręką w coś niewidocznego. Zaskoczony wyciągnął ją raz jeszcze i przejechał delikatnie palcami po niewidzialnej przeszkodzie. Była idealnie gładka. Gdy wstał, przekonał się, że zagradza cały pulpit wraz z czytnikami. Wyciągnął rękę w górę i podskoczył, jak mógł najwyżej, lecz tafla pola sięgała do samego sufitu. Tknięty przeczuciem przeszedł w kierunku drzwi, z rękami przed sobą. Dwa metry od przeciwległej ściany plasnęły o przeszkodę.

Zbierał myśli. Wszystko wskazywało na to, że jest uwięziony w klatce, skutecznie, odgradzającej od wszystkich instrumentów i pomieszczeń. Na myśl o tym, serce poczęło bić mocniej.

Poczuł wielkie zmęczenie i oparł się plecami o przeszkodę. Apatycznym wzrokiem patrzył na pusty monitor, poprzez pozornie nie zmienioną salę. Wokół leżała cisza, okonturowana biciem Jego serca. Wzrok osunął się na leżący obok fotela dyktafon. Gdy mu się przyglądał, musiał zrobić krok do przodu, gdyż wydawało się, że owa ściana ciśnie na jego plecy. Ułamek sekundy później zrozumiał, że to nie jest bynajmniej złudzenie. Wyprostował się i chyba tylko dzięki temu, że wciąż obserwował dyktafon, rzucił się w jego stronę. Nie pomylił się. Tamta ściana również była ruchoma i wystawał z niej tylko rożek aparatu, nic więcej. Najdelikatniej jak tylko mógł, wpił się paznokciami w jego powierzchnię i z wyszczerzonymi zębami przeciągnął aparat do siebie. Pieczołowicie ściskając go w dłoni odszedł na środek pomieszczenia i włączył zapis. Od tej pory już wszystkie dźwięki miały się zarejestrować.

Później chciał sprawdzić z jaką prędkością posuwają się ściany, ale okazało się to niemożliwe. Poruszały się nierytmicznie, raz przyspieszając, raz zwalniając, jakby świadomie drocząc się z człowiekiem. Ale ruch był na tyle szybki, że groził Janowi zmiążdżeniem jeszcze przed wejściem w skok, do którego brakowało prawie piętnastu minut. Zegar pracowicie ukazywał kolejne sekundy, dając mu cień nadziei.

Uczono go kiedyś, że w sytuacji krańcowo stresowej należy za wszelką cenę uspokoić własne nerwy, najlepiej przez głęboką koncentrację. Dlatego też położył się na podłodze z rozkrzyżowanymi rękami i zamknął oczy. Jego nogi, a z przeciwnej strony głowa miały go poinformować, jak wiele zostało miejsca. Mimo iż starał się o niczym nie myśleć, ciągle miętosił te same myśli.

–Czy zdążę? Przecież tak mało mi brakuje.

Aby stworzyć pozorne wrażenie czyjejs obecności zaczął mówić do dyktafonu. Mówił o sprawach obojętnych, aby nie powiedzieć banalnych, znajdując w tym swoisty kurek bezpieczeństwa dla rozedrganego umysłu. Nieświadom tego, momentami wręcz krzyczał, mówiąc ciągle o czymś zwykłym i codziennym. Jedno było pewne. Człowiek doprowadzony do takiego rozbicia nerwowego, już nigdy nie będzie takim, jakim był kiedyś i dlatego Jan już nigdy nie będzie kosmonautą. Ale dla niego nie miało to teraz żadnego znaczenia, gdyż zawsze gdy człowiek przekroczy pewien próg odporności. stara się najpierw za wszelką cenę opanować sytuację, nie zważając na nic innego.

Spodziewał się, że dotknięcie barier będzie zrazu lekkie, wręcz niezauważalne, przechodzące później w mocny nacisk. Zawiódł się. Uderzenie było tak silne, że wyglądało na celowe. Zamroczony i przerażony zerwał się na równe nogi świadom, że tak szybki ruch jest wyrokiem Mimo iż zaklinał się, że tego nie robi, spojrzął na zegar. Brakowało pięciu minut. Wystarczyłoby trzysta razy powiedzieć „tik, tak” w odpowiednim tempie i byłby wolny. Obiegł swoją klatkę wokół, waląc kułakami w zakrzepłe powietrze. Jak dzikie zwierzę począł się miotać pośrodku sali, której wszystkie przedmioty zaczęły mu się wydawać obce i niezrozumiałe, gdyż były wolne. Pozostał metr kwadratowy i dwie minuty. Przeczucie, które obiecywało uwolnienie po wejściu w skok i koniec koszmarów, wyzwałało w nim resztki energii. Bez tego dawno by zrezygnował, poddając się losowi. Już nie mógł się obrócić. Lampy sufitu świeciły normalnym, jasnym światłem. Wyjął z bezsilności odpychał bezskutecznie niewidzialną prasę, która zbliżając się również po bokach, zaczęła krępować ramiona. Zaczął się dusić, bardziej z napięcia niż braku tlenu. Tkwiąc zaklinowany pomiędzy szybami powietrza, sięgnął na tors i wyjął z wiszącego dyktafonu płytkę chryzotową. Wierząc, że uchroni ją w swoim żołądku przed zniszczeniem, połknął zapis na trzydzieści sekund przed wejściem w skok. Później już tylko krzyczał.

Koniec jest taki

W trzy doby po powrocie „Nocy”, Jan Stasiak zmarł nie odzyskawszy przytomności. Po przeszło dwumiesięcznych przygotowaniach wysłano do mgławicy NGC 6992 wyprawę złożoną z trzech statków, każdy po dziesięć osób załogi. Pomimo kilkutygodniowych poszukiwań, nie znaleziono śladów czyjejkolwiek obecności. Wspominany w relacji satelita okazał się być idealnie martwym. Nigdzie nie znaleziono opisywanej kolumny, bądź zwłok Karla Homesa. Po powrocie wyprawy sprawę odłożono do archiwum. Najbliższa wyprawa w ten obszar jest planowana za dwadzieścia lat.

NIEŚMIERTELNY

Poranki mają to do siebie, że obdarzają mnie podłym nastrojem. Jest to regułą do tego stopnia, że nigdy nie zrywam się z łóżka zaraz po przebudzeniu, tylko leżę w nim co najmniej przez parę minut i staram się przekonać siebie, że świat nie jest wcale taki zły. Dobrze, jeśli uda mi się przy tym przypomnieć argumenty, którymi poprawiałem samopoczucie dnia poprzedniego. Niestety – nie zawsze mi się to udaje i jedynym ratunkiem jest nowe, niespodziewane, zaskakujące zdarzenie.

Tak było właśnie tym razem. Ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. Odetchnąłem głębiej, wyskoczyłem z łóżka, jedną ręką łapiąc szlafrok, a drugą otwierając okno i pobiegłem ku warczącemu dzwonnkowi. Człowiek za drzwiami sięgał mi dosłownie do pępka. W każdym razie na tej wysokości ujrzałem jego siwe włosy i niewielkie przekrwione oczka.

–Mam list od pana prezesa – powiedział i wyciągnął dłoń z kopertą.

–Z banku? – spytałem odruchowo, odczytując adres nadawcy.

Człowieczek chyba miał kłopoty ze słuchem, gdyż radośnie krzyknął.

–Tak, tak. Z samego National Bank! Patrzyłem na niego z dezaprobatą, lecz nawet nie uniósł głowy.

–Czy mam dać odpowiedź?

Pokręcił przecząco głową i dalej obserwował z upodobaniem mój szlafrok. Najwyraźniej czegoś oczekiwał. Zrozumiałem. Chowając list do kieszeni cofnąłem się do pokoju i wyniosłem mu parę groszy. Jakby z pogardą schował je do portmonetki i ukłonił się, konsekwentnie nie unosząc głowy. Poszedł.

W liście pan prezes prosił w zawiłych meandrach słówek, abym zjawił się u niego

dzisiaj lub w najbliższych dniach, gdyż ma w swoim banku pewien przeznaczony dla mnie depozyt. Dodawał, że zawsze można go zastać w gabinecie około godziny jedenastej.

Przyznaję, że nawet cień skojarzenia nie pojawił się w mojej głowie, kiedy przeczytałem słowo depozyt. Nie znałem nikogo, kto mógłby zostawić dla mnie coś wartościowego, zaś sam w ostatnim czasie cierpiałem na tak chroniczny brak gotówki, że nie mogłbym obdarować siebie, nawet w stanie skrajnego upojenia alkoholowego. Rozczochrałem dramatycznym ruchem włosy i zerkając na zegarek postanowiłem stawić czoła zagadce. Z głębokim przekonaniem, że porządek zrobię po powrocie, poszedłem się umyć. Na biurku, zaraz przy drzwiach prowadzących do łazienki, leżały kartki z ostatnio tworzonymi przeze mnie opowiadaniem.

Kasjer w barze oszukał mnie przy wydawaniu reszty, co naturalnie spostrzegłem dopiero przy stoliku. Jediną formą zemsty, która mi pozostała, był pełen odrazy wzrok, jaki posyłałem mu w czasie jedzenia. Nie wzruszyło go to, a chyba nawet bardziej rozzuchwaliło, gdyż, jak mogłem dostrzec, kilku następnym osobom podwoił liczbę bułek, surówek i innych dodatków. Koronnym numerem było wliczenie jakiemuś cudzoziemcowi opłaty za korzystanie z naczyń. Pełen pogardy opuściłem lokal i dopiero na ulicy wyjąłem z kieszeni solniczkę wraz z widelcem. Schowałem zdobycz do torby i całkowicie usprawiedliwiony moralnie wszedłem do banku.

Łypiący na mnie podejrzliwie strażnik pokazał drogę do gabinetu prezesa i, jak zdołałem dostrzec, skrupulatnie sprawdził czy tam dotarłem. Na matowym szkłe czerniło się nazwisko i tytuł. Zapukałem. Wdzięczny, dziewczęcy głosik należał do czterdziestoletniej sekretarki, której obfite kształty wypełniały trzy czwarte pokoju. Gdy się przedstawiłem, aż podskoczyła na krześle i z gracją betoniarki podbiegła ku mnie.

–To się pan prezes ucieszy, kiedy ujrzy pana – zaszczebotała i pociągnęła mnie za rękaw ku drzwiom w głębi.

Miała siłę parowozu.

–Pan pewnie nie wie, ale ja już bardzo dawno wiedziałam, że pan przyjdzie. Jest pan jedną z naszych pokoleniowych spraw.

Już miałem spytać co znaczy ostatnie określenie, kiedy ukazał się sam prezes, najwyraźniej zwabiony hałasem.

–Pańska godność? – spytał. Trzymająca mnie za rękaw kobieta była szybsza.

–To pan Dawid Stone. Niby przypadkiem straciłem rękę lekkoatletki, ale już ucałił mnie jej szef.

–Jakże się cieszę, jestem prezes Kinsky! – ryknął. – Proszę wejść, a pani niech przygotuje kawę.

Wepchnął mnie do środka, posadził na fotelu i nawet nie oglądając listu zaczął perorować.

Z jego słów wynikało, że mój dziad Samuel Stone zostawił przed laty w skrytce bankowej depozyt. Miał go dostać syn, wnuk albo inny potomek pod jednym warunkiem. Mianowicie spadkobierca powinien był zdobyć rozgłos co najmniej na miarę kraju. Wykonawcą testamentu została firma notarialna Moonlichen i ona zdecydowała przed laty, że mój ojciec niestety nie spełnił warunków.

–A ja? – spytałem kierowany wrodzoną skromnością.

Nie doczekałem się odpowiedzi z dwóch powodów. Po pierwsze Kinsky zaczął grzebać w szufladzie, a po drugie zjawiała się sekretarka z kawą. O mało trupem nie padłem z zachwytu widząc, że filiżanki mają napisy z nazwą banku i nazwiskami prezesów. Ciekaw byłem, czy po wypiciu kawy znajdę na dnie naczynia ich zdjęcia. Powinni stać na tle gór złotych monet, objęci krzepkimi ramionami, zaś u ich stóp bez wątpienia klęczeli wdzięczni emeryci i staruszki, którzy każdy grosz oddawali National Bank.

Błogie rozmyślenia przerwał Kinsky wymachując czymś kanciastym przed moim nosem. Obłożyłem filiżankę i wziąłem książkę do ręki. Gdyby ludziom w chwili zdziwienia czerwieniała twarz, to w tym momencie oblałbym się tycjanowską purpurą. Domyślałem się naturalnie, że rozgłos mogłem uzyskać dzięki książkom; napisałem powieść i dwa zbiory opowiadań, ale dzieło, które trzymałem w ręku było czymś innym. Był to podręcznik do nauki języka angielskiego dla szkół podstawowych.

–Czy dzięki temu firma Moonlichen uznała, iż wypełniłem warunki? Radośnie potaknął.

–Stwierdzili, że napisany przez pana wstęp jest bardzo przystępny i wiele wyjaśniający. Sądzę, że każde dziecko go zapamięta.

Uśmiechnąłem się nie najinteligentniej, gdyż pamiętałem, iż pisząc ową chałturę dla wydawnictwa szkolnego, pokładałem przede wszystkim nadzieję w tym, że żadne normalne dziecko nie czyta wstępów. Kinsky nie zważając na moje milczenie dodał jeszcze, że notariusz nie mógł przyjść, gdyż złamał nogę, ale znając National Bank przesłał jemu, czyli Kinsky'emu wszystkie papiery. Teraz wystarczy, żebym je podpisał. Podpisałem! Pan prezes schował dokumenty do teczki, którą ulokował następnie w ściennym sejfie. Mogliśmy się udać do sali depozytów.

Przez sekretariat wyszliśmy na korytarz, gdzie tkwił śmiertelnie znudzony strażnik. Na mój uśmiech wyprężył się na baczność i zasalutował. Nie mam pojęcia dlaczego.

Mijając dziesiątki oszklonych klatek, przeprowadził mnie Kinsky do wiodących spiralnie w dół schodów. Zeszliśmy; korytarz, jakiś typ z bronią u pasa, a za nim masywna krata zakrywająca wejście do następnego pomieszczenia. W aseptycznym świetle widać było kilkaset skrytek rozłożonych równomiernie na ścianach. W rogu sali, pod sufitem zezowało oczko kamery. Kinsky pomachał do niego, a kiedy usłyszał trzask, wsunął do dziurki we framudze oryginalnie wyglądający klucz. Krata wydała syczący odgłos i zniknęła. Wyglądało na to, że schowała się w szczelinie podłogi. Posadzka pomieszczenia wydawała suchy kamienny stukot. Kinsky przeszedł pod lewą ścianą i spod drzwiczek oznaczonych numerem sto osiemdziesiąt trzy wyciągnął półeczkę. Następnie podał mi klucz.

–Ja wyjdę na korytarz – powiedział. – Pan może w tym czasie zbadać zawartość skrytki.

Wyszedł, a za nim świsnęła krata. Klucz był bardzo sprytny, taki z mnóstwem szczybatych zębów poprzyczepianych naokoło rdzenia. Wsunąłem i przekręciłem go w lewo. Po paru obrotach zamek ustąpił.

Chyba wtedy po raz pierwszy przyszła mi na myśl twarz dziadka, jaką zapamiętałem z fotografii nad biurkiem ojca. Modnie przystrzyżony wąsik, kapelusz a la Panama, rozpięta koszula, z tyłu palmy; typowa twarz podróżnika. Dziadek w swoim życiu czterokrotnie objechał kulę ziemską i gdyby nie utonął w kanale La'Manche w czasie jesienno-sztormu roku 1938, z pewnością na tym by nie poprzestał. Ponadto już nic więcej nie kojarzyło mi się z moim szanownym przodkiem.

Uczciwszy go ową minutą przemyśleń, uchyliłem drzwiczki. W środku leżało pudełko wielkości dłoni przepasane na krzyż sznurkiem. Wyjąłem je na zewnątrz i znalezionym w kieszeni scyzorykiem rozciąłem więzy. Musiałem przyznać, że kiedyś robiono dobre sznurki. Uniosłem pokrywkę. Najpierw dojrzałem kartkę papieru. Pod spodem leżał obły, płaski przedmiot przypominający medalion. Wykonany był najprawdopodobniej ze złota, a jego gładką powierzchnię zdobił z wierzchu tylko jeden drobny ryt, przypominający stylizowanego ptaka. Puzderko miało po bokach dwa sztyfty. Próbowałem podnieść wieczko, lecz ani podważając ostrzem noża, ani manipulując sztyftami nie udało mi się tego dokonać. Rozłożyłem kartkę papieru. Był to list dziadka.

„Drogi Potomku. Nie wiem kim jesteś, ale cieszę się, że byłeś godny otworzyć sejf. Sądzę, że zdobyłeś rozgłos i sławę drogą prawą i dlatego bez obaw powierzam ci mój skarb i tajemnicę.

W czasie licznych podróży po świecie widziałem wiele dziwów, słyszałem wiele opowieści. Nieraz kuszono mnie złotem, kobietami czy eliksirem nadzwyczajnym, ale zawsze wyznawałem zasadę, aby niczyjej własności nie naruszać, a praw obcych, chociażby najbardziej dziwnymi były, przestrzegać. Przyznaję, że opłaciło mi się to.

Ludzie źli omijali mnie, a dobrzy darzyli szacunkiem i zaufaniem.

Tobie, mój następcu, chcę przekazać rzecz najcenniejszą, którą dostałem w dalekim wschodnim państwie od człowieka, w którym znalazłem przyjaciela. Jest to talizman, który daje Ci nieśmiertelność na dwie doby. Użyjesz go kiedy zechcesz, w nagłej potrzebie bądź w chwili ciekawości, zostawiam to już Tobie.

Jeśli będziesz chciał stać się nieśmiertelnym, odkręć jednocześnie obydwa kołeczki; kręcą się w przeciwne strony. W momencie kiedy całkiem wyjdą, wieczko odemknie się samo. Musisz wtedy bezwzględnie patrzeć do środka. To co ujrysz sprawi, że staniesz się nieśmiertelny.

Miej szczęśliwą rękę i nie dziw się, jeśli los będzie Cię wyróżniał",

Po przeczytaniu ukryłem kartkę w portfelu, między prawem jazdy a kartą kredytową. Wsunąłem półeczkę i zatrzasnąłem drzwiczki. Potem podszedłem do kraty, gdzie głośno chrząknąłem,

Kinsky zmaterializował się natychmiast i sprawił, że krata ponownie zniknęła w podłodze.

–Czy wszystko w porządku? – spytał.

–O tak – odparłem. – Może ma pan ochotę zerknąć na pamiątkę po dziadku.

Pan prezes oblał, się autentycznym rumieńcem.

–Nie śmiałem prosić... – zaczął, ale już cmokał oglądając talizman.

Naturalnie musiałem mu wyjąć go z łap, kiedy zaczął majstrować przy wieczku.

–Dziadek pisał, żebym tego nie otwierał – wyjaśniłem.

Ze zrozumieniem opuścił powieki. Jeszcze dziesięć minut musiałem znosić jego obecność i słuchać zapewnień, „że sejf zawsze będzie do mojego użytku, na dowód czego dostaję klucz. Żeby nie było złudzeń, żegnając się ze mną dodał, iż rachunki za skrytkę mogę opłacać czekami bądź przelewem. Udając, że cieszy mnie to niezmiernie, wyrwałem się wreszcie z jego rąk i taksówką wróciłem do domu.

Najbliższe prawdy będzie, jeśli stwierdzę, że moje uczucia były ambiwalentne. Nabyty sceptycyzm krzyczał, że to wszystko bzdura, ale jednocześnie wrodzona nostalgia do przygody szeptała, że byłaby to rzecz niesłychana, gdyby przekaz dziadka zawierał choć część prawdy. Gęba uśmiechała mi się na samą myśl o tym.

Miotany sprzecznościami postanowiłem odłożyć otwarcie talizmanu do wieczora,

kiedy to miałem zamiar udać się do Ireny, mojej oficjalnej narzeczonej. Zapakowałem medalion w papier, po co ma złoto rzucać się w oczy i zabrałem się do pisania. Tempo miałem genialne – pół strony na dwie godziny.

Jeszcze jeden długi, przeciągły dzwonek, lecz jedynym efektem były uchylone drzwi z przeciwka, przez które czujnie zerkąło oko sąiadki. Spojrzałem na zegarek. Irena znów wystawiała moją cierpliwość na próbę, gdyż mimo dochodzącej godziny ósmej, mieszkanie było puste. Zły zrobiłem błyskawiczny zwrot na pięcie. W przedpokoju sąiadki zakotłowało się i z trzaskiem zamknięto drzwi. Trochę tym udobruchany zjechałem windą na parter i udałem się na leżący po drugiej stronie ulicy skwer. Z ławki mogłem obserwować okna Ireny i czekać na jej łaskawy powrót.

Chwile wolne, których się nie spodziewamy są czymś okropnym. Nie możemy ich wykorzystać, gdyż nie jesteśmy do tego przygotowani, a jednocześnie odczuwamy wyrzuty sumienia, że marnotrawimy czas. Dlatego też siedziałem rozwalony na ławce, rozglądałem się beznadziejnie wokół i rzeczą oczywistą było, że prędzej czy później chwycę za pudełko. Faktycznie! Po pół godzinie nieme okna rozszerzyły mnie ostatecznie. Rozpakowałem papier i upewniwszy się, że nikt mnie nie obserwuje wyjąłem medalion. Podrzuciłem go w dłoń, zadowolony z masywności i ułożyłem między kolanami. Dziadek nie wspominał w jakim świetle należy dokonywać manipulacji i uznałem, że późny, zmierzch będzie w sam raz. Wpatrzyłem się w wieczko i zacząłem odkręcać sztyfty. Wychodziły. Z radosnym szumem w głowie stwierdziłem, że serce bije mi jak nowicjuszowi na randce. Wyszczrzyłem zęby i tyknąłem raz jeszcze dookoła, czy nikt nie podgląda. Z cichym brzękiem wieczko odskoczyło ku górze.

Potem wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, co wtedy ujrzałem. Nie doszedłem do tego. Pozostało mi tylko wrażenie czegoś jasnego i białego, będącego właściwie samym światłem. Biło jak luna i wwiercało przez oczy w mózg. Myślałem, że oślepnę. Szarpnąłem głową, ale porażone mięśnie mylnie zrozumiały intencje i wyprężyły całe ciało. Jak w konwulsji szarpnąłem się w górę, przekoziółkowałem nad poręczą i upadłem w trawie. Byłbym przysięgł, że wyrzucony w powietrze talizman zaświecił raz jeszcze upiornym światłem, a potem rozerwał się bezgłośnie. Jego fosforyzujące okruchy zawisły w powietrzu jak nasiona złotego dmuchawca. Więcej nie pamiętam, gdyż straciłem przytomność.

Musiałem chyba dość długo patrzeć w czarny kontur drzewa zanim odzyskałem świadomość samego siebie. Przesunąłem wzrok i dojrzałem gwiazdy. Na szczęście zimna ziemia pozwalała szybko wrócić do sił i wkrótce łapiąc się ławki unosiłem głowę, a potem resztę ciała. W oknach Ireny paliło się światło. Spojrzałem na zegarek i tu spotkał mnie pierwszy zawód, czasomierz wyparował. Chwila poszukiwań wystarczyła, abym się upewnił, że razem z nim zniknął portfel i bransoletka, którą zawsze nosiłem na lewej ręce.

Żeby mnie ktoś usłyszał, jak ja wtedy malowniczo wyzywałem siebie, dziadka i talizman. Chuliganom również się oberwało. Resztek bomby pamiątki, która mnie oślepiła i ogłuszyła nie znalazłem; nawet okruchów. Możliwe, że ci, którzy zaopiekowali się gotówką, również i kawałkami złota nie pogardzili. Otrzepując się z trawy, podążyłem ku domowi Ireny. Zastanawiałem się, jak najkorzystniej mogę sprzedać całą historię. Nie chciałem, żeby znowu rzucała inwektywami powątpiewającymi w mój poziom umysłowy.

Serce nie sługa, pomyślałem zaraz po wejściu, kiedy ujrzałem w jaki sposób jestem witany. Po otwarciu drzwi Irena bez słowa przeszła w głąb mieszkania. Rzut oka na zegar w kuchni wyjaśniał wiele. Była za piętnaście dziesiąta. Nie spodziewałeś się, że mnie tak zdrowo zamroczy.

–Zgubiłem zegarek, kochanie – powiedziałem wchodząc do pokoju.

Siedziała na kanapie i udawała, że czyta książkę. Po dobrych paru minutach podniosła głowę.

–Nie mów, a ja myślałam, że jakiś samochód głowę ci urwał.

Chciałem usiąść koło niej, lecz spojrzała tak groźnie, że wolałem wybrać fotel

–Nie uwierzysz, przed godziną obrobiły mnie jakieś bandziory. Ze wszystkiego... portfela, zegarka.

Już myślałem, że podejdzie utulić mnie w bólu, kiedy zauważyłem, że przygląda się bacznie mojej twarzy.

–Nawet się nie broniłeś? Pytanie mi pochlebilo. Uważała mnie za faceta, który nie patrzy beczynnie, gdy jest okradany.

–Nie mogłem!

–Dlaczego?

Nie pozostało nic innego jak wszystko opowiedzieć. Słuchała z zainteresowaniem, gorzej było później.

–Jeśli to prawda, to powinieneś mieć list – odparła po chwili zastanowienia.

–Nie mam, włożyłem go do portfela. Machnęła ręką.

–A więc znowu nieudolna historyjka.

Ręce mi opadły, gdyż zostałem pokonany własną bronią. Przyznaję, że nieraz korzystałem z wyobraźni, aby ukryć przez Ireną różne drobiazgi. Niejednokrotnie

szara rzeczywistość obnażała bajeczki, ale tym razem, u licha, mówiłem szczerą prawdę.

–Ja nie kłamię! – krzyknąłem bojowo, lecz Irena z godnością nie zwracała na to uwagi.

–Zrobię kolację – rzekła, idąc do kuchni.

Kiedy zostałem sam, uniosłem się z fotela i macając rękoma za sobą starałem się znaleźć okno. Naturalnie było zasłonięte grubą kotarą, ale już niejednokrotnie siadywałem na szerokim parapecie, podwijając materiał. Tak też i uczynić chciałem i tym razem. Niestety, nie przewidziałem, że okno jest otwarte, a zasłona ledwie się trzyma karnisza. Pod moim naciskiem żabki jęknęły i poleciałem do tyłu. Próbowałem jeszcze szybkim skłonem ratować sytuację, ale paznokcie tylko drapnęły ramię i runąłem jak kamień. Przed oczami mignęło ciemne niebo, a żołądek skoczył do gardła. Przypomniałem sobie, że to jedenaste piętro i tak się tym przejąłem, że nawet nie uświadomiłem, że nie czuję pędu powietrza. Z myślą, że nie chcę ginąć wyrznąłem o bruk. Huknęło! Czuję, jak łamią się pode mną płyty chodnika, a ich odłamki wylatują w powietrze. Zamknąłem oczy. Spokój. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem był mój tors całkowicie wbity w podłogę. Nóg nie było widać spod przysypujących je resztek betonu. Jak okiem sięgnąć wszystkie płyty były wyważone ku górze, szczerząc przybrudzone ziemią krawędzie.

–Nieśmiertelność – powiedziałem do siebie i zachichotałem. – Niezła rzecz.

Wyrzebałem się z gruzu i potoczyłem wzrokiem. Dopiero na drugim końcu ulicy dostrzegłem żywą osobę. Cherlawy mężczyzna prowadził na smyczy małego ratlerka. Pasowali do siebie. Zostawiając lej jak po bombie lotniczej, co zresztą było szczególnie udaną nazwą, poczłapałem do windy. Kiedy wchodziłem na klatkę, usłyszałem za sobą krzyki i ujadanie psa. Nigdy bym nie przypuszczał, że wpadnięcie do dołu może wywołać w człowieku tyle emocji.

–Kiedy ty wyszedłeś? – spytała Irena, otwierając drzwi po raz drugi w ciągu dziesięciu minut

–Wypadłem przez okno.

–Idiota – powiedziała, prowadząc mnie do pokoju.

Za progiem wrosła w parkiet Faktycznie, widok był nieszczególny. Oberwana kotara zwisała bodajże na jednej żabce, a reszta wałała się po podłodze.

–Dobrze, że nie wypadła ze mną przez okno – zaśmiałem się figlarnie.

Gdybym wiedział, jaką burzę to wywoła, z pewnością nie powiedziałbym ani słowa.

Irena ma tę przykrą cechę, że klóci się rzadko, ale jak zacznie, to końca nie widać. A więc dowiedziałem się, że jestem pozer, bufon, idiota, łamaga, pisarz od siedmiu boleści i tak dalej. Zagotowało się we mnie. Podniosłem leżący na stole obok półmiska z wędlinami ostry nóż i na jej oczach z całej siły wbiłem go we własny brzuch. Irena zamilkła. Nóż brzęknął i ułamane ostrze wbiło się w oparcie krzesła.

–Jak to zrobiłeś? – spytała zaciekawiona, macając po moim gołym ciele.

Najwyraźniej spodziewała się znaleźć pod koszulą metalową paterę, albo co najmniej kawałek żelaza. Czując jej palce zerknąłem na tors. Był cały. Ująłem widelec i obserwując z uwagą przedramię, postukałem nim. Zęby nie dochodziły do skóry, zatrzymując się odrobinę wcześniej.

–Widzisz? – powiedziałem do Ireny. – Nic mi nie można zrobić.

Uśmiechnęła się drapieżnie i ugryzła rękę. Aż dreszcze poczułem, gdy krzyknęła.

–Czymś tak utwardził skórę? – wymamrotała trzymając się za usta. – Miałam wrażenie, że gryzę kolanko kaloryfera.

–To ten talizman.

–A tam... głupi jesteś – odparła i poszła do łazienki obejrzeć w lustrze, czy nie poniosła uszczerbków w uzębieniu.

Siadłem przy stole i grzecznie czekałem aż wróci. Przedtem jeszcze zawiesiłem kotarę.

Do domu wróciłem przed północą. Irena nie stawiała przeszkód, mówiła, że jest strasznie śpiąca. Kto zrozumie kobiety? Może rzeczywiście była zmęczona.

Idąc pustymi ulicami, przemyślałem parę spraw. Przede wszystkim ustaliłem godzinę, o której zyskałem mój dar. Według ostrożnych szacunków nie stało się to później niż o ósmej. Zostało mi więc jeszcze czterdzieści cztery godziny. Nigdy nie byłem społecznikiem, ale postanowiłem jednak pójść do któregoś z laboratoriów, chociażby uniwersyteckiego, i oddać się na parę godzin, w ręce nauki. Niech ktoś ogłosi później w piśmie naukowym mądry artykuł o frapującym tytule: „Fenomen Dawida Stone'a". Uznałem to za pyszny dowcip.

W mieszkaniu postanowiłem zrobić kilka eksperymentów. Najpierw zapaliłem boczne oświetlenie, a od sieci odłączyłem górne. Później, przy wydatnej pomocy śrubokręta zdjąłem żyrandol, a z pawlacza wyciągnąłem kawałek grubego sznura. Zrobiłem na nim pętlę i umocowałem do haka. Jak łatwo się domyślić chciałem sprawdzić, czy spiszę się w roli wisielca. Szarpnąłem sznur, trzymał się mocno. Wszedłem na krzesło, chwilę pomedytowałem iż westchnieniem włożyłem głowę w

pętlę. Sądziłem, że jako pisarz mam prawo do takich doznań. Odrzucone kopniakiem krzesło wylądowało pod ścianą. Nawet nie poczułem wstrząsu, a już dyndałem z głową przyciśniętą do piersi. Naprężony sznur nie pozwalał na jej uniesienie. Naturalnie bałem się nie uduszenia, ale tego, że mi rdzeń trzaśnie. Przypomniałem sobie historię z dzieciństwa. Nasza sąsiadka miała kilkuletniego brzdąca. Pewnego razu odwiedził ich krewny z prowincji. Widząc dziecko chciał zamanifestować swoją radość i obejmując malca samymi dłońmi za głowę uniósł go w górę, aby pocałować w czoło. Chłopczyk fiknął tylko parę razy nóżkami i sąd musiał uznać nieumyślne zabójstwo przez powieszenie.

Mnie, jednak nic takiego się nie zdarzyło. Kiwałem się jednostajnie na sznurze i chyba tylko pozycja była niewygodna. Dla pewności szarpnąłem się, lecz nie przyniosło to zmiany. Wyglądało, iż bez problemów mogę przyprawić o apopleksję każdego kata. Ale jeszcze minuta, dwie i znudziła mi się zabawa. Spróbowałem rękoma rozluźnić pętlę, ale gdzie tam. Ciężar ciała zaciskał ją z taką mocą, że od razu zrezygnowałem. Chciałem podciągnąć się na rękach, ale tu zabrakło sił. I tak dyndałem w rozterce, jak wielkie wahadło, kiedy zadzwonił telefon. Wierzgnąłem, zamachałem rozpaczliwie rękoma i pomogło. Hak okazał się słabszy od sznura, dzięki czemu wylądowałem z hałasem na podłodze. Jak urwany z szubienicy pogalopowałem do telefonu.

–Cześć Dawid, jak leci?

Był to Edward, człowiek żyjący na dziennikarskim chlebie.

–W porządku, właśnie próbowałem się powiesić.

–I jak?

–Nie wyszło, hak się urwał.

–O, kochany? Partolisz robotę! Westchnąłem wieloznacznie.

–Masz coś dla mnie?

–Tak, za dwie godziny jest samolot do Sorendo, jutro otwierają tam wystawę kamieni szlachetnych.

–Mam się domyślić, że główną atrakcją...

–... będzie piękna kolekcja spineli i rubinów.

–Skąd o tym wiesz?

–Dziennikarza profanie pytasz?

–W porządku!

–Jedziesz?

–Chyba tak.

–To dobrze, mam u ciebie piwo.

–Zgadza się!

Po raz nie wiem który stwierdziłem, że znajomość z Edwardem to niebywale cenna rzecz.

Co do samych rubinów muszę przyznać, iż są to kamienie, które już dawno pokochałem. Potrafię się godzinami wpatrywać w ich czerwone kryształy, oglądać szlif, patrzeć jak załamują światło. Niestety – mój stan majątkowy nie pozwalał na posiadanie choć najmniejszego kamyczka. Dlatego też staram się odwiedzać wszystkie wystawy, na których prezentuje się owe cuda natury. Zew Edwarda nie mógł więc przejść bez echa. Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer linii lotniczych.

Na pokład samolotu dostałem się w ostatniej chwili. Charter miał komplet pasażerów, lecz ktoś zrezygnował z biletu. Nie oglądając się na nic, wykupiłem wolne miejsce i po dokładnym sprawdzeniu nędznego bagażu w postaci jednej aktówki, zostałem wpuszczony do poczekalni. Już tam dziwnymi mi się wydały fizjonomie współpasażerów. Wyglądali na członków drużyny bokserskiej, bądź baseballowej. Wszyscy wysocy, rośli, o topornych twarzach, na których widok człowiek odruchowo zaczyna się rozglądać za policjantem. Naturalnie miałem świadomość, że chcąc wrócić wieczorem, nie mogę wybrzydzać. Wkrótce podstawionym autobusem zawieziono nas do samolotu. Był to ociężały śmigłowiec, taki, jakie latają poza normalnym rozkładem lotów. Miejsce miałem w ostatnim rzędzie foteli i po przezornym zapięciu pasów, pogrążyłem się w sen.

Otworzyłem oczy i zadrzałem. Księżyc był pode mną. Dopiero paniczny lęk przypomniał mi, że jestem w samolocie. Z przegródki przed sobą wyjąłem firmową serwetkę i przetarłem kark. Potem rozejrzałem się. W końcu przedziału, przy przejściu między klasami stał mężczyzna z pistoletem w garści. Drugą ręką obejmował w pasie sinobiałą na twarzy stewardessę. Dziewczyna miała zamknięte oczy i z pewnością starała się przypomnieć czego ją uczono na kursach. „*Zawsze uśmiechajcie się; starajcie się przywiązać do siebie porywaczy, wtedy trudniej im zdecydować się was zabić*”. Paskudna filozofia, pomyślałem. Odwróciłem się ku oknu i przyciskając czoło do szyby, dojrzałem tylko mętne błyski światła. Wróciłem wzrokiem do samolotu i przechyliłem się ku środkowi. Przez przestrzał korytarza dostrzegłem, że w przedziale pierwszej klasy porusza się jeszcze kilku panów z

bronią. Drzwi od kabiny pilotów były uchylone. Łapiąc czujne spojrzenia faceta trzymającego dziewczynę, zaprzestałem dalszych obserwacji. Dziwnym był fakt, że wszyscy pasażerowie prowadzili głośne rozmowy. Gdzież ta kamienna cisza znana z książek, myślałem. Rozumiałem, że lecą tu sami mężczyźni, nie gorzej wysportowani od porywaczy, ale w końcu każdy boi się śmierci. Dobiegający z przodu hałas niósł rozwiązanie zagadki. W przejściu pojawił się wysoki mężczyzna o smagłej cerze. W lewej ręce trzymał granat.

–Nie dają nam pozwolenia na lądowanie – powiedział i rozejrzał się po przedziale.

Rozległy się głosy oburzenia, wyzwiska i parę komentarzy, z których zrozumiałem jedno. Wszyscy pasażerowie byli porywaczami. Dobrze chociaż, że zawczasu umówili się, pomyślałem, ale byłby cyrk, gdyby każdy chciał lecieć gdzie indziej.

–Nie można lądować?

–Zablokowali pas samochodami.

–To lądujemy na trawie.

–Coś ty, w nocy, żebyśmy skapotowali?!

–Dalej lecieć się nie da?

–Mamy za mało paliwa. Muszą nam go tutaj zatankować, przecież taki mieliśmy plan.

Tego typu uwagi padały pod adresem smagłego mężczyzny, prawdopodobnie przywódcy. Uniósł rękę.

–Zamknijcie się. Trzeba przekonać lotnisko, że nie żartujemy.

Tłum zamruczał z aprobatą, a smagły podszedł do trzymanej przez zbira dziewczyny i ujął ją pod brodą.

–Myślę, że szkoda będzie spora – zaśmiał się. – Idę ich poinformować, że jeśli nie zwolnią pasa, to wyrzucimy ją z samolotu.

Zachichotał obrzydliwie. Dziewczyna pisnęła i zwiła bezwładnie w podtrzymujących ją łapach. Bandziory najpierw umilkli, ale po chwili zwierzęce instynkty wzięły górę i idący w stronę kabiny pilotów smagły ponaglany był chrapliwymi okrzykami. Znowu wyjrzałem przez okienko i dostrzegłem te same światła co parę minut wcześniej. Najwyraźniej krążyliśmy. Ciekawe było, dlaczego do tej pory nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Możliwe, że miejsce, które kupiłem należało do jakiegoś bandziora i jeszcze nie zauważono pomyłki. Szum głosów świadczył o powrocie szefa,

–Nie zgodzili się – wycedził. – Dokładnie za trzy minuty będziemy przelatywać nad budynkami lotniska.

Odwrócił się do drugiej stewardessy. Nie zauważyłem jej do tej pory, gdyż stała za kotarą. Trzeba przyznać, że miała wszystko na miejscu i to bez względu na to, z której strony się patrzyło.

–Klucz do awaryjnego otwierania drzwi! – ryknął.

Zobaczyłem przeczący ruch głowy i uderzenie pięścią. To draństwo bić tak ładną dziewczynę. Uniosłem się w fotelu.

–Klucz!

Otworzyła szafkę i podała coś smagłemu. Zerknął okiem na drzwi samolotu i zadowolonym gestem kazał podnieść nieprzytomną stewardessę.

–Nie! – wrzasnąłem na cały samolot – Nie pozwalam!

Można wierzyć, bądź nie, ale dopiero w tej chwili przypomniałem sobie, że jestem nieśmiertelny.

–A ty co? – spytał smagły. ONZ reprezentujesz?

Wzruszyłem ramionami.

–Ja do was nie należę. Kupiłem bilet przed samym odlotem.

Smagły wycelował palec w jakiegoś typa z przodu.

–Sprawdź na liście kto miał mieć to miejsce.

Gość otworzył teczkę i unikając wzroku wściekłego szefa wydusił.

–Miejsce 85 miał Steller, ten rzeźnik.

–Siedzi od dwóch dni – odpowiedział ktoś z tłumu.

Smagły stracił prawo do tej nazwy, gdyż oblał się soczystą czerwienią.

–Dlaczego ja o tym nic nie wiem? I co to za kretyn zwolnił miejsce?

Coś tam gadali, przekonywali się i w końcu wyszło na jaw, że to żona rzeźnika musiała zwrócić bilet jak ostatnia idiotka. Podobno była skąpa do przesady. Poczekalem, aż to ustalą i sam wrzasnąłem:

–Mnie wyrzucicie! Nie ją! Tym razem cisza była kamienna. Szef podrzucił w roztargnieniu granat

–A co ci się tak spieszy, kochany? – spytał przebiegle świdrując mnie oczyma.

–Mam raka!

Ucieszył się, jakbym Bóg wie co powiedział. Chyba rzeczywiście podejrzewał, że jestem agentem policji, zdolnym do samodzielnych lotów.

–Jeśli się zapraszasz – powiedział i kazał otwierać drzwi...

Zaprowadzono mnie do przejścia ciągle grożąc bronią, tak jakby nie mieściło im się w głowach, że ktoś może skoczyć sam, z własnej woli. Prowadzący mnie osobnicy wyglądali na takich, co to za pięć docłów każdemu poderzną gardło od ucha do ucha, a jak się ich poprosi, to może i za darmo.

Patrząc jak szarpniętymi zabezpieczeniami, zacząłem się niepokoić co będzie jeśli okaże się, że lecimy na zbyt dużej wysokości. Właściwie to wiedziałem co będzie. Podciśnienie wyciągnie parę osób na zewnątrz. Ktoś, kiedyś mi opowiadał jak wyszło z odrzutowca faceta przez otwór wielkości dwóch dłoni. Podobno po tym wyczynie zmienił się nie do poznania.

Tym razem pilot krążył nisko i powoli, tak że po otwarciu drzwi zaczęło tylko głośno świszcząć. Pęd powietrza nie pozwalał im się rozewrzeć nad oścież. Smagły zerknął na zegarek i mruknął, że mam jeszcze piętnaście sekund. Kiedy minęły, dwóch rosnących niedowiarków chwyciło mnie pod ramiona i z siłą godną pozazdroszczenia cisnęło w szczelinę. Jeszcze nad głową zawyły przelatujące śmigła, ale już otoczyła mnie cisza i spokój. Przypominając przeczytane wiadomości o spadochroniarstwie rozłożyłem jak najszerzej ręce i nogi, dzięki czemu przestałem koziółkować. Tak jak przy spadku z okna, nie czułem pędu powietrza. Światła pode mną zastygły tak jakbym zawisł między niebem a ziemią. Wystarczyłoby zamknąć oczy, a człowiek usnąłby momentalnie. Uśmiechnąłem się z rozrzewnieniem. Raptem horyzont skoczył ku mnie i z lodowatym spokojem stwierdziłem, że spadam na duży oświetlony budynek. Pokręciłem głową na boki i upewniłem się, że to dworzec lotniczy. Przed nim, w świetle lamp stało kilka samolotów odrzutowych. Ich sylwetki rosły w zastraszającym tempie. Wyglądało na to, że pikują prosto na dach tarasu widokowego. Przed samym zderzeniem przymknąłem oczy. Łomot przeszedł moje oczekiwania. W chmurze pyłu, z kilkunastoma kilogramami betonu pod plecami wylądowałem na czymś szklanym. Trzaskowi zawtórowały kobiece piski. Coś bulgotało. Delikatnie rozwarłem powieki.

Leżałem w szczątkach dużego kontuaru pośród rozgniecionych sałatek, śledzi i plasterków żółtego sera. Spod nóg ciekły strużki czerwonego wina. Trzaskowi

zawtórowały kobiece piski. Coś bulgotało Delikatnie rozwarłem powieki.

–Niech się pani nie boi – powiedziałem i zaraz umilkłem, gdyż barmanka przewróciła i osunęła się na podłogę.

Próbowałem ją podtrzymać, ale ręce utyłane w majonezie nie na wiele się zdały.

Jak łatwo się domyślić, znajdowałem się w barze. Nie było tu nikogo, ale powywracane krzesła i rozpląszczone na szybie twarze świadczyły, że konsumenci musieli salwować się nagłą ucieczką. Obok jednego ze stolików spostrzegłem nawet kule inwalidzkie. Czyżby cudowne ozdrowienie? – pomyślałem. Coś sypało mi się na głowę. Był to tynk ze sporej dziury, jaką wybiłem w suficie. Miała ze dwa metry średnicy.

–Co to za granda? – ryknął czyjś głos.

Obejrzałem się. W wejściu stało dwóch policjantów z bronią gotową do strzału. Przed nimi stał niski facet w randze porucznika. To on tak wrzeszczał.

–Unieś ręce draniu! – pienieł się. Posłusznie uczyniłem to.

–Wyłaż z tego szkła!

–Nie wygramolę się trzymając ręce w górze.

–Nie filozofować! Wyłazić! Otrzepując spodnie przekonałem się, że tkwiłem w galaretkach z drobiu.

–Obszukać go! – ryknął mój dręczyciel.

Jeden z policjantów, z wyraźnym obrzydzeniem spełnił polecenie, jak mogąc, unikając tłustych plam.

–Skąd tu się wziąłeś?

Uznałem, że należy mówić prawdę.

–Wyrzucono mnie z samolotu.

–Z samolotu mówisz... – porucznik powtórzył jak echo.

Widać było, że na pozór wytłumaczenie jest całkiem logiczne.

–Jak z samolotu? – opamiętał się, – Przecież rozwaliliby cię na kawałki?

–Jak widać miałem szczęście.

–Szczęście... – pogroził mi kułakiem- Ja znam was terrorystów, wy jesteście niezłe ptaszki. Kajdanki!

Skrępowano mnie.

–Jak przyłożę ci parę razy, to od razu wyśpiewasz co za bombę podłożyłeś na dachu.

–Jaką bombę?

–Chyba nie powiesz, że potknąłeś się i sam dziurę w stropie wybiłeś?

Zarechotał z własnego dowcipu.

–Zaprowadzić go do punktu przetrzymań!

Szturchnięcie w plecy świadczyło, że mam iść za najwyższym z policjantów. Kiedy mijaliśmy tłum ciekawskich przy wyjściu, jakaś starsza kobieta zaczęła krzyczeć.

–Zostawcie go, to sam archanioł Gabriel – gestykulowała parasolką. – Nie ruszajcie go, bo przyjdą jego hufce.

Rodzina kobiety nerwowo próbowała ją uspokoić. Zacięta w wysiłku myślowym twarz porucznika stanowiła dla mnie błogi balsam. Wyglądało, że zastanawia się, czy archanioł Gabriel nie jest przypadkiem pseudonimem terrorysty.

–Ręce na ścianę – mrucał policjant – szerzej nogi, nie ruszaj się.

Widać było, że w przeciwieństwie do pomocnika nie zależało mu na gwałtownych ruchach.

–Chcesz zapalić? – spytał. Pokręciłem przecząco głową.

–Dziękuję, nie palę!

Mruknął, że i takich zboczeńców widział.

Znajdowaliśmy się w małym pokoiku, dwa metry na dwa, i czekaliśmy na dalsze instrukcje. Ze słów policjanta wynikało, iż znajduję się w Sorendo. Porucznik poszedł dowiedzieć się od czynników nadrzędnych, co ma ze mną uczynić. Najwyraźniej obawiał się, że wyrwanie dziury w suficie może stanowić wstęp do większej akcji. Otwierane z łomotem drzwi obwieszczały jego powrót.

–Jak ty się nazywasz? – wrzasnął i chyba był to jedyny ton, jakiego używał.

–Dawid Stone. Mruknął coś z niedowierzaniem.

–Twierdzisz, że zostałeś wyrzucony z lotu B-431?

–Nie wiem jaki był numer lotu, ale to prawda.

Spojrzał na policjanta, jakby potrzebował świadka do kwestii, którą zaraz wygłosi.

–Panie, albo pan jesteś wariat, albo ja.

Pokiwałem głową na znak, że połowicznie się z nim zgadzam. Westchnął i wyprowadził mnie z pokoju. Tym razem kajdanek mi nie założono.

Szliśmy spokojnie, ramię w ramię, hallem pełnym ludzi; po prawej stronie mieściły się kioski z pamiątkami i niewielkie sklepy, gdzie można wydać ostatnie pieniądze przed odlotem. Nad jednostajny hałas co chwilę wybijał się wdzięczny głos z megafonu. Każda zapowiedź poprzedzana była sygnałem, podobnym trochę do melodii wygrywanych przez pozytywki. Mijając rzędy wózków bagażowych, weszliśmy na schody., Krótki korytarz, i drzwi otworzył nam mężczyzna w mundurze policyjnym. Prowadzony, przez dwóch stróżów prawa, zostałem odtransportowany do dużego pokoju, którego całą jedną ścianę stanowiła szyba. Świtało i mogłem rozróżnić szczegóły leżącego przede mną lotniska. Do krzesła, na którym mnie posadzono, podszedł mężczyzna w cywilu.

–Moje nazwisko King, kapitan King. Dowodzę tym sztabem kryzysowym.

Zatoczył łuk ręką wskazując na grupkę około dziesięciu osób znajdujących się razem z nami w pomieszczeniu.

–Miło mi, Dawid Stone. Podaliśmy sobie ręce.

–Twierdzi pan, że wyrzucono pana z samolotu?

–Tak, zrobili to ludzie, którzy porwali ten krążący nad lotniskiem samolot.

–On już nie krąży. Pozwoliliśmy im wylądować – zafrasował się. – Jednego tylko nie rozumiem, jak pan przeżył upadek z takiej wysokości.

–Sam nie wiem – odparłem, maniacko wpatrując się w nogę od stołu.

Policjant, który mnie przyprowadził nachylił się nad nami.

–Może strop miał wadę, jakieś otwory, tak że się poduszka w nim zrobiła.

Był to absurd, lecz głośno wyraziłem entuzjazm.

–Tak, to całkiem możliwe.

Kapitan nie był przekonany.

–Terroryci zawiadomili nas, że wyrzucili człowieka – mamrotał pod nosem. – Mamy świadka, który widział jak coś spadło na dach, potem widziano pana już w barze. Nazwisko również się zgadza ze spisem, jaki otrzymaliśmy od biura lotniczego – zamrugał oczami. – Wygląda na to, że pan mówi prawdę.

–Cieszę się, że nareszcie ktoś mi uwierzył.

–Tego jeszcze nie powiedziałem.

–Ale jest pan gotów założyć.

–Powiedzmy...

Założyłem nogę na nogę.

–A więc proszę posłuchać, co ja wiem. Kiedy doszedłem do tego, że wszyscy pasażerowie są terrorystami, kapitan jęknął i nieomal przyklęknął.

–Jest pan tego pewien?

–Całkowicie.

Zabulgotał radośnie i pobiegł do swoich kolegów. Słyszałem jak kilka razy powtarzał: tylko załoga, tylko załoga. Nie interesowałem się tym gdyż robiłem się coraz bardziej senny. Miłe mrowienie rozchodziło się po całym ciele. Kiedy głowa już zaczęła opadać na piersi, kapitan potrzaskała mną gwałtownie.

–Niech pan nie zasypia – wyszeptał z szatańskim uśmiechem. – Zaraz zaczynamy akcję.

–W jaki sposób? – wymamrotałem.

–Po wylądowaniu samolotu wysłaliśmy tam mechaników, niby dla sprawdzenia kół i podwozia. Trochę pomajstrowali i mogliśmy, powiedzieć terrorystom, że ich samolot nie będzie mógł wystartować. Próbowali nas jeszcze straszyć, ale w końcu zgodzili się przenieść do stojącego na bocznym pasie odrzutowca. Co najważniejsze, poszli na nasz warunek.

Zmrużył chytrze powieki.

–Jaki warunek? – spytałem, wytrzeszczając beznadziejnie głupio oczy.

–Kazaliśmy zostawić załogę samolotu, mówiąc, że na odrzutowcu piloci są wypoczęci i zgłosili się dobrowolnie. To pierwsze chyba ich przekonało, gdyż zdaje

się chcą lecieć gdzieś do Afryki.

–Chcecie ostrzelać ich na płycie lotniska? – spytałem ze zrozumieniem.

–Jak będą niegrzeczni... – odpowiedział rozmarzonym głosem.

Stojący przy szybie zaczęli wołać kapitana.

–Nie podejdzie pan do okna? – spytał - Przecież w końcu to pana zasługa.

Podziękowałem za uznanie. Podbiegł do olbrzymiej szyby. Wszyscy pokrzykiwali i entuzjasmowali się, jak na meczu hokejowym. Rozpłasczeni na szkle głośno komentowali poczynania bandziorów. Biedacy, musieli wyglądać jak bakterie pod mikroskopem. Zawyły przelatujące nisko nad budynkiem helikoptery. Szyby zatrzęsły się jak w gorączce. Plasnęły pojedyncze strzały, potem zaterkotały karabiny. Wykorzystując fakt, iż wszyscy zapomnieli o mojej skromnej osobie, uniosłem się z krzesła i chyłkiem ruszyłem ku wyjściu. Nie miałem najmniejszej ochoty na ujawnienie policji moich zdolności. Szkoda było na to czasu. Policjantowi stojącemu przy drzwiach korytarza grzecznie się ukloniłem. Nie zwrócił na to uwagi, gdyż przez okratowane okienko próbował cokolwiek dojrzeć na płycie lotniska.

Minąłem hall, gdzie w asyście próśb spikerki o zachowanie spokoju, rozgrywała się scena ogólnej hysterii. Najgorsza była wycieczka emerytów, która piszcząc domagała się wyprowadzenia na taras widokowy, gdyż chciała pooglądać strzelaninę. Ominąłem ich i wyszedłem na parking przed gmachem. Pierwszą napotkaną taksówką pojechałem do hotelu, gdzie nikt nawet nie pytał o moje personalia. Kazałem zbudzić się po południu.

Wystawa jubilerska mieściła się w odremontowanym klasycystycznym pałacyku. Trzy sale na piętrze wypełnione były szklanymi szafami i gablotami, w których efektownie ułożone leżały ozdoby. Prawie wszystkie wykonane były z czerwonych kamieni. Widziałem więc korundy, spinele, piękne naszyjniki z granatów i wisiorki zdobione turmalinami, czy karneolami. Wszystko to grało, mieniło się i wabiło tysiącami odcieni. Z racji popołudniowej pory na wystawę przyszedł nieomal tłum ludzi, a mimo tego było cicho, żadnych rozmów, może czasami krótkie uwagi. Piękno urzekło. Na ścianach wisiały plansze ilustrujące historię szlachetnych minerałów. Wiedziałem, że wiara w talizmany, z czerwonych kamieni przyszła ze wschodu. Już Marco Polo pisał o nich. W czasach wypraw krzyżowych rycerze wierzyli, że moc kamieni chroni od trucizn i ran. Lata płynęły, popyt na biżuterię stawał się coraz większy. Najśłynniejsze rubiny wydobywano w tym czasie w Birmie, chociażby w kopalniach okręgu Mogok, Trzeba wiedzieć, że rubiny czystej wody osiągnęły ceny diamentów, a ich szlif jest bardzo drogi i pracochłonny.

Rozmyślając o tym przekroczyłem próg ostatniej sali i o mało nie uklęknąłem. W

stojącej na centralnym miejscu szafie rozpoznałem jeden z najcenniejszych kamieni. Był to rubin gwiaździsty. Jego budowa sprawia, że patrzący ma wrażenie obecności w kamieniu sześcioramiennej, błyszczącej gwiazdy. Na świecie jest tylko kilka egzemplarzy tej odmiany. Miałem w domu reprodukcję tak zwanej „Północnej Gwiazdy”, pięknego fioletowoczerwonego rubinu o wadze stu szesnastu karatów. Ten zaś był mi nieznanym.

Z nosem przy szybie odczytałem nazwę „Gwiazda Arktyki”. Potem schyliłem się, aby zobaczyć owo niesamowite drżenie światła we wnętrzu kryształu. Trochę irytował mnie szept dwóch młodych turystek. Przeszkadzały się skoncentrować. Przeszedłem na drugą stronę gabloty, ale nawet tutaj dochodził cichy, drażniący szelest głosów. Już miałem zwrócić uwagę, kiedy jedna z nich spojrzała na zegarek. Kiwnęły głowami i wyjęły spod płaszcza pistolety maszynowe. Dwa ruchy i już założyły magazynki. Przyznam, że w tej chwili miałem mniej werwy niż na lotnisku, może było to zmęczenie, a może chwilowy brak wiary. Faktem jest, że na dźwięk pierwszych, turkoczących pocisków gruchnąłem przepisowo na ziemię. Obok kwiczało i kotłowało się kilkunastu zwiedzających. Wyżej, na stojąco, napastnicy strzelali zajadle. Spoglądając dyskretnie w górę stwierdziłem, że siły są mniej więcej równe. Schowałem głowę w ramiona, gdyż z okien sypało się szkło. Gabloty pękały pod wybuchami miniaturowych pocisków, jakie zakładała znana mi parka dziewcząt. Po każdej eksplozji zgarniały zawartość do długich worków, podobnych do tych, jakie mają listonosze. Ktoś szarpnął mnie za nogę. Był to astmatycznie wyglądający staruszek, który nie wiadomo po jakiego diabła ścigał mi buty.

–Niech pan puści – syknąłem.

–Nic, nie wiem – pisnął. – Nic nie wiem.

Mimo to nie puszczał. Właśnie zacząłem się odczołgiwać od niego, kiedy huknęła najbliższa szafa i poczułem silne uderzenie w policzek. Przyłożyłem rękę i nie wierząc własnym oczom dojrzałem rubinową „Gwiazdę Arktyki”. Nie namyślając się wiele włożyłem go do ust.

–Wycofujemy się! – komenderował któryś z bandziorów.

Rozpłaszczyłem się na podłodze czując jak przy braku śliny kamyczek utkwiał mi przysłowiową kością w gardle. Chrupot szkła świadczył, iż wygarniane są ostatnie precjoza. Z braku powietrza robiłem się cały czerwony.

Raptem trzasnął mnie ktoś po karku i poderwał gwałtownie w górę. Kamień wślizgnął się do żołądka. Już chciałem podziękować, kiedy zobaczyłem gębę wybawcy. Był podobny do goryla, a wymiary naprawdę miał nie gorsze. Zrzucił mnie na plecy jak worek cementu i pobiegł w kierunku wyjścia. W skaczącym obrazie dostrzegłem przerażone miny leżących ludzi, ktoś strzelał za nami, lecz chybił, a

potem były schody na parter, podjazd przed pałacem i wrzucony zostałem do wnętrza furgonetki. Silnik zawarczał i jak rakieta wystartowaliśmy do przodu. Łapiąc krawędź ławeczki starałem się dociec, w co tym razem się zaplątałem.

Nieśmiertelność jest rzeczą bardzo przyjemną, niestety nie dodaje sił fizycznych. W czasie jazdy starałem się wyważyć drzwi furgonetki, ale równie dobrze mógłbym się starać wyjść przez ścianę. Następne kilka godzin mogłem poświęcić zakładom, który przedmiot w wozie uderzy mnie przy kolejnym podskoku: łopata, wiadro, czy zapasowa opona. Jechaliśmy po niesamowicie morderczych wertepach.

Kiedy osiągnąłem stan, w którym człowiekowi jest już wszystko jedno, samochód stanął. Goryl wszedł do mnie i bez słowa skrępował kajdankami. Nie protestowałem, gdy prowadził mnie na zewnątrz. Było ciemno, ponura okolica, wzgórza porośnięte nędzną trawą. Samochód stał przy wjeździe do bunkra, albo innej fortyfikacji. Rudera wyglądała na dawno nie odwiedzaną przez ludzi, a mimo to gorylowi udało się zapalić światło. Ujrzałem, że poza nim jest tu jeszcze jedna osoba. Średniego wzrostu przystojny mężczyzna z czarną brodą. Jedyne co miałem mu do zarzucenia, to wyraz oczu. Tak patrzą ludzie, którym walka o byt przegnała wszelką litość z serca. Po metalowych schodach zeszliśmy do podziemi. Na końcu ponurego jak sama śmierć korytarza, tkwiły duże drzwi, podobne do wierzei skarbców bankowych. Za nimi loch prezentował się równie ponuro. W mętym świetle nie osłoniętej żarówki dojrzałem ślepe oczka wskaźników. Domyślałem się, iż był tu kiedyś jakiś punkt kontrolny, lecz kurz i zdjęte osłonki pozbawiały złudzeń co do przydatności urządzeń. Posadzono mnie na taborecie. Brodaty kazał gorylowi stanąć przy wejściu i wycelował palcem w mój tors.

–Widzieliśmy, że połknąłeś rubin – zaczął. – Oddelegowano nas, abyśmy go odzyskali. Nie chcemy rznąć ci brzucha i lepiej będzie, jeśli zwrócisz go normalną drogą. Zrozumiano?

Nie chciało mi się zaprzeczać, po prostu nie chciało. Skinąłem głową.

–Macie jakieś Środki przeczyszczające? Brodaty uśmiechnął się paskudnie i z przyniesionej torby podróżnej wyjął butelkę. Była to oliwa jadalna. Przyznam, że zbladłem.

–Mam to wypić?

–Musisz to wypić - poprawił mnie.

Ciekaw, czy nieśmiertelność uchroni mnie od rozwolnienia, przyłożyłem szyjkę do ust. Żółta ciecz chlupała w gardle. Gdy skończyłem, brodacz miał minę pełną obrzydzenia i z ciekawością obwąchał butelkę.

–Ale ty masz gust!? – mruknął i przełknął ślinę.

Podał mi miskę i rozpiął kajdanki.

–Nocnika nie mamy – powiedział. – Dajemy ci czas do jutra do południa.

Wyjął jeszcze dwie puszki piwa i położył koło miski.

–Żebyś nie umarł z pragnienia.

Wychodząc pogroził palcem.

–Nie szperaj tutaj, bo sobie krzywdę zrobisz. Nie wiem, czy wiesz, że jesteśmy na terenie poligonu nuklearnego. Tu niejedno świństwo może być schowane.

Śmiejąc się do rozpuku, zamknęli drzwi. Dobrze, że chociaż światła nie zgasili. Pomacałem brzuch. Na razie nic się nie działo.

Pomieszczenie, w którym przebywałem, miało nie więcej niż cztery metry na sześć. Ściany zagracone starymi atrapami pulpitów pokrywała odpadająca tapeta. Chcąc im się lepiej przyjrzeć ruszyłem na obchód. Ciekawe, myślałem czy moja nieśmiertelność chroni przed promieniowaniem. Ma ono przecież to do siebie, że jest niewidzialne i zabija bezszelestnie. Paskudna sprawa. Żebym miał chociaż licznik Geigera.

Nagle kucnąłem, gdyż moją uwagę wzbudziła odstająca od ściany kratka. Chwyciłem ją i szarpnąłem. Ruszała się i po paru mocniejszych pociągnięciach zostawiła za sobą ciemny otwór. Nie mając nic do stracenia, odetchnąłem głębiej i macając dłonią wsunąłem się do środka. Było tu niesamowicie wąsko i za każdym ruchem dotykałem brudnych i lepkich ścian. Tak właściwie była to długa rura, stanowiąca z pewnością część układu klimatyzacyjnego. Miałem nadzieję, że dojdę nią do innego pomieszczenia, skąd już łatwiej będzie mi się wydostać na powierzchnię. Na kolanach parłem do przodu nie zrażony absolutnymi ciemnościami. Po paru chwilach dłoń poinformowała, że zaczyna się spadek. Zapierając się o ściany, wyhamowywałem tempo zsuwania. Jeszcze parę metrów i miałem teraz przed sobą rozwidlenie, część rury skręcała w lewo. Już trochę zdenerwowany wybrałem starą trasę. Zaczynałem się pocić. Ciemność, przedłużająca się wędrówka i świadomość, że mogę wdepnąć w jakieś radioaktywne paskudztwo, odbierała mi spokój. Znów niespodzianka. Rura zmieniła się w pionowy szyb z klamrami. Nie chciałem się wycofywać.

Po dwudziestu stopniach, liczyłem dokładnie, moja ręka natrafiła na kratę w ścianie. Szarpnąłem. Spadła i sądząc po odgłosie, od dna dzieliło mnie jeszcze kilka metrów. Z nadzieją w sercu wcisnąłem się w otwór. Rzeczywiście, było tam spore pomieszczenie. Mogłem się tego domyślić po odgłosie. Stosując klasyczną w labiryntach regułę prawej ręki, zacząłem iść wzdłuż ściany. Stojący w ciemności przedmiot sprawił, iż o mało nie wywróciłem się jak długi. Masując odruchowo goleń

obmacywałem przeszkodę. Był to metalowy sześcian. Ominąłem go i rychło wpadłem na następny; było ich tu więcej. Idąc znacznie ostrożniej doszedłem do przeciwnego krańca sali, gdzie ku swojej radości znalazłem drzwi. Były potężne, całkowicie wchodzące w mur. Macając dłońmi starałem się natrafić na zamek, bądź jakiś uchwyt. Zamiast tego odkryłem koła dociskowe. Dwa z nich przy dużym wysiłku udało mi się odkręcić. Do trzeciego, najwyżej umieszczonego nie sięgałem. Ledwo wyczuwałem go palcami. Przeświadczony, że po drugiej stronie czeka wolność, jak w transie przypomniałem sobie o sześcianach. Z rozcapierzonymi rękoma udałem się na poszukiwania. Każdą zdobycz obwieszczałem okrzykiem radości i z triumfem zanosłem pod drzwi. Już po kilkunastu minutach ułożyłem całkiem sporą piramidę. Spróbowałem na nią wejść. Nie zawała się i brakowało dosłownie centymetra. Z radością znalazłem ostatni sześcian na samym środku sali. Odetchnąłem z ulgą i położyłem zdobycz na szczycie, lecz już nie zdążyłem się nań wspiąć. Od konstrukcji zabiło raptem ostre, przenikliwe światło. Było okropnie sine. Zamknąłem oczy i nic nie czułem, ale świadomość tego co się dzieje omal nie przywiodła mnie do zawału. Byłem w punkcie zero. Otaczało mnie ciśnienie rzędu milionów atmosfer i temperatura wyższa niż na Słońcu. Nawet nie musiałem otwierać oczu, aby mieć pewność, że pomieszczenie, w którym przebywałem, kompleks budynków, wszystko to przestało istnieć.

Uchyliłem powieki. Najpierw widziałem samą jaskrawość, potem w przelatujących smugach rozpoznałem kłęby sproszkowanej ziemi i gazów. Wyglądało na to, że lecę w powietrzu, cały i zdrowy. Było to nieprawdopodobne. Potem, w świetle rozpalonego gazu dojrzałem ziemię. Jej grudy, kamienie, piasek, wszystko to falowało i podskakiwało. Przeleciałem jeszcze parę metrów i upadłem w owo grzęzawisko. Zrozumiałem, że jestem na zboczu potężnego leja i zaciskając zęby ruszyłem pod górę. Przykro mi się zrobiło, gdy pomyślałem o gorylu i brodaczu. Musieli wyparować, a ja stałem się ich mimowolnym katem. Ale kto by pomyślał, że z tych sześcianów można zbudować stos atomowy? Musiały to być pojemniki na substancje radioaktywne, przypadkiem bądź świadomie zostawione w podziemiach. Z ich pomocą zrobiłem piękny wybuch jądrowy. Jego skutki miałem wokół siebie. Zasapany wydostałem się z krateru. Nie mogłem objąć go wzrokiem, gdyż opary świeciły krwawo i pełno było kurzu. Cała okolica fosforyzowała jakby obsiadły ją miliony czerwonych świetlików. Biegłem tak długo, dopóki mi tchu nie zabrakło. Potem położyłem się na ziemi i postanowiłem poczekać na pomoc. Nie wątpiłem, że wybuch sprowadzi tutaj kogoś.

Obudziło mnie szarpanie. Przy moich nogach stała postać ubrana w niesamowicie biały skafander. Uniosłem oczy i ujrzałem za szybką hełmu najpiękniejszy widok w życiu. Zdziwienie absolutne, stupor. Wydawało się, że jeśli ruszę ręką czy, nogą, albo co gorsza odezwę się, to osobnik w skafandrze zawyje i ucieknie w te pędy. Dlatego czekałem co uczyni. Był już ranek i mogłem docenić dziurę, jaką uczyniła moja bomba atomowa.

Tak na oko miała sześćdziesiąt metrów średnicy i piętnaście głębokości. W niektórych miejscach wydawało mi się, że rozróżniam szczegóły konstrukcji. Osobnik w skafandrze ponownie objawił aktywność, żywiłowo wymachując kończynami. Zbliżające się kolejne dwie postaci w skafandrach wyjaśniały sprawę. Postacie niosły nosze, a jedna z nich miała umieszczony zewnętrzny głośnik i strasznie nim hałasowała.

–Proszę się nie ruszać i zachować spokój. Jesteśmy służbą medyczną!

Kiedy próbowałem wstać, ten w skafandrze z wyraźną obawą chwycił mnie w pól i nie puszczał. Podałem się losowi. A trzeba dodać, że byłem całkowicie goły. Żar strawił doszczętnie ubranie.

–Proszę się nie ruszać! Jesteśmy służbą medyczną i wkrótce zostanie panu udzielona pomoc!

Kiedy kładziono mnie na noszach, robili to tak delikatnie jakby się bali, że urwie im się wszystko za co mnie chwycą, tak jak w sparciałej walizce.

–Proszę się nie ruszać! – ryczeli cały czas i w tym akompaniamencie nieśli mnie poza obszar skażenia.

–No więc jak! – ryknął pryszczaty cywil. – Przyzna pan się w końcu czy nie?

–Do czego mam się przyznać?

–Skąd się pan wziął na terenie poligonu i jakim cudem przeżył pan wybuch?

–Przecież mówiłem.

–Bzdury pan mówił! – zawył histerycznie.

–Nikt nie uwierzy w te pańskie brednie z talizmanem.

Cała rozmowa toczyła się w niewielkim pomieszczeniu, znajdującym się w piwnicach budynku, do którego przywiózł mnie wojskowy helikopter. Siedziałem na wpuszczonym w beton ciężkim, drewnianym krześle. Przez tułów, ręce i nogi biegły parciane pasy mocno trzymające na miejscu. Od krzesła do stołu, przy którym siedział pryszczaty, biegł pęk różnokolorowych kabli. W oczy świecił mi potężny reflektor.

–Badaliśmy pana – tłumaczył jak dziecku.

–Nie ma pan żadnych śladów choroby popromiennej. Podejrzewamy, że jest pan agentem obcego państwa. Jeśli ujawni pan, w jaki sposób uodporniono pana na

promieniowanie, zostanie pan zwolniony.

Zrobiłem minę świadcząca, że mnie nudzi.

–Ty sukinsynu! – zaryczał potwór – Zaraz będziesz śpiewał.

Mrużąc oczy od światła dojrzałem, że coś majstruje przy przełącznikach na biurku. Drobne metalowe żabki, jakie poprzyczepiano mi do co cenniejszych części ciała poczęły lekko syczeć. Z ciekawością przyglądałem się, co będzie dalej. Hałas za biurkiem świadczył, iż pryszczaty zaczął się denerwować. Z chrapliwym oddechem przerzucał kolejne potencjometry. Z żabek zaczęło dymić. Ktoś podbiegł i chciał sprawdzić zaczepy, lecz nieostrożnie dotknął klamerki i z okrzykiem bólu pokuśtykał w kąt.

–Powiesz! – ryczało zza biurka. – Zobaczysz, że powiesz. Każdy mówi!

Trzasnął kolejny przełącznik i w tym momencie z klamerki wyskoczyły snopy fioletowych iskier. Równocześnie zgasła lampa.

–Światło, światło! – wrzeszczał pryszczaty.

Coś się przewalało w ciemnościach. Ktoś klął jak szewc, a z zewnątrz dobiegało głośne walenie w drzwi. Spokojnie opuściłem głowę i czekałem na dalszy rozwój wypadków. Nie było jednak tak źle z oświetleniem, gdyż wkrótce lampa zabłysła ponownie, może tylko bardziej żółto. Jakaś życzliwa dusza skierowała jej wylot w bok. Z tyłu dobiegały odgłosy kłótni.

Słyszałem pryszczatego i z satysfakcją stwterdziłem, że jest coraz bardziej żaloszny. Po chwili dwóch żołnierzy rozpięło moje pasy. Poprosili, abym żabki zdjął sam, gdyż nie chcą mnie urazić. Uczyniłem, to i ubrałem się w przyniesione ubranie. Poproszono, abym udał się na górę. Przechodząc piwnicą i korytarzem nie dostrzegłem już pryszczatego, gdzieś zniknął. Windą pojechaliśmy na wyższe piętro. Konwojujący mnie kapral spytał czy nie chcę się wykapać. Po jego minie widać było, że jest gotów zaproponować mi nawet manicure. Odmówiłem. W pokoju, do którego mnie wprowadzono, z ulgą spostrzegłem normalne meble. Już dość miałem piwnic, suterenu i betonowych ścian.

–Jestem pułkownik Rolich – powiedział przystojny mężczyzna, który wyszedł mi na powitanie.

Skwapliwie skorzystałem z podsuniętego fotela. Butelka koniaku również prezentowała się zachęcająco.

–Musi pan wybaczyć moim podwładnym dotychczasową nieufność – powiedział i zerknął na mnie.

Uśmiechnąłem się z wyrozumieniem, podnosząc do ust kieliszek. Zawartość jego miała, obiecujący smak.

–Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że osobnik odpowiadający pańskiemu rysopisowi brał udział w pewnych zajściach w Sorendo, a także sprawdziliśmy, że faktycznie obrabowano wystawę w tym mieście.

–Ja to od paru godzin staram się wytłumaczyć.

Znów zrobił przepaszającą minę. Pomyślałem sobie, że tak umiejętnie operując wyrazem twarzy może zejść wysoko.

–Sądzę, że niejedną ciekawą rzecz mógłby pan opowiedzieć – mówił. – Ale niestety nie możemy zająć się badaniem pańskiego fenomenu.

–Oho – pomyślałem – coś się szykuje.

–Czeka nas bardzo trudne zadanie, któremu musimy stawić czoła.

Jeśli mówi, że czeka- nas to znaczy, iż cały ciężar spocznie na mnie...

–Proszę posłuchać – zaczął. – W pewnych zakładach chemicznych doszło do tragicznej pomyłki. Tamtejsi robotnicy przeładunkowi otrzymali źle zaadresowaną cysternę napelnioną etylenem. Sądzili, że jest to amoniak i zgodnie z przepisami poczęli wtłaczać do niej podgrzany gaz. W normalnej sytuacji pozwala to na szybsze opróżnienie cysterny. Dopiero kiedy wtłoczono podwójną porcję, ktoś Wpadł na pomysł i zeszkrobał błoto z tablic identyfikacyjnych.

Pułkownik wziął to sobie do serca, gdyż dolał koniaku.

–Chemik specjalista, na pytanie, co należy robić w tej sytuacji, odpowiedział, że uciekać. Proszę więc sobie wyobrazić, co tam się teraz dzieje. Cysterna stoi między magazynami, a jej wybuch spowodowałby nieobliczalne straty. Wywieźć jej nikt się nie odważy, gdyż może eksplodować przy byle wstrząsie i cała nadzieja spoczywa na nas, wojsku. Otrzymałem polecenie rozwiązania sprawy.

Umilkł i na odmianę począł bębnić palcami na biurku. Nie musiałem się wysilać, aby zgadnąć czego oczekuje.

–Sądzę, że mógłbym się tego podjąć – powiedziałem i myślałem, że że szczęścia skoczy na biurko obydwoma nogami.

–To wspaniale! – grzmiał – z pańskimi zdolnościami nic się panu nie stanie.

–Tylko musicie nauczyć mnie prowadzić lokomotywę – dodałem.

Machnął ręką i przycisnął guzik na blacie. Drzwi uchyliły się bezszelestnie.

–Poprosić majora Stana – zawołał, a potem dodał już w moją stronę – omówimy szczegóły techniczne.

Posłałem uśmiech na znak, że świetnie się bawię.

Z początku wszystko przebiegało pomyślnie. Helikopterem zostałem przewieziony do kombinatu chemicznego i przedstawiony załodze. Z ich min wywnioskowałem, że uważają mnie za mieszankę komandosa i samobójcy. Na bocznicę pokazano mi jak się zaczepia wagony i już siedziałem, w lokomotywie. Z pomocą tego spalinowego bydlątka podjechałem, na stację rozładunkową i odnalazłem cysternę. Przyznaję, że mogła zrobić wrażenie – duża, srebrna i cały czas sycząca z odbezpieczonych zaworów. Z fantazją założyłem złącze i wyjechałem z wymarłej fabryki.

Mniej więcej po pięciu kilometrach wydarzyło się nieszczęście.

Po prostu potknąłem się i uderzyłem kolaniem o kant pulpitu. Poczulem ostry ból i w pierwszym odruchu zacząłem rozmasowywać stłuczone miejsce. Nagle zeszywniałem jak w dzień własnego pogrzebu. Zrozumiałem prostą implikację faktów. Jeśli mnie boli, to znaczy, że już nic mnie nie chroni, a więc nie jestem nieśmiertelny. Okres działania talizmanu skończył się. Z obłędem w oczach zredukowałem prędkość lokomotywy i spojrzałem na zegarek. Albo dziadek się mylił, albo talizman się zestarzał, w każdym razie jego działanie znikło o cztery godziny za wcześnie.

Przyznaję, że nie byłem na to przygotowany. Olbrzymia jak trzy słonie cysterna jechała za mną trop w trop i nawet wyobraźni mi brakowało, aby opisać czego mogę się po niej spodziewać. Gdyby wybuchła, nie zostałoby po mnie nawet wspomnienie. Wyrząłem przez okienko. Jak się okazało, w samą porę, gdyż już z daleka ujrzałem obok nasypu dużą planszę ze znakiem „stop”. Zgodnie z umową, miała tutaj odchodzić od głównej linii bocznicą, w którą powinienem był wjechać. Ostrożnie, czując jak ślizgają się spocone palce, zatrzymałem skład. W ciszy, jaka panowała na dworze, wyraźnie było słycać poświstywanie cysterny. Nie oglądając się, znalazłem w trawie przekładnię i zmieniłem tor. Było mi mdło. Gdyby nie to, że cysterna stała na głównej linii okręgu, uciekłbym gdzie pieprz rośnie. Tak zaś, ledwo widząc ze strachu wdrapałem się do kabiny i ruszyłem dalej. Czułem jak w żołądku przewraca się i kotłuje, grożąc katastrofą. Jeszcze kilometr, jeszcze chociaż sto metrów, powtarzałem sobie co chwila. Byłem umówiony z wojskowymi, że doprowadzę skład do oznaczonego miejsca na końcu bocznicy, a potem oddalę się w bezpieczne miejsca. Dostałem raketnicę, abym ich zawiadomił, gdy się wycofam. Pierwotnie miał to być radiotelefon, ale odmówiłem, gdyż nie mam zdolności do obsługi nawet najprostszycch urządzeń radiowych.

Wreszcie spoza krzewów, u końca zardzewiałych torów dojrzałem kolejną planszę. Blady jak trup przejechałem ostatnie metry i zatrzymałem pociąg. Nie zważając na nic wyskoczyłem na tory i pobiegłem z powrotem. Byłbym przysięgł, że w cysternie bulgotało. Nie widząc nikogo, rwałem do przodu niczym królik. Dostosowałem krok do podkładów i biłem po drodze wszystkie rekordy. Po co najmniej trzech kilometrach takiej gonitwy zatrzymałem się. Uczyniłem to dlatego, iż na nic innego nie miałem sił. Jednocześnie z powrotem znalazłem się przy głównej linii. Wyglądało na to, że jestem sam. Gęsto rosnące drzewa nie pozwalały dojrzeć zbyt wiele. Odtroczyłem raketnicę i już miałem wystrzelić, kiedy nasza mnie pewna myśl. Wywodziła się ona z głębokiej niechęci do tłumaczenia się komukolwiek, w jaki sposób zyskałem moje zdolności, a później utraciłem. Nie miałem ochoty, aby namawiano mnie do kaskaderskich eskapad i przekonywano się, że tym razem już przewodzę prąd, bądź rozbijam się po wyrzuceniu z samolotu.

Rozumiejąc to wszystko, cisnąłem raketnicę w krzaki i mając nadzieję, że nikt mnie nie śledzi ruszyłem przed siebie. Nie będę ukrywał, że cały czas dobrze pamiętałem jakie to cudo ukrywam w żołądku.

Przyznam, że miałem szczęście. Już po paru krokach usłyszałem hałas najeżdżającego pociągu. Był to duży, swojski skład towarowy, żadnych cystern. Pobiegłem do przodu, gdzie tory wspinały się na niewielkie wzgórze i poczekałem, aż miną mnie pierwsze wagony. Gdy pociąg zwolnił, uczyniłem ostatni desperacki krok. Skoczyłem w biegu do wagonu. Na szczęście udało mi się złapać uchwyt i po chwili leżałem wygodnie w środku na hałdzie ziarna, z każdą minutą oddalałem się od miejsca moich cierpień.

Nie byłem pewien, ale zdawało mi się, że słyszę odległą eksplozję.

Do domu Ireny dotarłem nad ranem. Uznałem, iż u niej będę najbezpieczniejszy. Otworzyła mi ziewając i nawet nie była specjalnie zdziwiona.

–Co cię tak przypiliło? – spytała zamykając drzwi,

–Muszę spędzić u ciebie parę dni. Chcę się upewnić, czy nikt mnie nie szuka. Popukała się w czoło.

–Znowu zmyślasz – szepnęła z wyrzutem i wepchnęła mnie do łazienki.

W jasnym świetle dojrzałem, jak oplakany stan przedstawiam. We włosach miałem jeszcze żdźbła słomy.

–Doprowadź ty się lepiej do porządku, a potem przyjdź do mnie – powiedziała i cmoknęła w ucho.

–Poczekaj, nie masz jakiegoś środka przeczyszczającego? – spytałem.

Spojrzała na mnie ze złością i poszła do sypialni.

Spuściłem wodę do wanny i wlałem płyn kąpielowy. Pachniał żywicą.

Kiedy zanurzyłem się w pianie, drzwi uchyliły się ponownie. Stała tam Irena z nożem w ręku. Miała na twarzy diabelski uśmiech.

–Dawid – zaczęła, podchodząc do wanny – pokaż mi jeszcze raz, jak robisz tę sztuczkę z nożem.

Wybałuszyłem oczy i głośno przełknąłem ślinę.

- K O N I E C -

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-11

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/